

Jack Getner



Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej

SIEDMIU MAŁO WSPANIAŁYCH



Przypadek
chodzi
po ludziach...

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2023
© Copyright by Jacek Getner, 2023

Nazwiska nowych postaci: Janek Getner
Redaktor inicjujący: Paweł Pokora
Redakcja i korekta: Magdalena Białek

Projekt okładki: Magdalena Wójcik
Zdjęcia na okładce: © aniwite/123 rf, pi8bay.com
Zdjęcie Jacka Getnera: © Maciej Zienkiewicz Photography
Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska
Producenci wydawniczy: Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz
Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2023
ISBN: 978-83-67915-50-2



Lira Publishing Sp. z o.o.
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa
www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na: 

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

ROZDZIAŁ 1 Sztukmistrz spod Lublina
ROZDZIAŁ 2 Siedmiu mało wspaniałych
ROZDZIAŁ 3 Koniec paradygmatu awangardowego

O Autorze

ROZDZIAŁ 1

Sztukmistrz spod Lublina

Ewelina Marczak od dość dawna była przekonana, że zginie właśnie dziś. Miało być pięknie, wręcz upalnie. Jedni mieli się cieszyć nadchodzącym latem, a inni narzekać na wysokie temperatury. Ktoś miał się opalać, a inny szukać cienia. A ona miała umrzeć. W niedzielę. Czerwową niedzielę. Przez pewien czas nie była pewna, w którą — czy drugą, czy trzecią — ale wybrała się do wróżki i ta jej powiedziała, że to będzie czwarta. A ta wróżka nigdy się nie myliła, na jej przepowiedniach polegała połowa artystycznego świata Warszawy! Więc ona sama nie mogła w to wątpić. Czwarta niedziela czerwca będzie dniem jej śmierci.

Czwarta niedziela czerwca w roku... Właściwie jaki my mamy rok? Dwa tysiące jedenasty? Dwunasty? Może trzynasty? A może jeszcze jakiś inny? Nie miała pojęcia, który to rok. Prawdziwi artyści żyją poza czasem. A ona bardzo chciała być prawdziwą artystką. Czula się nią. Zapytała nawet kilka razy sąsiadów, jaki jest aktualnie dzień, żeby nie przegapić tego, w którym ma umrzeć. Bo była pewna, że to będzie dzień, od którego zacznie rosnąć jej nieśmiertelna sława.

Nie wiedziała tylko, kto ją zabije. Może znany rzeźbiarz Artur Gromulski? Kochał się w niej od dawna, wiedziała to dobrze. Mówił, że jest jego muzą. Lubiła jego ogromne dłonie. Wyobrażała sobie, jak zaciska je na jej delikatnej szyi. A ona powoli odpływa na tamtą stronę. Stronę, po której nie ma już nic. Bo w odróżnieniu od wielu jej znajomych artystów, Ewelina w reinkarnację nie wierzyła.

A jeśli nie Gromulski, to ta jego dziwna narzeczona nienarzeczona, Monika Mrzyk, nazywana przez wszystkich i tak po prostu Rudą. Marczakówna jej nie cierpiała. Nie rozumiała, skąd w takiej paskudzie zmieściło się tyle talentów. Jakby choć jeden z nich nie mógł trafić do niej, do Eweliny. Tak, ta Monika może ją z pewnością zabić. Choćby z zazdrości o urodę Eweliny. Takiemu komuś jak Ruda w przypiływie szału łatwo będzie wbić jej nóż w szyję. A właśnie takiego rodzaju śmierci się spodziewała.

Najtrudniej będzie to zrobić Felkowi Łabudzie. Złośliwiec, który każdemu wetknął szpilkę, zawsze był dla niej miły. I beznadziejnie w niej zakochany. Na szczęście darował sobie wszelkie wyznania miłości, bo rozumiał, że nie miałyby szans na wzajemność. Był sporo niższy od Eweliny, musiałby chyba podskoczyć, żeby wbić nóż w jej szyję. Ale z drugiej strony mógł sobie czymś przecież pomóc czy choćby wejść na stół. Tak, dałby jakoś radę i zemścił się za uczucie odrzucone, zanim zostało wypowiedziane na głos.

A może to będzie jeden z jej sąsiadów? Ten dozorca, który wyjątkowo długo szorował podłogę pod jej drzwiami, chyba w nadziei, że zdenerwuje Ewelinę, a ona wyjdzie

niekompletnie ubrana, żeby na niego nakrzyczeć. Albo ten podkomisarz, co wyprowadza często tego swojego jamnika na spacer. On podobno współpracuje z tym słynnym detektywem Przypadkiem. Szkoda, że tamten u niego nie bywa, mógłby być mocno podejrzany. Tak, to byłoby super, gdyby mordercą był Przypadek. Przecież tak naprawdę to on ją już zabił dawno temu, zanim morderca wbił nóż w jej szyję. Zabił ją, zmuszając pana Klempucha, chyba jedyną osobę, którą tak naprawdę lubiła i ceniła, do ucieczki z kraju.

— Teraz już nikt w tym kraju nie potrafi docenić prawdziwych artystów — szeptą pod nosem. — On był jeden, jedyny, wyjątkowy. Tylko on wierzył w mój nieodkryty talent. Może gdyby nie musiał wyjechać, wszystko potoczyłoby się inaczej. Tak, ten Przypadek powinien za to kiedyś zapłacić. Klempuch mówi, że na pewno za to zapłaci. Ale dzisiaj to już bez znaczenia. Dzisiaj i tak mnie ktoś zabije...

Ktoś mógłby uznać, że Ewelina jest paranoiczką. Ale ona była przekonana, że ktoś z tych podejrzanych wymyślił już genialny plan zamordowania jej. I nieważne było dla niej, kim on jest i jakie są jego motywy. Istotne było tylko to, że na pewno ktoś z nich to zrobi.

Podeszła do drzwi i sprawdziła dokładnie wszystkie zamki. A potem wróciła do pokoju. Uruchoimiła stojący na stole laptop. Małe, intensywnie białe światełko u góry ekranu informowało, że kamera działa i zarejestruje wszystko, co zdarzy się w tym pomieszczeniu. Panował w nim nieznośny upał, który wpadał do środka również przez lekko uchylone okno. Ochłodzenie wciąż było daleko poza granicami Polski i miało nadejść dopiero następnego dnia. Mimo to Ewelina zasłoniła szczelnie okno ciemną, grubą zasłonką. Usiadła na krześle i zapaliła świeżo zakupione środki uspokajające. Gdy został jej się w dłoniach niedopałek, odwróciła się w stronę laptopa i uśmiechając się, powiedziała:

— No to zobaczymy, kto mnie zabije.

Podkomisarz Zenon Łoś był pewien, że ściany aresztu, w którym się aktualnie znajdował, powinny nosić na sobie wiele napisów zniesławiających jego osobę. Na pewno bowiem oglądały niejednego przestępcę, którego zatrzymał dzielny policjant w trakcie swojej kariery. Od wielu lat był postrachem mniej lub bardziej groźnych rzezimieszków, popełniających swe niecne czyny w stolicy Polski lub jej najbliższych okolicach. Niejeden z nich z pewnością go przeklinał i zapewniał cały świat, że gdyby nie ten Łoś, to nikt by go nie złapał. I naturalnie musiał dać temu wyraz na ścianach aresztu. Jedynie sprawności służby więziennej można przypisać brak inkryminowanych napisów w zasięgu wzroku. Lecz bez cienia wątpliwości były takie chwile, gdy nim zniknęły one pod warstwą farby, zdobiły te pomieszczenia.

Dlatego, mimo iż podkomisarz przebywał tu prawie tydzień, wciąż nie mógł uwierzyć w to wszystko, co się stało. Co gorsza, z każdym kolejnym dniem nie mógł uwierzyć coraz bardziej. No bo w jaki sposób mogli posądzić o zamordowanie bezbronnej kobiety policjanta z jego stażem?! O ubiciu jej noża w szyję?! Nie miał z nią praktycznie żadnego kontaktu, była wyłącznie jego sąsiadką, którą z rzadka mijał na korytarzu, bo prowadzili odmienne tryby życia. On, mimo tego, że był policjantem, w nocy raczej sypiał, ona, Ewelina Marcak, muza artystów, wtedy dopiero się budziła.

— Głowa do góry, wyciągnę pana z tego — powiedział do niego detektyw Przypadek, którego z kolei osoby powszechnie uważane za przestępców raczej się nie bały.

Za to ci uchodzący za przyzwoitych i jak najbardziej godnych szacunku ludzi drżeli na sam dźwięk jego nazwiska. W całej Warszawie panowała bowiem zgodna opinia, że im bardziej poważany obywatel, tym większe prawdopodobieństwo, że bezczelny detektyw coś

na niego znajdzie. Przypisywano to temu, że tak naprawdę jest jasnowiedzem, bo właśnie za tego typu usługi wystawiał faktury, i tym tylko tłumaczono sobie jego nadzwyczajne zdolności znajdowania brudnych plam na czystych kartach życiorysów ludzi sukcesu.

Teraz detektyw siedział naprzeciw podkomisarza w towarzystwie tego swojego śmiesznego kolegi, adwokata Błażeja Sakowicza. Mecenas znany był niegdyś z tego, że był przekonany o tym, iż pożądamy go wszystkie kobiety świata. Bo jest najbardziej ognistym kogutem, choć wyglądem przypomina zmokłą kurę. Trzeba jednak było przyznać, że jako adwokat osiągał znakomite rezultaty, dlatego w tej kwestii jego pełne pewności siebie oświadczenie było jak najbardziej na miejscu.

— Razem pana z tego wyciągniemy. Na narzędziu zbrodni brak jest pańskich odcisków palców, zresztą nie ma tam żadnych odcisków. Tak jak nie ma innych dowodów na to, że zabił pan Ewelinę Marczak. Są tylko silne poszlaki, których wartość procesową z łatwością podważymy.

— Ale skąd w ogóle te poszlaki?! — denerwował się policjant.

— Przecież to oczywiste, wrabiają pana — powiedział Jacek.

— Tyle to i ja wiem. Ale kto?! I po co?! Ja się nigdy nie wychylałem, nigdy nikomu świni nie podłożyłem. To dlaczego?!

— Obawiam się, że nie o pana tu chodzi, ale o mnie — oświadczył detektyw.

— No tak, jeszcze to. Nie dość, że ktoś mnie chce zrobić w morderstwo, to w dodatku nie ze względu na mnie samego, tylko przez pana — pożalił się Łoś. — Może gdyby pan się ode mnie odczepił i dał mi spokój, to nikt by nie chciał mnie wrabiać?

— Na to już za późno, panie podkomisarzu...

— I jeszcze ten „podkomisarz”! — wybuchnął policjant. — Tak, wiem, że jestem podkomisarzem. Gdyby nie pan, już dawno byłbym komisarzem! Ale i tak wszyscy mówią do mnie „komisarzu Łoś”! Tak się mówi przez grzeczność. A pan do mnie uparcie z tym podkomisarzem wyjeżdża od ponad dwóch lat! Od chwili, kiedy na swoje nieszczęście pana poznałem!

— Obiecuję, że od tej pory będę pana tytułował komisarzem — zgodził się potulnie detektyw, bo czuł się naprawdę winny. — Ale mogę pana uspokoić, że to aresztowanie to jak najbardziej pana zaśluga.

— W jakim sensie?

— To wszystko przez to, że pan mi pomagał — powiedział absolutnie poważnie Przypadek.

Za to Sakowicz z trudem zagryzł zęby, żeby się nie roześmiać, co zauważył Łoś.

— Znowu sobie pan ze mnie stroi żarty! — zdenerwował się policjant. — Dobrze wiem, że pan o tej pomocy to cały czas mi mówił, żeby mnie tylko zdenerwować, bo pan wie, że moi przełożeni zabronili mi panu pomagać, a po prostu kazali patrzeć na ręce!

— Owszem, czasem zdarzało mi się z tego żartować — przyznał uczciwie detektyw. — Ale w tym momencie mówię absolutnie serio.

Zarówno podkomisarz Łoś, jak i mecenas Sakowicz obrzucili Przypadka podejrzliwym spojrzeniem. Jednak detektyw nie miał na obliczu słynnego ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwego uśmiechu, z którego był znany i który wielu ludzi doprowadzał do wściekłości. W tej chwili naprawdę wyglądał na szczerego.

— Czyli że ktoś się rzeczywiście bał, że panu pomogę? — upewnił się Łoś.

— Tak właśnie, panie komisarzu — potwierdził Jacek. — Nie wiem dokładnie, w jakiej sprawie, bo to kwestia przyszłości, a ja, wbrew opinii niezbyt mądrych osób, nie jestem jasnowidzem. Ale wiem, kto to był.

— Kto? — zapytali niemal chórem Łoś i Sakowicz, bo nawet przyjaciel Przypadka nie był wprowadzony w jego podejrzenia.

— Klempuch. — Detektyw wymienił nazwisko swojego największego wroga.

— Przecież on uciekł z Polski i jest poszukiwany przez wszystkie policje świata — zdziwił się Łoś. — On ma teraz na głowie co innego niż wrabiać mnie w morderstwo.

— Poszukują go już prawie rok i ani widu, ani słychu o nim. Sam fakt, że mógł z Polski uciec bez najmniejszego problemu, świadczy najlepiej o tym, jak wielkie i potężne ma wpływy. A poza tym, jeśli pan pamięta, panie komisarzu, on był znanym mecenasem wszystkich nowoczesnych artystów, z których sztuki bez intensywnego z ich strony tłumaczenia nie dałoby się nic zrozumieć.

— No tak, to jest poszlaka. — Podkomisarz Łoś podkręcił wąsa, co jak zwykle było u niego znakiem intensywnego procesu myślowego. — Jednak niezbyt silna.

— Dlatego nie mam pewności, że to on. I wiem, nadeptuję na odcisk wielu ważnym ludziom i niejeden z nich mógłby się chcieć na mnie zemścić. Ale żeby przy okazji zrobić niewinnego człowieka w zabójstwo, to tylko on przychodzi mi do głowy. I zdaje się, że szykuje jakiś grubszy numer, nie dotyczący nawet mnie bezpośrednio, ale z jakichś przyczyn obawia się, że mógłbym mu przeszkodzić. No i uznał, że pan mógłby mi w tym przeszkadzać znacząco pomóc.

Trudno powiedzieć, czy podkomisarz Łoś poczuł się dużo lepiej. W końcu jego położenie nie uległo diametralnej zmianie. Wciąż był oskarżony o zabójstwo Eweliny Marczak. Jednak teraz zyskał poczucie, że to oskarżenie ma sens. Że świadczy o tym, że on, Zenon Łoś, jest kimś ważnym. I to poprawiło mu nieco humor.

— A może facet chce po prostu wrócić do Polski? — zastanawiał się Błażej Sakowicz.

— Nie — zaprzeczył Jacek. — Gdyby chciał po prostu wrócić, kupiłby sobie połowę telewizji i gazet i wyprodukował mnóstwo kliwionych reportaży o tym, jak został niewinnie skrzywdzony przez krwiożerczego detektywa, i dziennikarze niemal na kolanach błagaliby go, aby wrócił do tego kraju, bo ten kraj potrzebuje takich jak on. On musi mieć inny cel. Ale na razie i tak go nie poznamy. Trzeba się zająć wydostaniem z tarapatów pana komisarza.

— Może pan pogada z Dyndą? — zaproponował Łoś. — Wie pan, to ten, co mnie aresztował.

— Pamiętam. Ale na to jeszcze przyjdzie pora. Na początek chciałbym porozmawiać z pana partnerem, starszym aspirantem Smańko.

— On dopiero co wrócił z urlopu. Poza tym na pewno odsunęli go od sprawy, nic nie wie.

— Na pewno wie, co się szepcze o tej sprawie na policyjnych korytarzach, a to już dużo — stwierdził Przypadek i zapytał: — Proszę powiedzieć, podejrzewa pan kogoś o morderstwo?

— Najbardziej takiego jednego artystę spod Lublina. Gromulski się nazywa.

Ewaryst Rost, właściciel galerii sztuki nowoczesnej, wciąż wyglądał niemal tak samo jak wtedy, gdy Jacek Przypadek odwiedził go ponad dwa lata temu. Czyli tak, jakby zaprojektował go futurysta. Różnej długości nogawki spodni, szkła okularów w dwóch

colorach, oraz marynarka po młodszym bracie znamionowały człowieka, któremu nieobcy jest świat artystów.

W tej chwili patrzył w skupieniu na najnowszą rzeźbę Artura Gromulskiego, rostełego bruneta o krzaczastych brwiach i dłoniach wielkich jak bochen chleba. Marszand zastanawiał się nawet, czy do splątania tych wszystkich prętów składających się na nią użył on jakichś narzędzi, czy wystarczyła mu wyłącznie siła własnych rąk. Niezależnie jednak od tego, jaka była technika wykonania tego dzieła o tytule *E.*, to było coś, co niepokoiło Rosta. I ten niepokój odbijający się na jego twarzy został zauważony przez artystę.

— No co, nie podoba ci się? — zapytał groźnie Gromulski.

— Ależ skąd — zaprzeczył żywo marszand. Nie tylko dlatego, że bał się rostełego artysty, ale głównie ze względu na to, że był tak wielkim fanem sztuki nowoczesnej, że trudno mu było znaleźć należące do tego gatunku prace, które nie wzbudziłyby jego zachwyty.

Musiał być jednak przy okazji również biznesmenem, a jako taki zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy na równi z nim zachwycają się owymi dziełami. Dlatego potrzebował czegoś, co bardziej przekonywałoby ewentualnych nabywców.

— Tylko widzisz... — szukał w głowie odpowiednich słów, które nie uraziłyby uczuć artysty — ...to jest takie enigmatyczne.

— Zawsze byłem enigmatyczny. — Gromulski wzruszył ramionami. — Dlatego tak długo mnie nie rozumiano. Ale myślałem, że chociaż ty, Ewarysto, będziesz wiedział, o co mi chodzi.

— Ja wiem, o co ci chodzi — zapewnił go Rost. — No ale wiesz, w tym kraju to właściwie sami ignoranci, jeśli chodzi o sztukę nowoczesną. Jeden Klempuch chyba naprawdę się na niej znał. A inni tylko inwestują. I muszą w miarę dokładnie wiedzieć, co kupują. — Marszand nalał sobie wody do szklanki, bo wrześnieowy dzień był bardzo upalny.

— Kupują rzeźbę Artura Gromulskiego i to powinno im wystarczyć — oświadczył hardo posiadacz wielkich dłoni. — Ale fakt, brak jest na rynku Klempucha. Dzięki niemu ceny były naprawdę przyzwoite. Miał trzy moje rzeźby. Tę by także na pewno kupił. — Pokazał na plątanicę powyginanych prętów. — Też uważał, że Ewelina to niezwykła kobieta. Może dlatego ją zabił.

— Co?!?!? — Ewaryst Rost, zamiast wypić wodę, parsknął nią na artystę spod Lublina niczym słoń ochlapujący turystów przy pomocy trąby.

— No tak. Nie domyśliłeś się, że dałem tytuł *E.* na jej cześć?

— Tak, tak... Khe... tytuł *E.* no właśnie... Khe... tak podejrzewałem... Khe... — bełkotał marszand, próbując jakoś odkaszlnąć zakrzuszenie.

— Ściemniasz, Ewaryst. Nawet ty nie poznałeś, że ta rzeźba to po prostu akt Eweliny. Przyznaj się.

— No dobrze, przyznaję się, ale... Ja nie o tym. Ja o tym, kto zabił Ewelinę.

— Czy to ważne, kto to zrobił? I tak nie żyje, a życie wciąż trwa, dopóki mamy otwarte oczy i czujemy ból — stwierdził niemal filozoficznie.

Ewaryst Rost chciał jeszcze o coś zapytać, ale w tym momencie odezwał się dzwonek do drzwi. A w zasadzie nie był to dzwonek, ale *Marsz imperialny z Gwiezdných wojen* wykonany przy pomocy tego osobliwego instrumentu. Sprawił on, że wielki, spokojny i niemal flegmatyczny Gromulski podskoczył przestraszony.

— To Ruda! — wykrzyknął przerażony artysta spod Lublina. — Tylko ona tak dzwoni. To przez tego jej Aspergera. Muszę schować rzeźbę!

— Dlaczego? — zdziwił się marszand.

— Ruda zawsze była zazdrosna o Ewelinę. Jak się dowie, że mi pozowała do aktu, to się wścieknie. — Pokazał na płataninę wygiętych metalowych prętów, cały czas rozglądając się panicznie za czymś do jej przykrycia.

— Może się nie zorientuje? — wyraził przypuszczenie pan Ewaryst, który musiał uczciwie przyznać, że ciężko być zazdrosnym o tę artystyczną interpretację nagiego ciała.

— Nie zorientować to się możesz ty, ignorancie! A Ruda zawsze wie, co ja tworzę. Nawet jak się sam nie orientuję, o co mi chodzi, to ona bezbłędnie to rozpoznaje! To też pewnie przez jej Aspergera.

Ponownie usłyszeli *Marsz imperialny* wykonany dzwonkiem i tym razem zabrzmiał on jeszcze bardziej złowieszczo niż uprzednio. Spanikowany Gromulski chwycił swe dzieło, uchylił drzwi balkonowe i wystawił akt na zewnątrz. Potem zamknął drzwi i zasłonił je grubymi roletami, tak że w salonie zapadła niemal ciemność. Wychodząc do przedpokoju, włączył jeszcze światło i w pomieszczeniu znów zrobiło się jaśniej. Kiedy zaś pierwsze taktę zagranego dzwonkiem po raz trzeci Marsza imperialnego dały się słyszeć ponownie, z uśmiechem na twarzy przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi. Jednak zamiast dzikiego oblicza Rudej, zobaczył niskiego jasnego blondynka, który patrzył na niego rozbawiony.

— Felek, co to za dowcipy? — zdenerwował się. — Myślałem, że się cały czas szykujesz na wernisaż swojej wystawy.

— Wernisaż mam za tydzień i tylko jeszcze jedną instalację do zrobienia — Felek łabuda machnęła lekceważąco ręką — to pomyślałem, że wpadnę kumpla odwiedzić.

— Zajęty trochę jestem.

— A co, jakąś nową muzę przyjmujesz i boisz się, że cię Ruda nakryje? — Blondynek wszedł do mieszkania Gromulskiego nieproszony.

— Jest u mnie tylko Ewaryst.

Na potwierdzenie jego słów z salonu wychylił się Rost.

— O, pan marszand. — Blondynek uśmiechnął się złośliwie. — Ale co tu w tym salonie tak ciemno? Środek dnia, a palisz światło? To nieekologiczne przecież. A ty jesteś eko do bólu — zakpił, bo choć sam musiał przestrzegać zasad ekologii, by nie być wyklętym ze środowiska, to nie był do nich przekonany.

— Ewaryst wybiera prace do swojej galerii, a ponieważ ostatnio mam mroczny okres w swojej twórczości, tworzę je wyłącznie nocami i uważam, że przy świetle słońca nie wyglądałyby dobrze — skłamał gładko artysta spod Lublina, któremu przyszło to tym łatwiej, że w objaśnianiu istoty swych dzieł maluczkim miał ogromne doświadczenie.

Kiedyś zdarzyło mu się nawet opisać przyniesiony ze skupu złom jako sprzeciw wobec dyktatury konsumpcjonizmu wyrażony w destrukcji wnętrza przedmiotów codziennego użytku.

— Jak zwykle ściemniasz. — Blondynek bezceremonialnie odślonił zasłonę balkonową i wyjrzał na zewnątrz. — Ano tak, to pewnie ten akt Eweliny? — Wskazał na płataninę pogiętych prętów, Ewaryst Rost pomyślał zaś, że chyba się starzeje, skoro on, tak wybitny znawca sztuki nowoczesnej, nie był w stanie odgadnąć, o co w tej rzeźbie chodzi, a dla innych to tak oczywiste.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — siedł w zaparte artysta spod Lublina.

— Dobra, dobra. Ewelinka nie miała przede mną tajemnic, mówiła, że ją zbajerowałeś na pozowanie do aktu. — Blondynek otworzył balkon, podniósł rzeźbę i popatrzył na nią

krytycznie. — Gdzie tu Ewelina? Chyba rzeczywiście tylko Ruda potrafiła ją w tym zobaczyć. Pewnie się wściekła i dlatego zabiła nam Ewelinkę.

— Co ty gadasz?! — zaprotestował Gromulski. — Ruda nie widziała tego aktu.

— To się jeszcze okaże. Jak ją tam Przypadek przyciśnie, to do wszystkiego się przyzna. — Łabuda pokiwał głową.

— Przypadek? Jaki Przypadek? — Zaniepokojony Rost zastrzygł uszami.

— Co, pan marszand nie słyszał o najbardziej wkurzającym gnojku w Warszawie, przed którym drżą wszystkie szczyty?

— Ja nie tylko słyszałem, ja go nawet poznałem, kiedy nikt o nim jeszcze nie słyszał — oznajmił z dumą na twarzy, lecz po chwili dodał smutno: — Jeśli on się zajął tą sprawą, to może ucierpieć wielu niewinnych ludzi.

Malwina Żarska smutno wpatrywała się w ekran laptopa. Nawet pomyślała przez chwilę, że mogłaby zamknąć plik bez zapisywania zmian edycji. Ale szkoda jej było całodzienniej pracy. Zresztą, co by to dało? Odwlekałaby tę chwilę tylko na jakiś czas. A książkę i tak musi niedługo oddać do wydawnictwa. I wyprowadzić się z mieszkania numer 12 na ulicy Koneckiej 40.

— Na pewno ci nie przeszkadzam? — zapytał Jacek, siedzący na swoim fotelu.

— Przecież ci powiedziałam, że nie. Tylko coś szczytywałam.

— Ale jak skończysz, dasz mi przeczytać?

— Nie — odpowiedziała po chwili namysłu.

— Mówiłaś, że dasz.

— Rozmyśliłam się. To jest zbyt osobiste. — Pokazała palcem na ekran laptopa, na którym wciąż był otworzony plik z jej książką, zapisem blisko dziewięciomiesięcznej wyprawy w okolice Himalajów. Poszukiwała w jej trakcie Basi, swojej starej przyjaciółki i byłej narzeczonej Jacka, która zaginęła w trakcie górskiej wędrówki. — I mam prośbę, żebyś nie czytał tego później.

— Dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić. — Detektyw spojrzął na nią tak badawczo, że znów wbiła wzrok w ekran laptopa.

— Trudno. Pewnie zostanie wydana najwcześniej koło Bożego Narodzenia. Albo nawet na wiosnę. Tak czy owak, ja już wtedy nie będę z tobą mieszkała.

— Ja cię nigdzie nie wyganim. Możesz tu zostać, ile chcesz.

— Po co? — zapytała prowokacyjnie.

— Bo lubię z tobą mieszkać — powiedział szczerze detektyw.

— A ja nie lubię — odrzekła równie szczerze eksdziennikarka. — Zamieszkałam tutaj wyłącznie dlatego, że nie miałam się gdzie podziać po tej podróży do Azji. Jak dostanę z wydawnictwa zaliczkę na książkę, to się wyprowadzam.

— Szkoda. — Twarz Jacka wyrażała szczerze zmartwienie. — Już ci mówiłem, że moglibyśmy tworzyć niezły duet. Przydałby mi się solidny menadżer i w dodatku doświadczona dziennikarka śledcza, która zdobyłaby dla mnie nowe informacje.

„Nie wierzę. Przecież on nie jest takim durniem, żeby nie zauważać, nie wiedzieć, że bardzo chciałabym z nim stworzyć ten duet. To znaczy nie ten, ale prawdziwy. On się ze mną chyba tylko bawi specjalnie i mnie wkurza” — pomyślała wściekła Malwina, a na głos dodała:

— Dawałeś sobie do tej pory radę, dasz i teraz. Ja nie jestem ci do niczego potrzebna. Do śledzenia innych masz tych swoich bezdomnych.

— No przecież ci powiedziałem, że chętnie bym z tobą omówił tę najnowszą sprawę.

— Do tego możesz użyć pań Zygrydy i Teodory. — Mimowolnie uśmiechnęła się na wspomnienie wiekowych sąsiadek spod czternastki. — One aż przebierają nóżkami, żeby ci pomóc.

— Im muszę zdawać relację, bo inaczej nie dałyby mi spokoju — westchnął Jacek. — Tęsknię za panią Irminą Bamber. Nie mogę się doczekać, aż wróci pod czternastkę z tej podróży dookoła świata, a jej kuzynki wyjadą do siebie, do Poznania.

— Ja uważam, że są urocze.

— Powiedzmy. Szczegóły tej sprawy wolałbym jednak omówić z tobą. Ale jeśli ci przeszkadza...

— Nie, nie przeszkadzasz mi. Możemy je omówić — powiedziała zrezygnowana. — Sama jestem ciekawa, dlaczego właściwie oskarżyli tego biednego Łosia. Nakaz aresztowania wydała Sapkowska?

— Tak. Wiesz, ona się chyba nawet kiedyś we mnie kochała.

— Naprawdę? Nie pomyślałabym — stwierdziła kpiąco Malwina. — Ona by pewnie najchętniej ciebie samego wsadziła do pudła za to, że się nią w ogóle nie zainteresowałaś.

— Przezań. To nie jest tak, że kochało się we mnie pół wydziału prawa, zanim je rzuciłem. Tak, wiem, że podobałem się wielu koleżankom. Ale ty wiesz, że mnie to wtedy naprawdę nic a nic nie interesowało, bo była Basia. A Sapkowska to była w tamtym czasie fajna dziewczyna. Jak większość tych, z którymi studiowałem. Dopiero jak podorastali, to się zmienili. I gdyby im powiedzieć na studiach, że będą robili to, co robią teraz, większość by się oburzyła. Choć niektórzy już wtedy byli gotowi na wszystko, żeby zrobić karierę i się dorobić.

— Daruj sobie tę socjologię i wróć do sprawy — burknęła Żarska.

Nigdy nie miała pojęcia, jak Jacek uchował się w Warszawie ze swoimi poglądami na życie. Żeby jeszcze wzrastał w jakiejś patologicznie wierzącej rodzinie, ale nie. Przypadkowiec byli przecież normalnymi ludźmi, częścią elity, wplątana, jak cała reszta, w różne zależności i układy. A ten miał to zawsze w nosie!

— Okej. Ta Marcak złożyła kilka razy doniesienia na policję, że sąsiedzi chcą ją zabić. Ale jak ją pytali, kto konkretnie, to nie umiała nikogo wskazać. Choć rzeczywiście dwa razy ktoś jej pociął drzwi mieszkania nożem. Innym razem ktoś napisał sprayem „dziwka”. Łoś twierdzi, że faktycznie nie była specjalnie lubiana wśród mieszkańców kamienicy, bo tam u niej nieraz były głośne imprezy, ale uważa, że nikt z sąsiadów nie byłby zdolny ją zabić. Zresztą mówi, że dość długo nie miała żadnych zatargów z nimi i przepraszała, kiedy było u niej za głośno. Ale od jakiegoś czasu zrobiła się opryskliwa i ponura.

— No dobra, ale skąd nagle Łoś stał się podejrzanym?

— Kilka dni po jej śmierci przyszedł na komisariat list od niej adresowany do policjanta, który sprawdzał zawsze jej skargi. Facet miał akurat urlop, więc list poleżał sobie jeszcze trochę. Napisała, że już teraz wie, że tym, kto chce ją zabić, jest właśnie Łoś. Zbadali odciski palców na liście i faktycznie, są tam jej odciski, a także kilka innych, pochodzących pewnie od pracowników poczty. Ponadto akurat tego dnia Łoś był sam w domu, jego żona była przez dwa dni w rodzinie, więc nie może dać mężowi alibi. Dodatkowo jedna z sąsiadek,

mieszkająca naprzeciwko denatki, powiedziała, że trzech mężczyzn z tej kamienicy miało romans z panią Marcak.

— A jednym z nich był Łoś?

— Tak. I nawet była przekonana, że akurat jego widziała przez judasza, gdy przemykał wieczorem po korytarzu na swoim piętrze. Wprawdzie jak się dowiedziała, o co jest oskarżony, to zaczęła się z tego wycofywać, no ale mleko się rozlało i teraz mój partner jest podejrzany o to, że wbił nóż w szyję niewinnej kobiecie.

— Partner? Naprawdę tak o nim myślisz?

— Tak. Przecież inspektor Lestrade też był partnerem Holmesa, a Japp Poirota.

— No niby tak. — Skrzywiła się sceptycznie. — Jak ją właściwie znaleźli?

— Mieszkała na parterze. A ponieważ w środku dnia miała okno przysunięte grubymi zastłonami, to chłopaki z kamienicy próbowali zajrzeć do środka w nadziei, że zobaczą jakieś „momenty”.

— Zza grubej zastony?

— Była burza, okno było uchylone i wiatr wywiał część zastony na zewnątrz. Dało się zobaczyć, że Marcakówna leży we krwi na podłodze. Narobili rabanu, zlecieli się sąsiedzi, próbowali nawet wejść przez to okno. Ale szpara była taka, że tylko dzieciak albo ktoś bardzo mały tam by się zmieścił. Wyważać okna nie chcieli, zresztą było widać, że już się jej nie da pomóc. Za to dość skutecznie zatarli ślady i jeśli nawet na oknie były jakieś odciski palców, to się zmieszały z innymi, rozmazały albo definitywnie zniknęły, bo deszcz w trakcie burzy zacinął tak, że aż się do środka nalała woda. Na podłodze walało się trochę porozbijanych rzeczy, jakiś talerz, kawałek drewna i sznurki. Ale na nich były też tylko jej odciski palców, więc morderca musiał być w rękawiczkach.

— Czyli w gruncie rzeczy nie mają za wiele na tego twojego partnera. — Malwina uśmiechnęła się ironicznie, wypowiadając ostatnie słowo. — Chyba raczej powinien odpowiadać z wolnej stopy.

— I niewykluczone, że tak będzie. Ale dopóki sprawa się nie wyjaśni, nie będzie mógł pracować, a to może potrwać długo. Może w końcu go wyślą na emeryturę? Dlatego muszę go oczyścić wcześniej z podejrzeń, bo inaczej nie będzie mi łatwo rozwiązywać inne sprawy.

— Przecież ty nawet nie masz ochoty być tym detektywem. I nie zaprzeczaj. A do tego stać cię na to, żeby nim nie być. Kupiłeś już piąte mieszkanie i możesz teraz żyć tylko z ich wynajmu.

— Czymś muszę wypełnić dzień. A to w sumie nie najgorsza rozrywka.

— I masz zamiar tak się wiecznie bawić?

— Przynajmniej do czasu, kiedy nie złapią Klempucha.

— Masz chyba jakąś obsesję na jego punkcie. — Malwina skrzywiła się z niesmakiem. — Facet jest wciąż ścigany przez policję całego świata i ma na pewno inne rzeczy na głowie niż dokuczanie tobie.

— Przyznam ci się szczerze, że nawet nie jestem pewny, czy nie jest w Polsce. Na tej swojej lichwiarskiej firmie pożyczek krótkoterminowych dorobił się takich pieniędzy, że może sobie na to pozwolić. I wybac, jestem przekonany, że na tym świecie jest miejsce tylko dla jednego z nas. A on nie spocznie, dopóki ja będę żył... — Detektyw się zamyślił. — Może w sumie powinienem umrzeć? Oszczędziłbym sporo kłopotu różnym ludziom, a Klempuch...

— Głupstwa gadasz — zdenerwowała się Malwina. — Zaraz jeszcze powiesz, że to on ją zabił, żeby wrobić Łosia.

— Na pewno byłby do tego zdolny. Ale czy to zrobił, to inna para kaloszy. Wykluczyć tego nie mogę, bo... — Jacek urwał, bo ktoś przy pomocy przycisku jego domofonu zaczął nagle grać *Marsz imperialny*. — Chyba mi się jakiś muzyczny klient trafił. — Detektyw wyszedł na korytarz, żeby odebrać. — Jacek Przypadek, słucham.

— Podobno pan się zajmuje zabójstwem tej szmaty Marczak?

— Być może. A kto mówi?

— Ruda. Ja jej nie zabiłam.

— Chętnie o tym porozmawiam.

— A ja nie. Do widzenia.

Jacek usłyszał oddalające się kroki. Odwiesił słuchawkę domofonu i wyszedł na balkon. Rozejrzał się po ulicy i między innymi przechodniami, których znał zwykle z widzenia, zobaczył oddalającą się kobietę o wściekle rudych włosach. Ona się zatrzymała na chwilę, odwróciła i zobaczyła Jacka na balkonie. Detektyw pomachał jej przyjaźnie, co sprawiło tylko, że kobieta na cały głos powtórzyła swą deklarację:

— Ja jej nie zabiłam! Chociaż się dziwce należało!

Gdyby lokal numer 13 przy ulicy Koneckiej 40 miał płuca, musiałby się w tej chwili udać zdecydowanie na wizytę u onkologa. I nie mógłby się raczej spodziewać pozytywnego wyniku diagnozy. Po tej liczbie paczek papierosów, które zostały w nim ostatnio wypalone, wprost nie miał prawa być zdrowy. A oprócz problemów z płucami cierpiałby z pewnością na zaćmę wewnętrzną, bo ilość dymu w pomieszczeniu sprawiała, że jedna ściana nie miała szansy ujrzeć drugiej.

— No i co ty o tym wszystkim myślisz, Zyzia? — zapytała pani Teodora, gasząc piętnastego papierosa od chwili, gdy razem z siostrą pojawiły się w tym opuszczonym chwilowo lokalu, który znajdował się pomiędzy dwunastką, zamieszkiwaną przez Jacka, a czternastką, którą opiekowały się one na czas podróży dookoła świata swojej kuzynki Irminy Bamber.

— Młody Klempuch maczał w tym swoje paluchy.

— Żeby to wiedzieć, to nawet nie trzeba być detektywem. To jest absolutnie jasne.

— Byś się nie wymądrzała, gówniario, tylko powiedziała sama, co o tym myślisz — zdenerwowała się pani Zygryda, która tylko w absolutnie wyjątkowych chwilach podkreślała to, że jest starsza o dwa lata od osiemdziesięcioośmioletniej siostry.

— No że to robota Klempucha, tylko na pewno nie zrobił tego osobiście.

— Żeby to wiedzieć, nie trzeba być detektywem, Dorka — odgryzła się siostrze pani Zygryda.

— No już, Zyzia, nie kłóćmy się. Musimy być zgodne, bo Jacuś nie da sobie rady bez naszej pomocy. I tak, wiem, nie trzeba być detektywem, żeby to było jasne.

— Masz rację, Dorka. — Zygryda pokiwała koncyliacyjnie głową. — Wiemy, że młody Klempuch stoi za wrobieniem Łosia w morderstwo, ale nadal nie wiemy, kto zabił. To raczej wynajęty zawodowiec. Taki, co to nie zostawi własnych śladów, za to podrzuci obce.

— Myślisz? Na razie to nic tak naprawdę nie ma poza tym listem i zeznaniami zazdrosnych sąsiadek. Fachowiec to by raczej podrzucił coś, co należy do Łosia. — Pani Teodora zmiała drugą skończoną dziś paczkę papierosów i odpakowała trzecią.

— A może to chodziło o to, żeby te ślady były niewyraźne? Bo za wyraźne za łatwo sprawdzić.

— Nie kupuję tego, Zyzia. Dla mnie to musiał zrobić jakiś amator...

— Amator? Zwariowałaś, Dorka? — Zygryda zdenerwowała się nie na żarty. — Klempuch nie posługiwałby się żadnym amatorem. Amator zostawiłby jakieś niepotrzebne ślady i sprawa by się szybko ryła.

— I co z tego? Klempuch może nie potrzebować wrabiać Łosia na całego, tylko tak trochę, żeby utrudnić Jackowi jakieś inne ważne śledztwo. Sam to przecież nam mówił.

— No dobra, ale amator, jakby go złapali, szybko by wydał zleceniodawcę.

— Klempuch ma to w nosie. Jak dla mnie, to on albo się ukrywa gdzieś na Morzu Karaibskim, albo jest w jakiejś kryjówce ojca gdzieś na Kamczatce czy we Władystoku. Albo nawet na Krymie. Ukraińcy go stamtąd nie ruszą, zwłaszcza jak się zapadł koło Sewastopola. Jedno oskarżenie mniej czy więcej mu zwisa — stwierdziła autorytatywnie pani Teodora.

— Głupstwa gadasz, Dorka! Klempuch za dobrze zna rosyjski, żeby nie wiedzieć, że tisz jedziesz, dalsze budiesz. Mówię ci, mordercą jest zawodowiec!

— Miałyśmy się nie kłócić, Zyzia — przypomniała siostrze pani Teodora. — I nie krzycz na mnie, bo jeszcze Jacek usłyszysz, że tu jesteśmy, i się zorientuje, że się włamałyśmy do tego opuszczonego mieszkania.

— No co ja poradzę na to, że głupoty gadasz?!

— Ja nie gadam żadnych głupot, tylko logicznie myślę. I wiem, że Klempuch wcale nie musiał wynajmować amatora. Ktoś mu mógł donieść, że jakiś artysta chce zabić tę Marcakównę, a on to tylko wykorzystał, żeby zrobić w tę sprawę Łosia.

— Tyś chyba dzisiaj za dużo papierosów wypaliła, bo cię całkiem zaćmiło — stwierdziła Zygryda, krytycznie przypatrując się siostrze. — Klempuch by w życiu nie polegał na tym, że ktoś mu doniósł, że ktoś coś może zrobić. No jeszcze jakby się dowiedział, że jest na nią profesjonalne zlecenie, to mógłby się podłączyć ze swoją intrygą, ale liczyć na to, że jakiś amator zdecyduje się ją zabić? Nie, to zdecydowanie nie w jego stylu.

— Mógł mieć kilka wariantywnych planów i akurat ten z amatorem wypalił.

— Nie ma takiej możliwości. Mówię ci, że to był zawodowiec!

— Amator!

— Zawodowiec!

— A-ma-tor — pani Teodora oddzieliła starannie każdą sylabę wypowiedzanego słowa, patrząc z wściekłością na starszą siostrę.

— Za-wo-do-wiec — odwdzięczyła jej się tym samym Zygryda.

— Amator!!!

— Zawodowiec!!!

Na tych okrzykach kłótnia dwóch leciwych sióstr się nie zakończyła. Ponieważ jednak autor bardzo lubi swoje bohaterki, nie pokaże Czytelnikom ciągu dalszego, pozostawiając go ich domyślności. Bo to, co stało się na końcu tej kłótni, nie powinno się wydarzyć zarówno między starszymi, jak i młodszymi kobietami.

Starszy aspirant Smańko pracował z podkomisarzem Łosiem od początku swojej kariery. Zawsze sobie tę współpracę chwalił i liczył na to, że dzięki niej daleko zajdzie. Jego przełożony miał opinię dobrego policjanta, może nieco służbisty, ale to w karierze akurat

pomagało. I wszystko przebiegało pomyślnie aż do czasu, gdy na ich wspólnej policyjnej drodze pojawił się detektyw Przybadek.

Od tej pory starszy aspirant mógł w zasadzie obserwować tylko równię pochyłą, po której zsuwali się obaj z podkomisarzem, oddalając tym samym od możliwości awansów. Dlatego nie mógł zrozumieć, że gdy pojawiła się szansa uwolnienia się od towarzystwa detektywa, łoś z niej nie skorzystał. Ba, wręcz przeciwnie, starszy aspirant miał wrażenie, że podkomisarz zaczyna czuć pociąg do tego niby-jasnowidza. Taki jak ćma do lampy. I było tylko kwestią czasu, kiedy się ostatecznie przez niego sparzy.

Z tego powodu starszy aspirant, gdy poczuł, że robi się naprawdę gorąco, udał się na zasłużony urlop. A gdy z niego powrócił, podkomisarz łoś był już nieźle poparzony, czyli siedział w areszcie. Smańce od razu dano wyraźnie do zrozumienia, że nie powinien się tą sprawą interesować. I starszy aspirant robił w tej kwestii, co mógł. Ale i tak wiedział, że też jest kwestią czasu, kiedy spotka znów Przybadek.

— Wiedziałem, że pan po mnie przyjdzie — stwierdził ponuro, jakby detektyw był komornikiem chcącym odebrać dług lub nawet samą śmiercią, a nie stał obok auta policjanta, oparty o swój rower i uśmiechał się przyjaźnie.

— Bardzo się cieszę, zatem na pewno ma pan informacje, po które przychodzę.

— Nie mam żadnych informacji, w ogóle się tą sprawą nie interesuję! — zaprotestował panicznie Smańko.

— Ależ, panie starszy aspirancie, przecież znamy się nie od dziś i wiem doskonale, jak bardzo pan lubił swojego przełożonego. Na pewno starał się pan czegoś dowiedzieć.

— To tylko pańskie przypuszczenia. I niech pan tylko nie mówi, że ludzie są banalnie przewidywalni! — Starszy aspirant ze złością zacytował życiowe i zawodowe motto Jacka.

— Bo są. Po pierwsze, gdyby się pan tą sprawą nie interesował, nie bałby się spotkania ze mną, bo wiedziałby pan, że niczym ono panu nie grozi. Po drugie, nie krzyczałby, że nie ma żadnych informacji i się sprawą nie interesuje, tylko nie potrafiłby pan odpowiedzieć na moje pytania. A ponieważ pan się tą sprawą interesuje i ma jakieś informacje, to zareagował pan tak, jak zareagował.

— Ja naprawdę wolę się od tej sprawy trzymać z daleka. I to robię.

— To proszę mi powiedzieć, jak to „z daleka” wygląda.

— No... — Smańko się zawahał, jakby jeszcze chciał zaprotestować. Ale po chwili zrezygnował. — No nie wygląda to najlepiej.

— A konkretnie?

— Przecież pan wie. Ktoś postanowił odstrzelić komisarza Łosia.

— Dynda jest w to zamieszany?

— Raczej nie. To solidny gliniarz. Z tego, co wiem, to sam z siebie nawet niespecjalnie rwał się do aresztowania komisarza Łosia, ale przyszło polecenie z góry.

— To świetna wiadomość. — Jacek pokiwał głową z zadowoleniem.

— Dlaczego?

— Bo to znaczy, że w razie braku dowodów winy komisarza Łosia pan Dynda nie będzie na siłę szukał dziury w całym.

— Mówi pan o szefie „komisarz”? — zdumiał się Smańko. — A zresztą nieważne. A to, że Dynda nie będzie szukał dziury w całym, nic nie da.

— Ale przynajmniej wiem, że mogę ufać jego ustaleniom.

— Jak prokuratura ustali co innego, to ta dziura sama się pokaże.

— Dlatego muszę się spieszyć, żeby nie zdążyli znaleźć jakichś dowodów.

— Powodzenia. — Starszy aspirant odetchnął z ulgą, licząc na to, że to już koniec rozmowy. Ponieważ jednak detektyw nie wyglądał na osobę, która ma zamiar wsiąść na rower i odjechać, dodał: — To wszystko.

— Raczej nie. — Przypadek pokręcił przecząco głową. — Mam przecucie, że jeszcze coś pan wie.

— Powiedziałem, staram się trzymać od tej sprawy jak najdalej — zapewnił płacziwie Smańko. — Niech mnie pan zrozumie, mam żonę i dziecko.

— I obiecuję, że nie będę pana do tej sprawy mieszał, jak pan powie, co pan ustalił.

Smańko popatrzył na Przypadka z mieszaniną wściekłości i bezsilności. Przecież nie musiał z nim rozmawiać. Ba, mógł go nawet aresztować za uporczywe nagabywanie funkcjonariusza i uniemożliwianie mu dotarcia do miejsca pracy w celu wykonywania obowiązków służbowych. Tylko co by to dało? Znał detektywa na tyle, że wiedział, iż użyje on wszystkich swoich sposobów na wydobycie z niego wiedzy, którą chciał osiąść. Wszystko, co mógł, to odwleć jak najdłużej tę chwilę. Ale to naraziłoby go na to, że detektyw nawiedziłby go jeszcze wielokrotnie, a tego starszy aspirant z pewnością by sobie nie życzył.

— No dobrze — powiedział w końcu zrezygnowany policjant. — Tak na początku na chwilę się tym zainteresowałem. Ale tylko na chwilę! — zastrzegł zdecydowanie Smańko. — No i wyszło mi, że przy otwieraniu drzwi był dozorca. No i nie wiem, czemu go najstąbiej ze wszystkich przesłuchali. No a wiadomo przecież, że taki dozorca to może mieć najwięcej informacji.

— Też mnie zdziwiła jedna rzecz w jego zeznaniach...

Anna Sakowicz, dziennikarka na urlopie macierzyńskim, o depresji poporodowej słyszała niejedno. Doświadczyła jej zresztą na długo przed szczęśliwym rozwiązaniem. Dlatego postanowiła ukarać jej głównego winowajcę, mecenasa Błażeja Sakowicza, i nadać ich synowi imię Volcan. Przy okazji sprawiłaby również, że jej dziecko stałoby się absolutnie wyjątkowe, co zawsze było jej marzeniem. No i do nazwiska, brzmiącego jej zdaniem nienowocześnie czy wręcz staroświecko, dołączony zostałby nowoczesny element. Tak, Volcan Sakowicz to byłaby sensacja na skalę ogólnoeuropejską! A przynajmniej ogólnowarszawską.

Niestety jej teściowa miała nieco inne plany i Anna zgodziła się, żeby wnuk miał na imię tak jak dziadek — Jędrzej. Była to cena tego, żeby matka Błażeja wprowadziła ją w środowisko żon znaczących mecenasów warszawskich. Teraz jednak twierdziła, że synowa musi zająć się przede wszystkim dzieckiem, a kwestie towarzyskie odłożyć na potem. Dlatego depresja poporodowa dawała się Ani mocno we znaki. Aż surfując gdzieś po Internecie, trafiła na Tęczowy Raj. Od razu stwierdziła, że to może być to, co przyniesie jej wieczną radość. I postanowiła, że musi jak najszybciej przekonać do tego męża.

Zaczęła od razu, gdy tylko zdobyła wszystkie niezbędne informacje, choć trafiła na moment, w którym Błażej przewijał małego Jędrzeja, a w powietrzu unosił się niezbyt zachęcający zapach.

— Kupujemy nowe mieszkanie! — oświadczyła.

— Rozumiem. — Młody mecenas pokiwał tylko głową, zatykając nos i odkładając poranny uropek ich syna do kosza. — To gdzie chcesz się przeprowadzić?

— Do Tęczowego Raju.

— Dlaczego to się tak nazywa? — zaniepokoił się Sakowicz, który wprawdzie w przeciwieństwie do Jacka Przypadka nie określał się jako konserwatysta, jednak miał takie odruchy, a ta nazwa go niepokoiła.

— Deweloper zrobi tam taką dużą instalację wodną nad całym osiedlem. W słoneczne, ciepłe dni ma tam być rozpylana mgiełka wodna i ma się pokazywać tęcza — wyjaśniła Ania, a Błażej odetchnął z ulgą. — W ogóle fantastyczne miejsce, na styku dwóch dzielnic, całe zielone, prawie w centrum, wszędzie blisko. Kupią tam mieszkania na pewno najbardziej znane i najbogatsze osoby w Warszawie.

— Skąd wiesz?

— A kogo stać na dwadzieścia tysięcy za metr? — zapytała, w swym mniemaniu retorycznie, macierzyńsko urlopowana dziennikarka, uznając z góry, że w tym gronie znajdują się również oni.

Jej mąż miał na ten temat najwyraźniej odmienne zdanie, bo nieco za mocno zacisnął pampersa na pupie Jędrzeja, wybałuszył oczy i zapytał z niedowierzaniem:

— Ile?!?!?

— Dwadzieścia tysięcy. Oczywiście za stan deweloperski.

— Ale kawalerka tam może być dla nas za mała — zauważył, jak sądził, przytomnie młody mecenas.

— Jaka kawalerka? Myślałam o normalnym, stumetrowym mieszkaniu. — Ania dopiero teraz zauważyła ze zdziwieniem, że mina jej męża jest daleka od zachwyty, więc wyjaśniła: — No muszę mieć salon do przyjmowania gości. I kawałek ogródka dla dziecka.

— To ile nas to wszystko razem będzie kosztować? — zapytał rzeczowo Błażej, licząc naiwnie na to, że uświadomienie całości kosztów ostudzi nieco zapalę żony.

— Ze wszystkim jakieś trzy miliony — odpowiedziała lekko Ania.

— Nie mamy tyle. — Błażej poluźnił pampersa na pupie Jędrzeja i zaczął układać syna do porannej drzemki.

— Przecież wiem. Weźmiemy kredyt we frankach, to się bardzo opłaci. Teraz wszyscy biorą kredyty we frankach.

— Ale jak frank pójdzie do góry...

— Nie pójdzie, zobaczysz. Poza tym jest dwa tysiące dwunasty rok, żyjemy w europejskim państwie, to dlaczego mielibyśmy kredytów we frankach nie brać? Zresztą to moje mieszkanie sprzeda się za pół miliona, ty też dołożysz pewnie z pół.

— Nie mam takich oszczędności.

— To pożyczysz od rodziców. A dwa miliony weźmiemy na kredyt, mam superznajomego, jest doradcą kredytowym w banku. Już z nim nawet rozmawiałam i on też zdecydowanie poleca mi kredyt we frankach. W końcu spłacimy bez problemu, jesteś współwłaścicielem i spadkobiercą kancelarii adwokackiej istniejącej już od ponad stu lat!

— No i taki kredyt chyba też będziemy spłacali sto lat — mruknął nieopatrznie mecenas Sakowicz, co sprawiło, że w oczach jego żony pojawiły się łzy.

Nie były to jednak łzy smutku, ale wściekłości.

— No tak. Pewnie. Dla swojego ukochanego kolesia to prowadzisz sprawę za darmo, a mnie żałujesz na mieszkaniu!

— Mógłbym to robić za darmo, ale Jacek mi płaci...

— No ile on ci może zapłacić za proces o zniszczenie szczęśliwego związku swoich sąsiadów?! Albo za obronę tego podkomisarza Łosia?! Pewnie grosze. Gdybyś tylko chciał,

mógłbyś wziąć najdroższe sprawy na rynku i za dwa lata zarobić całe pieniądze na mieszkanie.

— To nie takie łatwe, jak ci się zdaje. — Jędrzejek zaczął płakać, dlatego Błażej postanowił go pokołysać na rękach.

— Pewnie, że nie łatwe. Jak dla niego pracujesz, to nikt z prawdziwymi pieniędzmi nie chce cię zatrudnić.

— Uczciwi nie mają z tym problemu.

— Błażej, nie rozczulaj mnie. Od kiedy to adwokaci zarabiają na uczciwych ludziach?! Gdyby mieli tylko takich reprezentować, to większość poszłaby z torbami. I nie dyskutuj ze mną, bo dostanę takiej depresji poporodowej, że pożałujesz! Postanowiłam, że kupujemy to mieszkanie, i koniec. Za tydzień jestem umówiona z architektem — oświadczyła twardo.

Błażej nie zaprotestował, za to Jędrzejek jakby miał złe przecucia się do tej przeprowadzki, bo rozplakał się na całego.

— Chyba jest głodny. Może go nakarmisz?

Zarówno syn, jak i młody mecenas zerknęli łakomie w kierunku bluzki urlopowanej dziennikarki.

— Dobrze. Idź już do pracy...

— Mogę za chwilę — zaproponował Błażej, patrząc, jak Ania rozpina guziki swojej koszuli.

— Zapomnij. Popatrzysz sobie na nie, jak podpiszemy umowę z deweloperem. A teraz idź już.

— Ja to, proszę pana, właściwie mógłbym się zgodzić ze swoją żoną we wszystkim — stwierdził z filozoficzną miną pan Ignacy, pełniący obowiązki gospodarza domu w kamienicy zamieszkiwanej przez małżeństwo Łosiów. — Tylko jak widzę, jak jej gula rośnie po każdym moim przytaknięciu, to tak dla świętego spokoju czasem się z nią pokłócę. I o tę Marcakównę też się z nią parę razy pokłóciłem, bo akurat tu wyjątkowo uważałem, że przesadza. Kobita jak kobita, żadne z niej cudo nie było. Oczywiście szkoda jej jak każdego, ale niejednen miał przez nią piekło w naszej kamienicy.

— Kobiety były o nią zazdrosne? — zapytał Przypadek.

— Zazdrosne to mało powiedziane. One były pewne, że połowa ich mężów u niej sypia. Były i takie, które jak facet w nocy na siku poszedł do ubikacji, to mu awanturę robiły, że się na pewno do Marcakówny wybiera. Ja nie mówię, pewnie tam któremuś się mogła zamarzyć, ale był bez szans.

— Dlaczego pan tak uważa?

— No bo ona na nas z góry patrzyła. Tutaj to jakiś policjant, urzędnik, drobny biznesmen mieszka. A ona chyba tylko reflektowała na takich, co to albo jakiś artysta gołodupiec, albo jakiś znaczny milioner, szczególnie taki, co to jest mecenasem sztuki. Parę razy odwoziła ją jakaś limuzyna, ludzie mówili, że należała do tego Klempucha, pan wie, tego, co musiał uciekać z Polski, bo się pokazały jego filmy z małymi dziećmi. — Pan Ignacy splunął z obrzydzeniem i zaczął jeszcze mocniej szorować mopem klatkę schodową.

— Wiem, sam je ujawniłem.

— A, to pan. — Gospodarz domu spojrzął na Jacka z uznaniem. — Dobrze pan zrobił. Takich to trzeba gonić na koniec świata, bez względu na to, czy milioner, czy ksiądz, czy artysta, czy inny producent filmowy. A z tym Klempuchem to ja nie wiem na pewno, czy to

jego limuzyna tu podjeżdżała, ludzie tak gadają, a jego samego nie widziałem. Ale jak to z dziećmi wyszło na jaw, to ludzie w kamienicy na niego psoczyli i tylko ta Marcakówna się podobno oburzyła, że nie rozumiemy wrażliwych ludzi.

— Ale był pan przy otwieraniu drzwi, kiedy przyjechała policja?

— Być byłem. Ale do środka nie wchodziłem.

— A zauważył pan może coś dziwnego?

— Bo ja wiem? — Pan Ignacy podrapał się w głowę. — Ślusarz, co otwierał drzwi, powiedział, że takie jakieś dziwne zamki miała.

— Dziwne?

— Tak. Namęczył się trochę z nimi, bo wszystkie co do sztuki zamknięte. A dziwne były, bo mówił, że jeszcze nie widział takich drzwi, żeby wszystkie zamki były takie automatyczne. Znaczący, wystarczyło wyjść, klapnąć drzwiami i każdy jeden się zamykał. No i siedem ich było. Ale to akurat nie dziwne, bo pan wie, ona uważała kiedyś, że ktoś chce ją zabić, to sobie je założyła.

— Uważała kiedyś? — zainteresował się Przypadek. — To znaczy, że teraz już tak nie uważała?

— No wydawało mi się, że przez jakiś czas nie.

— A czy czasem nie przestała tak uważać zaraz po tej aferze z Klempuchem?

— A wie pan, że możliwe? — odpowiedział pytaniem po chwili zastanowienia pełniący obowiązki gospodarza domu. — Ale głowy nie dam, bo tego nie śledziłem.

— Rozumiem. A czy zauważył pan coś jeszcze w trakcie otwierania tych drzwi?

— Mówię, ja na korytarzu byłem. Widziałem tylko przez szparę jakiś kawałek stołu i laptop...

— Zamknięty czy otwarty?

— Otwarty. Chyba nawet działał. Ale pewny nie jestem. To ważne?

— Być może. W policyjnym raporcie nie było ani słowa o laptopie — powiedział Jacek, bardziej do siebie niż do swojego rozmówcy.

— No to może mi się tylko zdawało? Chociaż nie, pamiętam tego laptopa. Na pewno tam był.

— A podejrzewa pan kogoś?

— Inni niech podejrzewają, mnie tam to do niczego niepotrzebne. — Pan Ignacy odwrócił się do Jacka plecami, zmoczył mopa i z całych sił zaczął wyciskać z niego niepotrzebne krople wody.

— No właśnie, zauważyłem, że był pan jedyną osobą z kamienicy, która w trakcie przesłuchań nie powiedziała, że kogoś podejrzewa.

— Chyba mi wolno? — burknął lekko zły gospodarz domu.

— Wolno, ale mam przecucie, że jednak kogoś pan podejrzewa.

— Ale na szczęście nie muszę się z tego nikomu zwierzać. Szczególnie panu. A ci z policji się za mocno o to nie pytali, to i nie mówiłem. I nadal nie mam zamiaru mówić. — Gospodarz domu zaczął pracowicie wywijać mopem, dając do zrozumienia Jackowi, że rozmowę uważa za zakończoną.

— Przecież pan wie, że to nie komisarz Łoś zabił Marcakównę. A ja mogę panu obiecać, że nikomu oficjalnie nie powiem o pana podejrzeniach.

Pan Ignacy się zatrzymał i uważnie rozejrzał po korytarzu na drugim piętrze kamienicy. Potem wyrzwał przez poręcz schodów, sprawdzając, czy nikogo nie ma piętro wyżej i niżej.

Następnie nachylił się do Przypadka i zapytał półszepem:

— Ale daje pan słowo?

— Oczywiście.

— Kręcił się tu taki blondynek, Marcakówna wołała do niego Felek. On miał taką złośliwą gębę, wredną jak nie wiem. To znaczy czasem niby miał takie przestraszone oczy, ale ja czułem, że za tym się jakaś wredność chowa. Bo często te, co się boją, potrafią być wredne. No i go widziałem poprzedniego wieczora, jak wychodził z kamienicy. Do tej pory to słowa z nim nie zamieniłem, chociaż zwykle, jak Marcakówna się z kimś witała, to i ten, co z nią akurat wtedy był, też zwykle burczał coś takiego jak „dzień dobry”. A ten blondynek nie, patrzył na wszystkich z góry, jeszcze bardziej niż ona, chociaż to konus, najwyżej metr pięćdziesiąt. A wtedy, wychodząc, powiedział do mnie: „Żegnaj”. No to ja mu odruchowo odpowiedziałem: „Do widzenia”. Na co on: „Nie radzę. Z całego serca nie radzę”. No i spojrział na mnie tak jakoś, że faktycznie nie chciałbym go już w życiu więcej zobaczyć.

Feliks Łabuda, artysta konceptualny, specjalizujący się w instalacjach, zawsze chciał być kimś naprawdę wielkim. Pragnienie to być może brało się z mikrogo wzrostu, a może z innych kompleksów. Faktem jest, że jak wielu umiarkowanie wysokich mężczyzn chodził wyprostowany do maksimum możliwości, aby nie uronić choć milimetra z tego, co ofiarowała mu natura. Z tego powodu najbardziej wysuniętym do tyłu punktem jego ciała był czubek głowy i niektórzy twierdzili, że nawet gdyby nie jego charakter, to i tak chodziłby z wiecznie zadartym nosem. Ubocznym skutkiem jego postawy było to, że świetnie mógł podczas spacerów obserwować czubki drzew, za to dużo gorzej było z zauważaniem nierówności w chodnikach.

Od czasów licealnych czuł w sobie duszę i powołanie artysty, którego jednak nie potrafili docenić profesorowie oglądający jego prace, gdy usiłował się dostać na jakąkolwiek uczelnię związaną ze sztuką. Nawet te prywatne radziły mu z dobrego serca, aby zajął się czymś innym, bo szkoda czasu i pieniędzy na studiowanie u nich. On wprawdzie odpierał, że nie musi dobrze rysować martwej natury, i pokazywał na dowód tego dzieła współczesnego malarstwa. Nie przyjmował do wiadomości, gdy tłumaczono mu, że autorzy tych dziwnych bohamazów potrafiliby bez problemu naszkicować jabłko z bananem okraszone winogronami, a obecnie prezentowana przez nich sztuka jest objawem wolności artystycznej.

Łabuda przez długi czas brał dużo prywatnych lekcji rysunku. Lecz musiał być wyjątkowym beztalentem, bo stworzony przez niego koń nieodmiennie kojarzył się z krową, i to taką źle narysowaną. On się jednak uparł, że będzie artystą, nawet jeśli minie się szerokim łukiem z jakąkolwiek akademią sztuk pięknych. I zrobił to, bo w odróżnieniu od talentów artystycznych, tych towarzyskich nie sposób mu było odmówić. Umiał się zawsze wkręcić tam, gdzie trzeba, szepnąć miłe słówka temu, komu trzeba, i wyskoczyć z takim pomysłem, na jaki było zapotrzebowanie. I tak został artystą konceptualnym, specjalizującym się w instalacjach.

Jego kariera nabierała powoli rozpędu i choć jeszcze nie rzucał na kolana krytyki od Paryża po Nowy Jork, to wielu uważało, że kiedyś może się tak stać. On sam też również mocno w to wierzył, choć zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo jego kariera zależy od jednej osoby. Osoby, której nazwisko kiedyś nawet poznał, ale go nie zapamiętał, bo i tak wszyscy nazywali ją po prostu Rudą, ewentualnie posługiwali się jej imieniem — Monika.

Znajomi tak naprawdę nie wiedzieli, co właściwie łączy Mrzyk z Łabudą. Widywano ich często razem, ale pewne było, że nie są nawet parą ani przyjaciółmi. Każdy wiedział o uczuciu Rudej do rzeźbiarza Gromulskiego, o którego była wręcz chorobliwie zazdrosna, choć nie chciała się z nim wiązać formalnie, żeby się nie ograniczać twórczo. Kiedy miała na to ochotę, po prostu przychodziła do jego mieszkania i żyła tam przez kilka dni, a potem spędzała tydzień w swojej pracowni malarskiej, gdzie była oficjalnie zameldowana. Tam pograżała się w twórczości i bardzo nie lubiła, gdy ktoś jej przeszkadzał. A ponieważ w wybuchach złości potrafiła rzucać ciężkimi przedmiotami, rzadko kto odważył się to robić. Jednym z tych nielicznych był Felek.

— Feluś, spadaj stąd, pókim dobra — poradziła mu grzecznie, bo przed godziną wpadła na kolejny pomysł kropkowanego obrazu i teraz z zapałem przelewała go na płótno.

— Ale, Monika, jak ci mogło przyjść coś takiego do głowy?! Przecież ten facet jest skrajnie niebezpieczny! Ty wiesz, ilu on przyzwoitych ludzi wsadził do pudła?!

— To ja już jestem bezpieczna. Powiedziałam mu, że jej nie zabiłam.

— A on oczywiście ci uwierzył — zakpił artysta konceptualny.

— A dlaczego miał tego nie zrobić? — zapytała z prostotą typową dla posiadaczy zespołu Aspergera. — Przecież wiesz, że ja nie potrafię kłamać.

— Ale on tego nie wie. Może zacząć węszyć i węszyć...

— To nic nie węszyć. Ja jestem absolutnie niewinna.

— Wszyscy wiedzą, że byłaś zazdrosna o Ewelinę.

— Bo to była suka, która by dała każdemu, żeby zrobić karierę — odpowiedziała z właściwą sobie bezpośredniością. — A talentu miała nawet mniej niż ty.

— No, no, uważaj. — Felek podniósł się z fotela. — Ty wiesz, ile mi zaproponowali za najnowszą instalację?

— Nie dostałbyś ani grosza, gdybym ci nie wyjaśniła, co naprawdę stworzyłeś. Jesteś najbardziej nieuświadomionym artystą, jakiego znam.

Blondynek chciał zaprzeczyć, ale dla własnego dobra nie mógł. To była tajemnica, która ich łączyła. On wyginał pręty, stawiał lodówki na postumencie, przewiązywał wszystkie niebieską wstęgą, a Ruda mówiła mu:

— Nazwij to *Wykluczenie konsumpcyjne*. Te zamknięte lodówki symbolizują brak dostępu do jedzenia większości świata. Stoją wysoko, więc są tym bardziej niedostępne.

— A ta niebieska wstęga? — dopytywał się Karolek.

— Naprawdę tego nie rozumiesz, idioto? — prychnęła pogardliwie Ruda. — Przecież to zamknięte europejskie granice przed wykluczonymi konsumpcyjnie!

Za to *Wykluczenie konsumpcyjne* dostał główną nagrodę na ważnym biennale, a samą instalację zakupiła prestiżowa galeria w Berlinie za kwotę, która pozwoliła mu zmienić ciasną kawalerkę na ładny, trzypokojowy apartament. Dlatego choć nie obawiał się, że Ruda czymś w niego rzuci, wiedział, że gotowa spełnić swoją groźbę i nie objaśnić mu następnych dzieł sztuki, które stworzy.

— Ja ci tylko z dobrego serca radzę, Monika. Ten typ jest naprawdę niebezpieczny i wcale nie musisz być winna, żeby cię wsadził do pudła. Wiesz, ilu niewinnych ludzi przez niego cierpi? Nie gadaj z nim więcej.

— Nie mam najmniejszego zamiaru. — Ruda zaczęła stawiać na malowanym przez siebie obrazie kropki koloru zielonego. — Słowa z nim już nie zamienię. Przecież wiesz, że jak nie chce z kimś gadać, to tego nie robię.

- To fakt. Tylko uważaj, czy cię ktoś nie śledzi...
- Mnie?! — Malarkę rozbawiła ta uwaga.
- Ja wiem, że ty masz oczy z tyłu głowy, ale on podobno używa do śledzenia bezdomnych. A ich, to wiesz, nie zobaczysz, bo się stapiają z tłem. Tylko po zapachu ich można poznać.
- To ich wyczuję. A ty przestań się przesuwac z tym krzeselkiem! — powiedziała malarka, nie odrywając wzroku od obrazu, na którym pacnęła pędzelkiem kolejną zieloną kropkę.
- Przecież się nie ruszam — zdziwił się artysta konceptualny.
- Przesunąłeś krzesło o jakieś dwa centymetry. Dobrze wiesz, że na podłodze masz kropki, na których muszą stać nogi, i że każda z nich musi te kropki dokładnie zakrywać. — Felek posłusznie ustawił krzesło we właściwy sposób, bo wiedział, że z Rudą nie ma co dyskutować. — Gdzie siadasz?! Idź na ten puf pod oknem.
- Tam jest niewygodnie — zaprotestował blondynek.
- Ale o tej godzinie z krzeselka rzucasz za duży cień.
- Przecież od pół godziny na mnie nie spojrzęłaś, a tego cienia nawet nie widzisz!
- Ale wiem, że on tam jest, i mi to przeszkadza w malowaniu! A w ogóle najlepiej idź skończyć tę ostatnią instalację na wystawę i nie zwracaj mi głowy.

Ewaryst Rost zdawał sobie sprawę z tego, że nie uniknie tej wizyty. Jedyne, co mu pozostawało, to przygotować się do niej z godnością i maksymalną asertywnością, tak aby jego nieproszony gość wyszedł stąd najszybciej, jak się da. Kiedy zrozumie, że nic od niego nie wyciągnie, nie powinien przecież przedłużać swojego pobytu w jego galerii sztuki nowoczesnej. Zwłaszcza że, o czym wiedział po jego pierwszej wizycie ponad dwa lata temu, Przypadek był miłośnikiem sztuki nieznośnie konserwatywnej. Takiej, gdzie wszystko było na swoim miejscu i nawet byle profan mógł od razu zobaczyć, o co w niej chodzi, nie potrzebując tłumaczeń solidnie opłacanych krytyków i znawców.

I choć spodziewał się tej wizyty, to gdy zobaczył twarz detektywa Przypadka z tym słynnym, irytującym wszystkich, dobroliwo-pobłażliwie-ironicznym wyrazem, to zmartwił ze strachu.

- Dzień dobry, panie Ewaryście — przywitał się z uśmiechem Jacek.
- Dzień dobry panu — odpowiedział mu chłodno marszand. — Czemu zawdzięczam pańską wizytę?
- Pomyślałem, że jest okazja osobiście podziękować za pomoc w moim pierwszym śledztwie. Bo mam nadzieję, że moja była narzeczona, Marzena, przekazała panu podziękowania?
- Tak, coś mi mówiła, ale nie bardzo rozumiałem, o co jej chodziło. Coś mówiła o tym symetryzmie, który jest pięknem głupców...
- Dokładnie tak. Gdybym wtedy tego od pana nie usłyszał, to nie zostałbym detektywem.
- Pan żartuje?! — Ewaryst Rost spał się tak bardzo, że fantazyjna marynarka opinająca jego pierś zatrzeszczała niepokojąco.
- Nic z tych rzeczy. Gdyby nie pańska opowieść o symetryzmie, nie rozwiązałbym sprawy kradzieży obrazów pani Bamber. A bez tego nie dostałbym następnego zlecenia i moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej — ciągnął bezlitośnie Jacek. — Bo nawet mi

wcześniej do głowy nie przyszło, żeby być detektywem. Tak, wiele panu zawdzięczam i gdyby potrzebował pan mojej pomocy...

— Niczego od pana nie potrzebuję! — zapewnił go energicznie marszand i pomyślał, że będzie musiał odwiedzić swojego psychoanalityka.

Świadomość, że pomógł stworzyć potwora, przez którego cierpiała co najmniej połowa najwartościowszych mieszkańców tego miasta, była dla niego nie do zniesienia. Ale z drugiej strony nie mógł ryzykować, że jego terapeuta się o tym dowie. Bo gdyby ktokolwiek inny się o tym dowiedział, Rost byłby kompletnie skończony. I nikogo by nie obchodziło, że marszand tego nie zrobił specjalnie. Miał wystarczająco dużo wrogów, żeby wykorzystali tę informację. — Tak że... do widzenia!

— Tak od razu chce mnie pan wyrzucić? — zapytał rozczarowany Jacek.

— Widzi pan, mam klientów! — Wskazał na parkę kręcącą się od dłuższego czasu po jego galerii.

— Proszę nie żartować, panie Ewaryście. Od razu widać, że to studenci, którzy przysli się tu dowartościować. Pewnie wieczorem w jakimś modnym lokalu będą opowiadać znajomym, jakie wrażenie wywarła na nich sztuka nowoczesna z pana galerii.

— No cóż, są tacy, którzy ją doceniają! — parsknął zdenerwowany Ewaryst Rost.

— Ale ceny u pana zaczynają się pewnie od dziesięciu tysięcy za najmniejsze dzieło sztuki. To nie na ich kieszeń.

— A co to pana obchodzi?! Nie rozumie pan, że nie chcę z panem rozmawiać?!

— Doskonale to rozumiem. I niezmiernie żałuję. — Jacek pokiwał głową ze smutkiem. — Bo gdy zacznę się chwalić, jak bardzo pan pomógł w rozwoju mojej kariery, to chyba tylko ze mną będzie pan mógł porozmawiać.

— Chyba nie ma pan zamiaru... — Marszand spojrział na detektywa z przerażeniem i nie miał wątpliwości, że teraz bardziej niż psychoanalityk przydałby mu się kardiolog geniusz.

— Nie mam. Ale zawsze mogę mieć. No chyba że opowie mi pan trochę o panie Marczakównie i jej znajomych.

— Przecież jak opowiem, to będę skończony!

— Nie, jeśli ja będę mówił, że był pan twardy jak skała i wyrzucił mnie z galerii. Ci studenci mogą to potem potwierdzić. Kilka chwil rozmowy i może pan mówić, co chce.

— To co pan chce wiedzieć? — zapytał zrezygnowany marszand.

— Najpierw kilka słów o pani Ewelinie. Podobno była żoną artystów, ale miała większe ambicje...

— Owszem, miała. Ale talentu za grosz. Tylko dużą wrażliwość na sztukę. Chociaż ciągle wierzyła, że znajdzie jakąś niszę na rynku i stworzy w niej wielkie dzieło sztuki. Najłatwiej w zasadzie byłoby w instalacjach. Nawet ją namawiał Felek Łabuda...

— Niski blondynek?

— Tak. Kochał się w niej, ale był bez szans. Ewelina zawsze mierzyła wysoko, myślę, że nawet za wysoko. A o instalacjach nie chciała słyszeć, bo to wszyscy robią. Nawet mi powiedziała kiedyś, że to każde beztalencie bez najmniejszego wysiłku potrafi zrobić, a ona by chciała stworzyć wyjątkowe dzieło sztuki. Jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne. A to nawet w sztuce nowoczesnej nie jest łatwe.

— Nie zawsze trzeba się silić na oryginalność, czasem wystarczy w ciekawy sposób opowiedzieć historię starą jak świat.

— Tak pan sądzi? — Rost spojrział na Przypadka sceptycznie, jednak z nutą zainteresowania.

— Jestem tego nawet pewny. Ale proszę powiedzieć mi, czy ten Felek był zazdrosny o Ewelinę.

— Wydawało mi się, że raczej pogodził się z tym, że nie ma u niej szans, i przystał na rolę przyjaciela powiernika.

— A pan Gromulski?

— No, on się też w niej kochał. Jak większość artystów, bo ona była piękną kobietą, choć jak dla mnie trochę zbyt wulgarną. Ale Artur był nią zachwycony. Może nawet coś by z tego było, bo to naprawdę świetny artysta i Ewelina go lubiła. Ale jego uważa za własność Monika Mrzyk, na którą wołają Ruda...

— Odwiedziła mnie ostatnio, żeby oświadczyć, że to nie ona zabiła. Ona ma Aspergera?

— Tak. Jest trochę szalona, ale to też niezła artystka. I pozostaje w dziwnym związku z Gromulskim, tylko proszę mnie nie prosić, żebym to wyjaśnił, bo nikt tego nie rozumie. W każdym razie on by się raczej bał wykonać pierwszy ruch kończący ten związek.

— A mógł się bać, że ten ruch wykona panna Marczakówna, informując o czymś, o czym nie powinna, panią Rudą?

— No... Może i tak. On ostatnio zrobił jakiś akt Eweliny. W sumie to jest możliwe. — Ewaryst Rost przypomniał sobie oskarżenie Gromulskiego wobec Klempucha i fakt, jak bardzo bał się on ujawnienia przedziwnego aktu. Ale tego nie mógł już pod żadnym pozorem powiedzieć Jackowi. Dlatego zaznaczył: — Ja nikogo nie oskarżam.

— Oczywiście. A powie pan mi coś więcej o tej Rudej?

— Ciekawa artystka. Może nawet byłaby znana, gdyby nie to, że w ogóle ją to nie interesuje. To zresztą chyba jedyna osoba, jaką znam, która taka jest. To znaczy znam paru artystów, którzy udają, że interesuje ich prawdziwa sztuka, ale tak naprawdę pytają, ile im zapłacą za tę ich prawdziwą sztukę — wyznał szczerze. — A ona maluje te swoje kropki na obrazach i potrafi tak całymi dniami. Mówi, że zaznacza tylko najważniejsze punkty na płótnie. Miałem nawet klienta, który kupił jej obraz pod tytułem *Jeleń na rykowisku* i kazał połączyć kolorami te kropki. Więcej za to zapłacił niż za samo płótno.

— I okazało się, że to jeleń na rykowisku?

— Dokładnie tak. To by można dobrze opakować i sprzedać, ale ona jest niemedialna. Kiedyś nawet ważna redaktorka umówiła się z nią na wywiad, a ona jej słowa nie powiedziała. Milczała jak grób. To teraz nikt nie chce się z nią na wywiady umawiać. A bez tego ciężko zrobić na nią koniunkturę. Szczególnie że łabuda też dziwnie mieszka.

— W jaki sposób?

— Jak Ruda długo nic nie sprzeda, to staje na głowie, żeby coś sprzedała, a jak pójdzie parę jej płócien za dobrą cenę, to mówi wszystkim, że jest przereklamowana. Przy czym lubi ją bez dwóch zdań, a to rzadkość, bo on mało kogo lubi. Taki złośliwy typ, ale wie, komu się podlizać i dla kogo być miłym. — Marszand zerknął zaniepokojony na parkę studentów, która dosłownie na moment spojrziała w ich stronę. Czyżby znali Przypadka? — Czy to już wszystko?

— Tak. Może pan już na mnie zacząć krzyczyć i mnie wyrzucać.

— Myśli pan, że oni uwierzą? — Marszand popatrzył sceptycznie w kierunku parki, która w tej chwili stała już przed dużym płótnem, na którym wirowały najróżniejsze kolory,

a zatytułowane było *Karuzela*, i wpatrywała się w nie z zachwytem równym zachwytości tych, którzy oglądają *Mona Lisę* — Przecież widzieli, że rozmawialiśmy.

— To nieważne. Oni uwierzą we wszystko, co im się pokaże i powie.

— Skąd pan wie?

— Ludzie są banalnie przewidywalni. A studenci dzisiaj nie potrafią już myśleć samodzielnie, łykają tylko przekaz dnia. Muszą jedynie usłyszeć go od autorytetu. A sądząc po tym, jak ci tutaj wpatrują się w pana towar, to właściciel galerii sztuki nowoczesnej będzie dla nich jak półbóg. — Jacek się podniósł. — Muszę lecieć, bo mam jeszcze dzisiaj proces o zniszczenie szczęśliwego związku moich sąsiadów.

Komisarz Dynda od dawna był pewien, że podkomisarz Łoś jest wyjątkowym nieudacznikiem. Wprawdzie parę lat temu miał go za całkiem przyzwoitego policjanta, ale po tym, jak pozwolił temu dziwnemu detektywowi robić z siebie pajaca, zmienił zdanie. Nikt z całej komendy nie mógł tego pojąć, w jaki sposób solidny gliniarz dał się wciągnąć w całą ten cyrk urządzany przez Przypadka. Jedynie współpracujący z podkomisarzem starszy aspirant Smańko opowiadał kolegom, że to nie takie proste i naprawdę niełatwo nie zwariować przy sprawach prowadzonych przez detektywa. Nikomu nie udało się zrozumieć, dlaczego to nie takie proste, ale na wszelki wypadek wszyscy woleli się trzymać z daleka od Przypadka.

Komisarza Dyndę jednak zawsze kusiło, żeby zmierzyć się z tym niby-jasnowidzem. Wewnętrznie był przekonany, że potrafi go upokorzyć. A jeszcze od chwili, kiedy pół roku temu musiał przekazać Łosowi sprawę zabójstwa Eleonory Pahl, tylko dlatego, że śledztwo w tej sprawie prowadził także Przypadek, jego motywacja znacznie wzrosła. Od razu poprosił, aby sprawę zabójstwa w kamienicy, gdzie mieszkał podkomisarz, przekazać jemu. Policjiny nos mówił mu, że w tę sprawę musi być jakoś zamieszany detektyw, choć fakty początkowo tego nie sugerowały. Potem było kilka poszlak wskazujących na Przypadka, ale w końcu niespodziewanie nawet dla Dyndy okazało się, że denatka przed śmiercią oskarżyła o wszystko Łosia.

Nie cieszył się, że musi aresztować kolegę policjanta, ale nie miał wyjścia. Prokurator Sapkowska, nadzorująca śledztwo, wydała nakaz, a przełożeni też dawali do zrozumienia, że to dobra decyzja. Dlatego teraz to Dynda miał na głowie wszystkie rzeczy, w które był zamieszany detektyw jasnowidz. Bez względu na to, czy miały one związek z prowadzoną sprawą, czy nie. I musiał przyznać, że już po pierwszym zetknięciu się z informacją dotyczącą Przypadka niełatwo zachować spokój.

— Co z nim zrobił?! Jesteście tego państwo pewni?! — zapytał pary studentów etnografii, która została do niego skierowana z rejonowego komisariatu, gdzie zawiadomiła o dokonaniu przestępstwa.

— Oczywiście, że jesteśmy pewni — potwierdziła nieco zdziwiona studentka. — Widzieliśmy to z Atanazym na własne oczy...

— Momencik, pan ma w papierach Antoni... — zaoponował komisarz Dynda.

— Ale nie lubię tego imienia. Teraz co drugi chłopak to Antoni. To imię nie oddaje całego mnie. Wolę, jak się na mnie mówi Atanazy — powiedział student.

— A ja jestem Selene, chociaż w dowodzie mam Sylwia.

— No dobrze, dobrze, ale jak będziecie podpisywać swoje zeznania, to proszę używać prawdziwych imion.

— Jak to podpisywać zeznania? — Zdziwiona Selene zamrugała oczami.

— My tylko chcieliśmy zawiadomić o przestępstwie, a nie składać jakieś zeznania — dodał Atanazy.

— No ale... jeśli się zawiadamia, to trzeba złożyć zeznania i je podpisać — wymamrotał zdziwiony komisarz Dynda.

— A to nie, to my dziękujemy. Spieszymy się na zajęcia. — Selene chwyciła pod rękę Atanazego i się podnieśli.

— Momencik, tak nie można — zaprotestował policjant.

— Mamy wykład o zwyczajach erotycznych ludów pierwotnych — tłumaczył student etnografii. — Bardzo ciekawy.

— Nic mnie to nie obchodzi — powiedział brutalnie komisarz Dynda. — Najpierw przychodźcie i opowiadacie, że Przypadek podwiesił pana Ewarysta Rosta pod dachem jego galerii, a potem przypiekał na żywym ogniu, a teraz spieszycie się na wykład? Mam was aresztować za składanie fałszywych zeznań?

— Ale my mówimy samą prawdę.

— To ja zaraz zawałam kogoś, żeby to wszystko zanotował, a potem podpisiecie.

— Nic wam nie będziemy podpisywać! — oburzyła się Sylwia vel Selene. — Spełniliśmy tylko swój obywatelski obowiązek, a reszta należy do was. Ten wariat Przypadek nie może przecież chodzić swobodnie po mieście, bo jeszcze zrobi krzywdę komuś innemu.

— Więc mam go aresztować?

— Tak — potwierdził Antoni vel Atanazy.

— Na podstawie zeznań, których nie chcecie podpisać? — zapytał komisarz Dynda, łudząc się, że uświadomienie sobie konsekwencji tych słów sprawi, że młodzi ludzie nieco oprzytomnieją.

Oni jednak spojrzeli na siebie zdziwieni, że ktoś w ogóle ich o coś takiego pyta. Zgodnie więc kiwnęli głowami i odpowiedzieli chórem:

— Tak.

To stwierdzenie mocno już wyprowadziło komisarza Dyndę z równowagi. Ledwo powstrzymał się, żeby nie chwycić czegoś ciężkiego i nie cisnąć tym czymś w parę studentów etnografii. Zamiast tego jednak wysyczał:

— Jeśli za pięć sekund będę was tu jeszcze widział, to wy zobaczycie dziś areszt.

— Choć, Selene. Rost miał rację, że nie warto zawiadamiać policji, bo oni z nim współpracują!

— Precz! — wrzasnął Dynda.

Tak naprawdę najchętniej od razu by ich aresztował, choćby na dwadzieścia cztery godziny, ale wiedział, ile kłopotów mogło mu to przysporzyć. Dlatego wołał się ich pozbyć i odetchnął z ulgą, gdy wyszli za drzwi.

— Boże, co za oszołomy. Mógłbym wezwać tego Rosta i przesłuchać... Ale nie, pewnie wszystkiego by się wyparł. Tylko po co umówił tym dzieciakom taką głupotę? Ten Przypadek najwyraźniej rzeczywiście go odwiedził. Może uważał, że Rost wie coś w sprawie Marcakówny. Tylko co?

Dyndę męczyła ta sprawa. Od samego początku było w niej coś dziwnego. Weszli tam przecież z ekipą i zobaczyli denatkę, jak leży na ziemi z nożem w szyi. A na stole stał laptop, mógłby przysiąc. Tylko że laptop nagle znikł. Widziało go dwóch ludzi, którzy weszli tam razem z nim. A potem żaden z nich nie miał pojęcia, co się z nim stało. Dlatego wspólnie

ustalili, że lepiej w ogóle o nim nie wspominać w protokole oględzin. I nie pytali o zbyt wiele dozorczy, który też chyba widział tego laptopa.

— Ten Przypadek musi być rzeczywiście pechowy — mruknął Dynda. — Dwie baby mu umarły, a do tego zadarł z najpotężniejszym facetem w Polsce. Po co ja się w ogóle w to wszystko chciałem pchać?! Niech już udowodni, że to nie łoś ją zabił, i niech on się z powrotem martwi tym wszystkim.

Wydawać by się mogło, że po odniesieniu tak znakomitego tryumfu zwycięzca powinien mieć zwycięską minę. Albo przynajmniej unieść rękę w geście radości. Tymczasem z ust Błażeja, zamiast okrzyku szczęścia, wyrwało się głośne ziewnięcie.

— No to ich pokonaliśmy — stwierdził bez cienia emocji, patrząc na kolorową i rozkrzyżowaną grupkę, która oddalała się korytarzem sądowym, poklepując i pocieszając byłych sąsiadów Jacka spod trzynastki, którzy oskarżyli go o zniszczenie ich szczęśliwego związku zakazem głośnych kłótni po godzinie dwudziestej.

— Ile dzisiaj spałeś? — zapytał Jacek.

— Mam nadzieję, że jakieś trzy godziny. Bo jeśli krócej, to zasną na schodach i będziesz mnie musiał zanieść w todze do kancelarii.

— Mały Jędrzej tak ci daje w kość?

— I mały Jędrzej, i duży Jędrzej tak samo. A dzisiaj jeszcze papa pewnie będzie tryumfował, że tę sprawę z twoimi sąsiadami wygrałem dzięki jego strategii. A poradziłbym sobie tą moją, a tę jego wziąłem dla świętego spokoju.

— Wziąłeś ją po to, żeby twoja mama przekonała Anię do tego, by mały Jędrzej nie miał na imię Volcan.

— Ano tak, racja, zapomniałem. To pewnie ze zmęczenia i niewyspania. — Dla potwierdzenia swoich słów ziewnął ostentacyjnie. — Chyba znów będę musiał prosić mamę o pomoc, bo inaczej padnę.

— A co się znów stało?

— Ania wymyśliła, że kupimy stumetrowe mieszkanie w jakimś Tęczowym Raju. Ze wszystkim będzie kosztować trzy miliony. Nawet jak wezmę kredyt, to samych rat wyjdzie mi dziesięć tysięcy miesięcznie. Tak że najbliższe pięć lat spędzę głównie w kancelarii, a twoich spraw już nie będę mógł brać. Jedyna nadzieja w mamie.

— Nie wiem, czy Ania da się jej przekonać drugi raz — zauważył sceptycznie Jacek.

— Mama sobie ze wszystkim poradzi. A właśnie, co tam u twojej słyhać?

— Cały czas jest na mnie obrażona za to, że załatwiłem wydanie jej książki i dobre recenzje. Może jej przejdzie po wydaniu drugiej? Taką mam przynajmniej nadzieję.

— Tak, czym byłby świat bez mamy. — Sakowicz junior przytulił się do ściany na korytarzu, jakby to była niemal matczyzna pierś. A przynajmniej puszysta poducha, na której może złożyć swoją głowę do następnego ranka.

— Chyba jednak spałeś krócej niż trzy godziny. — Jacek potrząsnął Błażeja za ramię. — Jedziemy do mnie, prześpisz się chwilę.

— Dzięki wielkie. Bo w pracy też bym nie dał rady zasnąć przez papę. On co chwilę wchodzi do mojego gabinetu i się pyta, co tam słyhać u jego wnuka. Sześć, siedem razy dziennie, jakbym cały czas siedział w dziecinnyim pokoju i tylko niechcący pojawiał się nagle w gabinecie.

— Zaproponuj, żeby go odwiedził.

— Nic z tego. Jak zobaczył go w szpitalu, to się skrzywił, że taki pomarszczony jest, i poprosił, żeby go poinformować, kiedy przestanie być pomarszczony, to wtedy go odwiedzi. A zresztą i tak by mi nie dał spać, bo cały czas chodziłby dumny z tego, że to jego pomysł sprawił, że wygrałem tę sprawę z tymi spod trzynastki.

— No to po prostu przyznaj, że tak było, i po kłopotcie.

Oświadczenie Jacka sprawiło, że wydawało się, iż Błażej na moment oprzytomniał. A tak przynajmniej mógł uważać postronny obserwator, bo mecenas szerzej otworzył oczy. Oprócz przyjaciela widział jednak tylko kolorowe gwiazdki fruwające naokoło głowy detektywa, układające się w świetlistą aureolę.

— Wiesz, chyba jestem za bardzo śpiący, żeby złapać, o czym mówisz.

— To proste. Powiedz papie, że będziesz wszem wobec chwalił jego pomysł na wybawienie z kłopotów pana Przypadka, a zobaczysz, że zabroni ci o tym mówić i sam też w związku z tym przestanie.

Wyszli przed budynek sądu i owionęło ich chłodne, jesienne powietrze. Być może temu Błażej zawdzięczał, że sens słów Jacka jakoś do niego dotarł.

— A, rozumiem, papa nie będzie chciał być z tobą kojarzony. Tak, to może zadziałać — powiedział ucieszony, a potem westchnął ciężko. — Same kłopoty z tymi ojcami. A co u twojego słychać?

— Na szczęście nie miałem z nim już jakiś czas kontaktu. Ale zakładam, że moja przyrodnia siostra owija go sobie wokół palca i to może się dla niego nie najlepiej skończyć.

— Widuję ją czasami w sądzie. Podobno rzeczywiście ostra babka i bardzo inteligentna. Są tacy, co wróżą jej dużą przyszłość.

— A ja nie.

— Nie lubisz jej?

— Wprost przeciwnie, nawet lubię. W końcu trzymała mnie na muszce i do mnie nie strzeliła, więc dla własnego dobra powinienem ją lubić. Ale wiem, że jest podobna do mnie nie tylko z umysłu, ale i charakteru...

— No co ty? — zdziwił się Błażej. — Nie gniewaj się, ale czasem o niej mówią per „ten normalny Przypadek”. Wiesz, w sensie, że nie bryka.

— Na razie nie. Ale mam przecucie, że jak kiedyś bryknie, to wszyscy za mną zatęsknią.

— Dlaczego?

— Bo ja tylko reaguję na to, co mnie spotyka. A ona będzie szukała okazji, żeby wszystkich wkurzyć.

Jackek zatrzymał się przy stojaku na rowery i zaczął odpinać swój pojazd. Błażej początkowo przyglądał się temu ze spokojem i dopiero po chwili jedna myśl zaburzyła gładkość jego czoła.

— Słuchaj, a jak ja właściwie mam pojechać do twojego mieszkania?

— Zawiozę cię na rowerze. Mam bardzo wygodny bagażnik.

— No ale ja jestem w todze. No i mam teczkę.

— Togę sobie podwiń i na niej usiądź. Teczke wezmę ci na kierownicę. A ty się mnie złapiesz, żeby nie zlecieć.

— W sumie dobrze, że już nie biegasz wszędzie, bo nie dałbyś rady zanieść mnie na plecach do domu — stwierdził w końcu mecenas Sakowicz i ulokował się na bagażniku. — No dobra, tylko nie bierz gwałtownie zakrętów.

Chwilę potem ścieżką rowerową zmierzał pojazd teoretycznie rowerowy, którego kierowca trzymał przewieszoną przez kierownicę teczkę powszechnie szanowanego mecenasa, a tenże mecenas, nadal ubrany w togę, siedział na bagażniku i początkowo obejmował cyklistę, jak dziewczyny obejmują motocyklistów. Po chwili wtulił jednak swoją twarz w jego koszulkę i zasnął snem sprawiedliwych. Kierowca zaś bardzo uważał na każdy wybór, aby nie zgubić gdzieś po drodze przyjaciela.

Artur Gromulski wpatrywał się w pracowicie poskręcane pręty, noszące tytuł *E*. Ponieważ był wielkim fanem swojego talentu, przyznał z właściwą sobie skromnością, że oddał jej gibkie kształty perfekcyjnie. Dlatego gdy dotykał chłodnego metalu, miał wrażenie, że dotyka jej ciała, tak jak wtedy, gdy mu pozowała.

— Należało jej się to — powiedział ze złością artysta spod Lublina. — Tylko się mną bawiła i bawiła. A gdyby powiedziała chociaż słowo, oszalałbym dla niej — stwierdził patetycznie. — I w nosie miałbym Rudą — dodał odważnie. — Najwyżej zrobiłaby mi parę awantur i byłoby o nas głośno. Ale Klempuch coś by na nią poradził i wypromował mnie tak, że za byle gównem bym dostawał sto tysięcy złotych. On uwielbiał Ewelinę i zrobiłby dla niej wszystko. Może nawet udałoby mu się ją wypromować na jakąś artystkę? Ktoś mógłby za nią coś zrobić, a ona by się tylko podpisywała. Historia sztuki zna takie wypadki. E, po co ja o tym w ogóle myślę. Ona już nie żyje i bardzo dobrze. Będę spokojniejszy... O rany!

Gromulski podskoczył ze strachu, słysząc dźwięki Marsza imperialnego. Tak, to prawda, to mógł być znowu Felek Łabuda, ta złośliwa małpa instalacyjna. Ale drugi raz już by chyba nie zrobił takiego samego numeru. Czyli to Monika. W tej chwili rzeźbiarz nie był tak pewny, że mógłby mieć malarkę w nosie. Ruda jednocześnie fascynowała go i przerażała. A tym, co przerażało go najbardziej, był akt Eweliny Marcak. Dlaczego nie zaniósł go do piwnicy, gdzie leżał tak długo? Gdyby Monika wpadła jutro, już by go tu nie było. Rost do niego dzwonił, że ma na niego kupca, i rzeźbiarz miał mu go odnieść następnego dnia rano. Na balkon nie mógł go wynieść, bo tam go już znalazł złośliwy Falek i mógł donieść Monice, gdzie ma na razie co szukać.

Marsz imperialny wygrywany dzwonkiem do drzwi odezwał się ponownie.

— Już idę, Monika, momentik. Tylko... coś na siebie narzuć.

Jednak zamiast się ubrać, Gromulski zdjął w pośpiechu koszulę i spodnie, chcąc tym samym zasugerować dziewczynie, że przed chwilą nie miał na sobie nawet majtek. To poddało mu myśl, że powinien zasłonić czymś rzeźbę. Rzucił na nią koszulę, spodnie, kilka koców, a potem wyjął z szafy płaszcz i nałożył na wierzch. Powyginane pręty zniknęły pod grubą warstwą materiału, a artysta spod Lublina odetchnął z ulgą i ruszył do korytarza, by otworzyć.

— Cześć, Monika. Stęskniłem się za tobą. — Rozłożył szeroko ręce, jakby chciał ją przytulić.

— Oszalałeś?! — Ruda uchyliła się przed objęciem Gromulskiego. — Przecież wiesz, że przytulamy się dopiero w łóżku.

— Ale to z tęsknoty, przecież mówię.

— Artur, ustaliliśmy dawno temu, że w naszym związku nie ma żadnej czułości. Jesteśmy nowoczesnymi i postępowymi osobami, które interesują tylko potrzeby ciała. — Ruda weszła do pracowni i od razu spojrzała na wielką kupę ubrań i koców. — Aha, chciałeś to ukryć. To pewnie akt tej Eweliny.

Artysta spod Lublina chciał zaprzeczyć, ale nie miało to większego sensu, bo Ruda już zrzuciła stosy ubrań i koców z rzeźby.

— Całkiem niezłe — pochwaliła.

— Felek ci powiedział o tym akcie? — zapytał Artur.

— Wiedział drań? — zapytała właściwie bez emocji w głosie.

— Tak. Ale to skąd wiesz? Chyba mi nie chcesz powiedzieć, że poznałaś pod tym stosem ubrań? — Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Oczywiście, że poznałam. Nie jestem ślepa na sztukę, jak dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent tego społeczeństwa — prychnęła pogardliwie.

Lecz rzeźbiarz, mimo że wiedział, że jego niby-dziewczyna nie kłamie, to i tak wciąż nie mógł uwierzyć, że udało jej się rozpoznać tak ukryty akt. Inna rzecz zdziwiła go jednak bardziej, dlatego zapytał:

— Nie jesteś zazdrosna?

— Jakby żyła, tobym była. Na szczęście jest już martwa, to dlaczego mam być zazdrosna? — zapytała nie bez racji. — Zwłaszcza że to ty ją zabiłaś.

— Co proszę?!?!? — rzeźbiarz spojrzał na malarzkę zdumiony.

— Nie wypieraj się, już wcześniej to podejrzewałam, a jak teraz zobaczyłam tę rzeźbę, wiem to na pewno.

— Ale co ty za głupoty opowiadasz?!

— Przecież wiem, że ci się podobała. Pewnie cię nie chciała i zabiłaś ją ze złości.

— Nikogo nie zabiłam! — zaprzeczył energicznie Gromulski. — I co do tego ma ta rzeźba?!

— Na pewno nie było jej w twojej pracowni, gdy z tobą mieszkałam. Czyli musiałeś ją rzeźbić u niej w mieszkaniu. Przynieść tutaj byś się ją bał, pewnie liczyłeś na to, że uda ci się ją po cichu sprzedać. No ale nie mogłeś jej zostawić u niej po tym, jakbyś ją zabił. Pewnie na jakiś czas schowałeś ją w swojej piwnicy, żebyś jej nie widziała.

— Leżała tam od dawna.

— Nie, w twojej piwnicy też czasem bywam. A ty na pewno pokazałeś ją Rostowi w pierwszym możliwym momencie. Czyli zabiłaś Ewelinę. I bardzo dobrze, bo takie beztalencja tylko niepotrzebnie zajmują miejsce na świecie.

— Powtarzam, nikogo nie zabiłam! A jak tylko to komuś powtórzysz, to z nami definitywny koniec! — Artysta spod Lublina sam się zdziwił, że się odważył wypowiedzieć te słowa.

— Okej. — Ruda odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

— Chcesz to rozpowiadać?!

— Nie. Ale fakt, chyba już czas zakończyć nasz związek...

— Rzucasz mnie?! — zapytał Artur i każdy poza Moniką pewnie by się zastanawiał, czy to tylko pytanie, czy już okrzyk radości.

Ale ona nie czuła tych niuansów i odpowiedziała:

— Proszę cię, tylko bez hysterii. Jak będziesz mnie chciał zobaczyć, to będę na tym wernisażu Felka... — Malarka otworzyła drzwi, stanęła na chwilę i pociągnęła nosem. — Jakieś jedzenie ci się zepsuło?

— Nie.

— To może zabiłaś jakieś zwierzę, bo potrzebowałeś jego wnętrzości jako tworzywa? — zapytała z obrzydzeniem, gdyż nie znosiła twórczości Damiana Hirsta, o którym Gromulski wypowiadał się kiedyś z aprobatą.

— Przecież wiesz, że nie znoszę widoku krwi.
— Czekaj... A może był u ciebie ostatnio jakiś bezdomny?
— Nie. Ale faktycznie coś brzydko pachnie. Ale to nie u mnie, tylko tak bardziej w proggu.
— To będziesz miał kłopoty — stwierdziła bez cienia emocji Ruda. — Felek mi mówił, że ten Przypadek posługuje się bezdomnymi. On mógł słyszeć całą naszą rozmowę i pan detektyw wie, że zabiłeś Ewelinę.

Mężczyzna, który miał śnieżnobiałe włosy i taką brodę, wyprężył się dumnie, bo czuł, że świetnie spełnił swoje zadanie. Zresztą nie mogło być inaczej. Byli już doświadczoną ekipą i wśród bezdomnych zyskali specjalny status, jako ludzie „tego Przypadka” — on, którego wszyscy nazywali Siwowłosym; łysawy posiadacz wielkiego orlego nosa, czyli Saganek; osobnik przypominający nieco amerykańskiego rapera, kulejący, z wiecznie skrzywioną w grymasie niezadowolenia twarzą, zwany Kikutem; dziecięco naiwny Koziołek, no i czasem ktoś dobrany *ad hoc*. Oprócz kontaktów ze słynnym detektywem wyróżniało ich również to, że dość często byli zaopatrzeni w fundusze do nabycia szczególnie popularnych w tej grupie trunków, co również przysparzało im prestiżu.

— No to, szefie, w zasadzie szef może już aresztować tego z wielkimi łapami. — Zadowolony Siwowłosy się uśmiechnął. — To on zabił.

— Niestety, sam go nie mogę aresztować, tylko muszę przekonać do tego policję. A w tym celu najpierw muszę rozwiązać tę sprawę w całości. Ale jestem już coraz bliżej jej rozwikłania.

— To ona się jeszcze nie rozwiązała? — zdziwił się bezdomny.

— Powiedzmy, że muszę zdobyć trochę więcej dowodów.

— Ano tak, szef ich załatwi koncertowo, bez dwóch zdań... A, mam jeszcze to, o co szef prosił.

Siwowłosy sięgnął do plastikowej torby. Wyciągnął z niej przedmiot, którego przeznaczenie trudno było odgadnąć, a nawet niełatwo jest autorowi opisać. W każdym razie najprościej rzecz ujmując, było to metalowe pudełko z ogromną liczbą poluzowanych śrub i nakrętek na wierzchu.

— Nada się?

— Perfekcyjne.

Jacek sięgnął do portfela, żeby wypłacić swoim współpracownikom należne honorarium, ale Siwowłosy powstrzymał go gestem ręki.

— To może za chwilę. Ja bym dziś potrzebował czegoś innego.

— A czego?

— Taka jedna artystka powiedziała, że idealnie bym się nadał na modela. Bzykać się pewnie chce, jak to artystka, ale postawiła warunek, że jak jej chcę pozować, to się muszę umyć. Tylko nie u niej, żeby jej mieszkania nie zasmrodzić.

— Zapraszam do łazienki. — Detektyw pokazał na drzwi, ale bezdomny się nie ruszył.

— No i przydałoby mi się parę ciuchów. Byle co, tam oni w większości jak łachmaniarze wyglądają, tylko czyste wszystko mają.

— Idź się umyć, a ja poszukam czegoś w szafie. — Przypadek przyjrzał się krytycznie zwałistej sylwetce Siwowłosego, znacznie większego od Jacka. — Tylko to będzie trochę ciasne.

— Nie szkodzi, jak się będzie na mnie opinać, to przecież jeszcze lepiej, nie? — Bezdomny mrugnął porozumiewawczo do detektywa.

Siwowłósy poszedł do łazienki, a Przypadek zaczął wyszukiwać w szafie odpowiednich rozmiarów ubrania. Gdy miał już ich kilka, do mieszkania weszła Malwina Żarska. Od razu poczuła, że mają gości, i bez słowa poszła zrobić to, co zawsze robiła w takich wypadkach, czyli otworzyć okna. Wtedy zobaczyła, że nawiedził ich nie tylko bezdomny współpracownik Jacka, ale także śpiący na kanapie Błażej.

— A temu co się stało?

— Świątuje wygraną sprawę niewidzianym od dawna snem sprawiedliwego.

— Aha — przytaknęła tylko i nie zapytała o ubrania trzymane w ręku przez Jacka, bo ich przeznaczenia mogła się domyślić. Zastanowiło ją dziwne metalowe pudełko na stole. — Do czego ci to?

— To magiczny wykrywacz prawdy.

— Magiczny wykrywacz prawdy? Żartujesz? Nie ma czegoś takiego.

— Owszem jest i ręczę ci, że przy pomocy tego pudełka ją wykryję.

Malwina wzruszyła ramionami. Nie wierzyła, że metalowa skrzyneczka z dużą liczbą śrubek jest rzeczywistym wykrywaczem prawdy. Nie wątpiła jednak, że Jacek znajdzie jakiś dziwny sposób, żeby w takie urządzenie ją zamienić. I nie ma sensu dopytywanie go, w jaki, bo nie zdradzi swojej tajemnicy, zanim nie wypróbuje, jak wykrywacz naprawdę działa.

— Czy twój gość na długo zajmie łazienkę?

— Trudno powiedzieć. Musi się zrobić na bóstwo. Zainteresowała się nim pewna artystka.

— To ten Siwowłósy?

— Też ci się spodobał? — zapytał ironicznie Jacek.

— Tak i to bardzo — potwierdziła z kpina w głosie eksdziennikarka, a potem dodała na serio: — Już dawno zauważyłam, że ten pan Siwowłósy jest co najmniej tak pewny swej atrakcyjności dla płci przeciwnej jak Błażej. A może nawet i jeszcze bardziej.

— Kropelka pewności siebie jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

— No chyba że ta kropelka zamieni się w ogromny wodospad. A raczej z tym mamy do czynienia w tym... — urwała w pół zdania, bo z łazienki niespodziewanie wyszedł Siwowłósy. Stał naprzeciw Malwinie. Mimo swej nagości nie wydawał się skrępowany, w odróżnieniu od Żarskiej.

— Szeffie, mogę się wytrzeć tym dużym niebieskim ręcznikiem?

— Nie! — krzyknęła nieco panicznie Żarska.

— To ręcznik pani Malwinie — wyjaśnił spokojnie Przypadek. — Zaraz ci dam inny.

— Dobrze — zgodził się potulnie bezdomny, ale nie wyglądał na kogoś, kto ma zamiar w łazience poczekać na ręcznik.

Był raczej zadowolony z wrażenia, jakie wywarł na Malwinie. Może dlatego eksdziennikarka szybko poszła do pokoju. Jacek ruszył za nią i widząc, że to samo chce zrobić Siwowłósy, zatrzymał go gestem ręki, dodając:

— Zostań, proszę, tutaj.

Kiedy Jacek znalazł się w pokoju, czekała tam już na niego Malwina z dużym ręcznikiem w ręku.

— Przepraszam cię, sama wiesz, jaki on jest.

— Wiem — przytaknęła szybko Źarska i dodała nerwowo: — Oglądałam pierwsze mieszkanie do wynajęcia...

— Tak szybko dostałaś zaliczkę?

— Nie, ale obiecali, że najdalej za dwa, trzy tygodnie powinnam ją mieć na koncie. Poza tym zaczęłam się rozglądać za pracą.

— Nie ma sensu się spieszyć, wybierz dobrze.

— Nie chcę krępować ciebie ani twoich gości.

— Jak widziałas, moi goście raczej nie są skrupowani.

— Szeffie, zimno mi jest! — Dobiegł głos z korytarza.

— Już idę. — Jacek wyszedł z pokoju, zamykając za sobą starannie drzwi, przez które ciekawie zaglądał Siwowałosy, lecz nie po to, by coś zobaczyć, ale żeby samemu być dokładnie zauważonym. Detektyw podał bezdomnemu rękawiczkę i wcześniej przygotowane ubrania. — Zanim pójdziesz do tej swojej artystki, będę miał dla ciebie jeszcze jedno zadanie.

— Tylko nie za długie, szeffie, bo się boję, że mi się rozmyśli.

— Spokojnie. Będę tylko potrzebował do ważnej misji Koziołka.

— Eee, do ważnej misji to może lepiej Saganka. Albo Kikuta. Albo kogokolwiek innego. Przecież szef wie, że Koziołek to idiota. Coś prostego to i może jak najbardziej. Ale na ważne misje to lepiej nie. On ma tę metalową płytkę we łbie i ciężko mu się myśli.

— I właśnie kogoś takiego potrzebuję.

Felek Łabuda stał właśnie przed swoim najnowszym dziełem, wpatrując się w nie z zachwytem. Była to mocno zardzewiała wanna wypełniona do połowy wodą, do której dolał zielonego barwnika. Wanna stała na marmurowym postumencie. Jako korka użył sztucznego członka, wciśniętego tak mocno, że swym czubkiem dotykał do chłodnego kamienia. Od góry wbił w niego metalowy pręt, na którym rozpiął niewielki żagielek.

— Genialne — mruknął pod nosem. — Tylko co to właściwie jest i jak to nazwać? — zapytał sam siebie i machnął ręką. — Nie ma się co zastanawiać, Ruda sobie z tym poradzi. No dobra, to już w zasadzie jestem gotowy na wystawę!

Artysta konceptualny przysiadł na ławce naprzeciw swego dzieła w plenerowej galerii, która użyzczała mu miejsca i materiałów w zamian za zgodę na pochwalenie się tym, że coraz bardziej słynny pan Łabuda tworzy swoje dzieła na jej terenie. Już po chwili odniósł wrażenie, że nie jest jedyną osobą kontemplującą sztukę nowoczesną. I nie chodziło o to, że wyczuł czyjś wzrok wpatrujący się w ten sam punkt. Chodziło o zapach, jaki wydzielał widz.

— Kim pan jest?! I jak pan tu wszedł?! — zapytał zdenerwowany blondynek.

— Jestem Koziołek. I wszedłem przez płot — odpowiedział z rozbijającym uśmiechem bezdomny, bo był osobą szczerą i prawdziwą, co najmniej tak jak Ruda. W przeciwieństwie do niej był jednak również dobroniosny do granic możliwości. Choć zdarzało mu się, gdy uważał, że ktoś chce go skrzywdzić, wpadać w złość.

— Ale po co? — zapytał zdziwiony i nawet lekko już przestraszony artysta konceptualny.

— Mam pana obserwować. Pan Przypadek mi kazał.

— Działa pan na jego zlecenie?! — krzyknął przerażony Felek.

— Właśnie tak. Szef uważa, że to pan zabił, i kazał mi mieć na pana oko. — Koziołek, który swój pseudonim zawdzięczał tyleż hiszpańskiej bródce, co i walorom intelektualnym, uśmiechnął się przyjaźnie.

— Znaczą, że ja... ja zabiłem Ewelinę Marcak?!

— Tak uważa szef — potwierdził kiwnięciem głowy Koziołek.

— Dlaczego?

— Powiedział, że tylko taki kurdupel jak pan mógłby się wcisnąć przez to uchylone okno do jej mieszkania.

— Ale to... nieprawda! — krzyknął Felek na tyle głośno, że właściciel galerii wyjrzał przez okno.

Zobaczył Koziołka stojącego obok blondynka, ale ponieważ z tej odległości nie mógł wyczuć jego zapachu, pomyślał, że to kolejny ekscentrycznie wyglądający artysta, a spór między panami dotyczy sztuki współczesnej. Dlatego nie ma sensu interweniować, tylko można się potem zapytać, czy rzecz dotyczyła końca paradygmatu awangardowego, czy może czegoś innego.

— Nie, to musi być prawda. Szef się w takich sprawach nigdy nie myli. — Bezdomy pokiwał głową z niewzruszoną pewnością siebie.

— Ale tym razem się myli! Myli się na pewno, daję słowo!

— No to jak nie pan, to kto zabił? — zapytał z zainteresowaniem Koziołek.

Łabuda spojrział na Koziołka, zdziwiony bezpośredniością jego pytania. Do tej pory nie powiedział nikomu, kogo podejrzewa o zamordowanie Eweliny Marczak czy też raczej, kogo by można o to oskarżyć, żeby w razie czego zdjąć z siebie oskarżenia. Ale teraz miał naprzeciw wysłannika tego arcydrania Przypadka, który podejrzewał właśnie jego. I artysta konceptualny nie miał cienia wątpliwości, że słynny detektyw poradzi sobie bez problemu z udowodnieniem tego faktu. Przecież już wsadził do więzienia tyle uczciwych osób. Dlatego musi odsunąć jego podejrzenia jak najdalej od siebie.

— To Monika zabiła. Taka ruda...

— Wiem, wiem. Szef przewidział, że pan ją będzie oskarżał. Ale to niemożliwe, bo ona powiedziała, że nie zabiła. A ona nie kłamie, tak jak ja.

„Co za łotr z tego Przypadka! — pomyślał wściekły Łabuda. — Przysłał mi jakiegoś kolejnego wariata z obsesją na punkcie mówienia prawdy, żeby coś ze mnie wydusić. Ale niedoczekanie jego. Załatwię go na cacy!”

— Ruda ma rozdwojenie jaźni.

— A co to znaczy?

— To znaczy, że zabiła ta druga. — Artysta konceptualny podniósł się ze złości. — Nie ta, która mówiła, że nie zabiła.

— Aha, nie ta. — Koziołek, który przyjął, że już rozumie, pokiwał głową. Ale metalowa płytką w jego głowie, która znalazła się tam po nieszczęśliwym wypadku, nie pozwalała mu na zbyt wiele. — To znaczy konkretnie która?

— No... te Rude są dwie. I jedna mówi prawdę, że nie zabiła, a druga zabiła i siedzi cicho i się nie odzywa.

— Aha. — Koziołek znów pokiwał i zaraz zapytał: — A jak się nazywa ta druga Ruda?

— Tak samo jak ta pierwsza.

— A to spryciara. Tak samo się nazwała... Ale pewnie inaczej wyglądają?

— Nie, wyglądają identycznie! — krzyknął sfrustrowany Łabuda.

— No to cwana bestia. Tak samo się nazywa, tak samo wygląda... — Coś zaniepokoiło bezdomnego. — To może to jest ta sama osoba?

— No przecież cały czas to mówię! — wrzasnął zrozpaczony artysta konceptualny.

Kierownik galerii tym razem się nie wychylił, tylko pokiwał znad wniosku o kolejny grant i powiedział pod nosem:

— Tak, na pewno rozmawiają o końcu paradygmatu awangardowego.

— A ja już nie wiem, co pan mówi — odpowiedział artyście bezdomny. — Raz pan mówi, że ona jest jedna, a raz, że dwie, tylko jedna. To się kupy nie trzyma. To pewnie pan zabił i tyle.

— Ale przecież panu mówię... Gdzie pan idzie?!

— Do szefa. Powiem, że miał rację, bo to pan zabił.

Łabuda nie miał już nawet siły zaprotestować. Koziółek podszedł do płotu, bez problemu wniknął pomiędzy jego żelazne pręty i wkrótce zniknął z zasięgu wzroku blondynka. Ten bezradnie opadł obok swojego najnowszego dzieła.

— Zamknie mnie — bełkotał zrozpaczony. — Jak nic pójść siedzieć. Chyba że... — Pewna myśl zaświtała mu w głowie. — Może by się dało... — Rozejrzył się uważnie.

Właściciel galerii siedział w swoim pokoju, a ponieważ instytucja, którą zarządzał, nie cieszyła się jakoś szczególnie wielką popularnością wśród odwiedzających, Łabuda nikogo nie zauważył. Dlatego nachylił się nad marmurowym postumentem i lekko stuknął w niego głową. Efekt był mizerny, dlatego po chwili uderzył zdecydowanie mocniej i syknął:

— Auć.

Zrobił to niezbyt głośno, bo zdecydowanie nie chciał, żeby mu się ktoś przypatrywał. A potem kilkukrotnie powtórzył ten manewr, przeklinając w duchu okrucieństwo nieznośnego detektywa, przez którego musiał się na to zdecydować.

Pani Eugenia Łoś, żona podkomisarza, była absolutnie przekonana o niewinności swojego męża. Jednak nieraz już słyszała o takich, co zostali zamknięci niesłusznie i w gruncie rzeczy zabrakło im pieniędzy na dobrego adwokata, aby oczyścić się z podejrzeń. I to ją martwiło najbardziej. Wprawdzie policjant miał przecież bardzo dobrego i drogiego adwokata w postaci Błażeja Sakowicza, a na dodatek absolutnie najdroższego detektywa i jasnowidza w Polsce, ale to nie uspokajało pani Łosiowej. Bo od męża wiedziała, że jak się ktoś ważny uprze, to nawet najlepszy mecenas niewiele tu pomoże.

Dlatego nie pojmowała, dlaczego jej druga połówka tak bezgranicznie ufa w moc sprawczą Przypadka. Oczywiście, będąc żoną podkomisarza, nieraz przekonywała się, jak bardzo zawiłane sprawy potrafił rozwiązać detektyw. Ale tu nie o samo rozwiązanie sprawy chodziło, tylko o wydobycie jej męża z więzienia. A z tym nawet Przypadek może sobie nie poradzić, jeśli ktoś uparł się wsadzić dzielnego policjanta za kratki.

— Zupełnie nie rozumiem, dlaczego jesteś taki spokojny — narzekła w trakcie kolejnych odwiedzin w areszcie.

— Bo wiem, że mnie z tego wyciągnie — odpowiedział flegmatycznie Łoś. — A wtedy im wszystkim pokażę!

— Co im pokażesz? — zapytała zaniepokojona.

— Zobaczysz.

— Żebyś ty prędzej nie zobaczył tego Przypadka w celi obok.

— Spokojnie, jemu tak łatwo butów nie uszyją.

— Niczego mu nie muszą szyc. Sama czytałam, że zniszczył jakąś galerię sztuki, a potem pobił tego artystę, co to ci Smańko pokazywał jakiś jego obraz za pięćdziesiąt tysięcy.

— No pamiętam. Łabuda czy jakoś tak.

— Tyle że on wcale nie maluje obrazów, tylko jakieś instalacje robi — wyjaśniła pani Łosiowa.

— Widać coś się Smańce pomyliło. I tym pismakom też się musiało pomylić.

— Nic im się nie pomyliło, bo z nim to wywiad oglądałam. Całą twarz miał w siniakach.

— I że niby Przypadek go pobił? — Podkomisarz spojrzął na żonę z niedowierzaniem.

— Nie on, ale jacyś bezdomni wynajęci przez Przypadka, którzy napadli go w trakcie pracy.

Zamyślony policjant podrapał się w głowę.

— Ci bezdomni to najczęściej przecież są nieagresywni. Chcą zwykle tylko wyżebrać parę złotych na tanie wino. Ale generalnie za cieni w uszach, żeby komuś krzywdę zrobić. Nawet takiemu mikrusowi jak Łabuda.

— Na własne oczy widziałam. A on się zarzekał, że tamci sami się chwalili, że ich Przypadek nastąpił.

— Oj Gienia, przecież wiesz, że on jest upierdliwy, ale nigdy się nie ucieka do przemocy.

— Może mu już odbiło z tej sławy? — wyraziła przypuszczenie pani Łosiowa. — Wiesz, jak to ze sławnymi bywa, nawąchają się różnych rzeczy albo coś łykną i im szajba odbija.

— Przypadek jest czysty, on nawet z alkoholem nie przesadza.

— To może po prostu nie jest w stanie rozwiązać tej sprawy i dlatego wariuje.

— Był dzisiaj u mnie i mówił, że wszystko jest na najlepszej drodze i ma już pewne podejrzenia.

— Jakie?

— Tego nie mówił.

— Może on cię zwodził?!

Podkomisarz ugryzł się w język, na którego końcu miał już niezbyt miłą odpowiedź. Oczywiście lubił wizyty żony. Lecz lubił je tylko do pewnego stopnia. I na pewno nie lubił, kiedy się przedłużały.

— Słuchaj, Gienia, czy ty czasem nie masz dziś po południu jakichś korepetycji? — zapytał podkomisarz.

— A co, nie chcesz, żebym tu dłużej była? — nastroszyła się pani Łosiowa.

— No skąd ci to przyszło do głowy? Tylko widzisz, ten strażnik przy drzwiach już na nas tak dziwnie patrzy.

— Jak dziwnie?

— Jakby ci się skończył czas. Normalnie pewnie by cię wyprosił i nic nie mówi tylko dlatego, że jako policjant mam tu pewne względy.

Łosiowa popatrzyła na strażnika przy drzwiach, który zobaczywszy jej spojrzenie, popukał się delikatnie w zegarek na przegubie lewej dłoni. Żona podkomisarza ściągnęła usta w ciup i spojrzała na swój czasomierz. Ten nie wskazywał, że jej wizyta na pewno powinna się skończyć, ale nie miała ochoty dyskutować ze strażnikiem. Wstała i tylko zapytała męża:

— Nie potrzeba ci czegoś?

— Nie, mam tu wszystko — powiedział z uśmiechem podkomisarz i widząc groźną minę żony, zaraz się poprawił: — To znaczy oprócz wolności... No i ciebie mi brakuje — pospieszył z zapewnieniem. — Ale na szczęście często wpadasz, więc nie jest tak źle.

Pani Łosiowa opuściła areszt, a jej mąż został odprowadzony przez strażnika. Podziękował mu dyskretnie za numer z pukaniem w zegarek. W celi czekała na niego nowa porcja kryminalistów milicyjnych, w które tutejsza biblioteka była bardzo dobrze zaopatrzona.

Były w niej różne rarytasy, o których podkomisarz nawet nie słyszał. Tak, ten areszt ma swoje pewne plusy i w gruncie rzeczy pan Przypadek nie musi się aż tak bardzo spieszyć, żeby go stąd wyciągnąć. Odrobina świętego spokoju jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Ruda, gdy tylko wyszła z kamienicy, w której mieściła się jej pracownia, od razu zauważyła mężczyznę stojącego obok roweru i potrząsającego rytmicznie metalową skrzyneczką o nieznanym przeznaczeniu, zaopatrzoną w ogromną liczbę niedokręconych śrubek. To właśnie sprawiało, że w uszach malarki brzmiał dźwięk dla niej nieznośny, niezwykle irytujący. Dlatego nie mogła się powstrzymać i podeszła do mężczyzny.

— Czy mógłby pan wreszcie poprzykręcać te cholerne śrubki?!

— Po co?

— Bo śrubki powinny być zawsze przykręcone!

— Mnie nie przeszkadza, jak są nieprzykręcone.

— Ale mnie przeszkadza! — krzyknęła mocno już zirytowana Ruda.

— To proszę je przykręcić. Mam nawet przy sobie odpowiedniego rozmiaru śrubokręt.

— Dawaj go! — Malarka wyciągnęła rękę w kierunku mężczyzny.

— Momencik, pozwolę pani przykręcić te śrubki, ale musi mi pani odpowiedzieć na kilka pytań.

— Jakich pytań?! I kim pan jest... Momencik, ty jesteś ten drań Przypadek! Nie poznałam cię, bo widziałam cię tylko na tym balkonie.

— Do usług szanownej pani. To jak, życzy sobie pani śrubokręcik? — Detektyw pomachał wyjętym z kieszeni metalowym narzędziem.

— Nie mam ci nic do powiedzenia! Nie zabiłam jej. A ja nie potrafię kłamać.

— Ale są tacy, którzy twierdzą, że panie są dwie. I to ta druga zabiła.

— Jaka druga?! — Ruda z wyrazem rozpaczy wpatrywała się w metalowe pudełko w rękach Przypadka.

— Nie ta, z którą teraz rozmawiam.

— Co ty, nienormalny jesteś?! Ja jestem jedna.

— Tak mówią wszyscy, którzy mają rozdwojenie jaźni.

— Ja nie mam żadnego rozdwojenia jaźni! Daj mi chociaż dokręcić jedną śrubeczkę. — Spojrzała błagalnie na Jacka.

— No dobrze, ale tylko jedną.

Detektyw podał malarce śrubokręt, a ta rzuciła się na niego jak narkoman na długo niewidzianą porcję narkotyku. Trzęsącymi się rękoma przykręciła jedną ze śrubek i chciała się już zabrać za następną, ale Przypadek schował za plecy metalowe pudełko do nie wiadomo czego, aktualnie odgrywające rolę wykrywacza prawdy. Ruda spojrzała na niego z żalem i miała nawet przez chwilę ochotę, żeby skorzystać ze śrubokręta w sposób niezgodny z jego przeznaczeniem i wbić go w tętnicę tego złośliwego drania. Lecz wtedy krew by ją ochlapała, a nie znosiła czerwonego koloru i nawet w swoich obrazach używała go rzadko.

— Ja jestem jedna — warknęła Mrzyk. — Zresztą jeśli jesteśmy nawet dwie, to nic nie da, jak będziesz się pytał tylko tej pierwszej, bo ona nic nie wie o tej drugiej.

— Trudno odmówić temu stwierdzeniu logiki. — Przypadek pokiwał głową z uznaniem i dodał: — Jednak nawet od tej pierwszej mogę się dowiedzieć sporo przydatnych rzeczy. Na początek łatwe pytanie za dwie śrubki. Dlaczego pani uważa, że pani były już chłopak zabił Ewelinę?

— A, miałam rację! Ten smród pod drzwiami Artura to pewnie był pana agent, jakiś bezdomny? Ale co, słabo było słychać i nie wie pan dlaczego?

— Wiem, że nie powiedziała pani prawdy...

— Już panu tłumaczyłam, ja nie umiem kłamać. Parę razy w życiu próbowałam i od razu wszyscy wiedzieli, że kłamię. Dlatego muszę mówić prawdę.

— I powiedziała mu pani prawdę. Tylko niecałą. To, co pani mu powiedziała, było tylko dodatkiem do tego, co wiedziała pani wcześniej. I nie zaprzeczy pani, bo nie potrafi kłamać. — Jacek potrząsnął trzymanym za plecami pudełeczkiem, tak że zazgrzytało nieprzykręconymi śrubkami.

— Jesteś złamasem!

— Powiem więcej, ja nawet nie wierzę w globalne ocieplenie spowodowane przez człowieka.

— Nie wierzysz w globalne ocieplenie spowodowane przez człowieka? — Tego już było dla malarki za wiele. Zapomniała nawet na moment o nieprzykręconych śrubkach i oparła się o ścianę kamienicy.

— Powiedzmy, że uważam, iż płaskoziemcy mają bardziej przekonujące dowody na swoją teorię.

Te słowa sprawiły, że Ruda na moment straciła oddech. Gdy go odzyskała, powiedziała:

— Klempuch miał rację. Ty jesteś naprawdę faszystą.

— Rozmawiała z nim pani o mnie?

— Tak. On ma na twoim punkcie kompletnego świra. Zresztą to też złamas, chociaż zna się na sztuce. No i nie jest faszystą i sadystą. Powinieneś się leczyć, koleś. Najpierw wieszasz pod sufitem Rosta w jego galerii, potem nasyłasz bezdomnych, żeby pobili Felka...

— A teraz jeszcze nie pozwalam pani dokręcić śrubek. Tak że na pani miejscu nie zwlekałbym z odpowiedzią, bo jeszcze mogę wsiąść na rower i odjechać z tym metalowym pudełkiem w siną dal. I wtedy nigdy nie dokręci pani tych śrubek, a w pani głowie na zawsze pozostanie ten fakt.

— Ty...

Tu nastąpił szereg niecenzuralnych obelg, których autor jak zwykle nie zacytuje, bo nie znosi wulgaryzmów w swoich książkach. Zresztą już przy wcześniejszych wypowiedziach tej artystki nieco ją ocenzurował. Tym razem jednak nie było już co cenzurować i do powtórzenia nadaje się jedynie zaimek osobowy użyty na początku zdania. Potok słów Rudej przerwało dopiero to, że Jacek wsiadł na swój rower i szykował się do odjazdu.

— Poczekaj... Wiedziałam, że to on, bo ta zdzira poprzedniego dnia napisała mi maila, że Artur ją kocha i dlatego pewnie ją zabije... Pomyślałam, że robi sobie tylko jaja, bo chce mnie zdenerwować. Ale pewnie powiedziała to Arturowi i on się zdenerwował, że przez to może być z nami koniec...

Inspektor Zasada pomyślał, że to może być świetny moment, aby przejść na emeryturę. Naciski z różnych źródeł na to, żeby jakoś poradzić sobie z problemem Przypadka, miał właściwie od chwili, w której detektyw rozwiązał pierwszą, no może drugą, ale na pewno nie dalej niż trzecią zagadkę. Nigdy nie były one jednak tak silne jak teraz i pochodziły z wielu miejsc, które w jednej chwili mogłyby z inspektora zrobić zwykłego aspiranta. A może nawet i posterunkowego? I wtedy nici z policyjnej emerytury, do której można dorobić zawsze niezłe pieniądze w branży ochroniarskiej. Lub gdziekolwiek. Były wysoki

funkcjonariusz policji z jego kontaktami z dawnej pracy jest wszędzie witany z otwartymi rękoma.

Jeszcze niedawno miał nadzieję, że Dynda jakoś ogarnie tego Przypadka i będzie z nim chociaż na jakiś czas spokój. A tymczasem było jeszcze nawet gorzej niż za Łosia. Temu bezczelnemu detektywowi już całkiem przewracało się w głowie. Zorganizował jakąś szajkę bezdomnych i albo sam, albo w ich asyście, albo też nasyłając owych meneli, bije artystów w całej Warszawie! Jego podwładny zaś nic z tym nie robi.

Dłużej nie mógł tego ignorować i wezwał go do swojego gabinetu.

— Możecie mi to wyjaśnić, komisarzu? — zapytał stojącego przed nim Dyndę.

— Ale co, panie inspektorze?

— No to, że ten Przypadek chodzi po całej Warszawie i bije ludzi, a wy go nie aresztujecie.

— Nie było żadnego zgłoszenia.

— Nie było żadnego zgłoszenia?! Zobaczcie tylko. — Inspektor przekreślił w stronę komisarza ekran swojego laptopa. — O, proszę bardzo, stoi jak byk: „Przypadek nasłał na mnie trzech podpitych meneli, którzy pobili mnie, gdy kończyłem swoją najnowszą instalację”, albo to: „Widzieliśmy, jak napadł na pana Rosta, pobił go, powiesił pod dachem galerii, a potem ją podpalił. Gdyby nie my, wszystko mogłoby spłonąć”. Albo to: „Torturami wymusił na mnie zeznania”. I jeszcze to: „Szliśmy sobie spokojnie ulicą, głośno chwając brak tabu w sztuce nowoczesnej, gdy nagle dopadło nas paru pijacków, żądając pięciu złotych za każde słowo, które powiedzieliśmy. Kiedy ograbili nas z pieniędzy i pobili, powiedzieli jeszcze, że mamy pozdrowienia od Przypadka”. No i jeszcze sprzed godziny: „Przypadek gonił mnie na swoim rowerze, gdy jechałem na wrotkach. Krzyczał, że mnie zabije, bo zabieram rowerzystom ich ścieżki. Kiedy mnie dopadł, pobił mnie i skopał”. I co wy na to?

— To chyba jest teraz w modzie, zostać pobitym przez Przypadka — stwierdził ze spokojem komisarz.

— Co wy sobie, Dynda, ze mnie żartujecie?!

— Nic a nic, panie inspektorze. Ale z tych wszystkich informacji na profilach w portalach społecznościowych prawdziwe jest chyba tylko to ostatnie...

— To natychmiast go aresztujcie!

— Już go aresztowali.

— Przypadka?! I ja o tym nic nie wiem?!

— Nie Przypadka. Tego rowerzystę.

— Dynda, przecież tu jest jasno napisane, że to był Przypadek!

— Ale nie był — odpowiedział z flegmatycznym spokojem komisarz. — To jakiś nerwus rowerzysta, złapali go kwadrans później, ten artysta na wrotkach go rozpoznał.

— To dlaczego nie poprawił tego wpisu?

— Mówiłem, panie inspektorze, teraz jest chyba modne być pobitym przez Przypadka. Mówię serio. Ci, co tu napisali, jak powiesił tego Rosta pod sufitem, byli nawet u mnie, ale jak usłyszeli, że mają podpisać zeznania, to się zmyli. Nikt inny nie zgłosił nic, nawet ten na wrotkach, po prostu na monitoring zobaczyli zajście i złapali tamtego nerwusa. Wszyscy tylko w internecie ogłaszają, że ich pobili, a u nas nie. — Dynda bezradnie rozłożył ręce, a potem spojrzął jeszcze raz na ekran laptopa Zasady. — Nie znalazł pan jeszcze jednego zgłoszenia. Facet twierdzi, że go Przypadek przejechał dziesięć razy rowerem w środku nocy...

— Dziesięć razy?!

— W tę i z powrotem. Ale nie ma zamiaru tego zgłaszać, bo policja jest w zмовіе z Przypadkiem i na pewno go oleją albo nawet aresztują za to zgłoszenie.

— Czy on oszalał?! — Inspektor Zasada ze zdenerwowania wstał z za biurka. — Przecież my go nie cierpimy i staramy się, jak możemy, utrudnić mu życie!

— Ale widać artyści uważają inaczej.

— Może zatem popełniliśmy jakieś błędy. — Inspektor przechadzał się po swoim gabinecie. — Gdybyśmy go obserwowali, mogłoby być inaczej.

— Nie sądzę. Skoro wymyślali te wszystkie rzeczy...

— Gdybyście go obserwowali, nic by nie mogli wymyślić!

— Artyści mają bujną wyobraźnię. Najwyżej by powiedzieli znowu, że policja była na miejscu, ale nie chciała widzieć tego wszystkiego. Zresztą sam pan inspektor zgodził się ze mną, że po prostu najlepiej nie wchodzić mu bezpośrednio na drogę, bo jeszcze trzeba będzie aresztować kogoś ważnego.

— No wiem, Dynda, wiem. Tak zawsze było, gdy obserwował go Łoś. Ale teraz sytuacja jest nadzwyczajna i po prostu nie mamy wyjścia. Musicie go obserwować dzień i noc, żebyśmy w razie czego mieli dowody na to, że nikogo nie pobił albo i zabił!

Artur Gromulski swoją posturą wzbudzał wśród znajomych większy nawet respekt niż swoją sztuką. Wielki, rzec można zwałisty, z dłońmi jak bochny chleba i siłą, którą lubił się czasem popisować. Zdarzało się, że po wypiciu niemal duszkiem butelki alkoholu potrafił ją zgnieść w dłoniach. Nie ćwiczył przy tym swych mięśni, lecz korzystał z tego, co dała mu natura. I to zwykle wystarczało, by nawet w ciemnych zaułkach rozstępowali się przed nim umiarkowanie trzeźwi mężczyźni, którzy w innym razie zaczepili go, żądając dołożenia się do alkoholu.

Dlatego wszyscy znający rzeźbiarza mogli się zdziwić, gdy na widok niezbyt mocno zbudowanego Przypadka, stojącego obok swojego roweru, stanął jak wryty, a na jego czoło wystąpiły kropelki potu. Cofnął się o dwa kroki, ale przystanął, gdy usłyszał detektywa mówiącego:

— Nie radzę. Teren jest obstawiony moimi ludźmi.

Artysta spod Lublina rozejrzał się ze strachem, ale nie zauważył nikogo konkretnego. To jednak nic nie znaczyło. Przecież ci bezdomni współpracujący z detektywem idealnie wtapiali się w tło i na pierwszy rzut oka trudno ich było wypatrzeć. Można było ich tylko poczuć. Tak, Gromulski wyraźnie wyczuł wszechogarniający smród, który spowodował, że liczba kropelek potu na jego czole się powiększyła.

— Czego chcesz?!

— Informacji, kto zabił Ewelinę Marcak.

— Nic o tym nie wiem.

— Pana była dziewczyna twierdzi, że to pan to zrobił.

— Przecież Ruda to wariatka — prychnął Gromulski i nagle sam przestraszył się swoich słów, bo Mrzyk lubiła go zaskakiwać swoim niespodziewanymi wizytami i porzucała go już nie po raz pierwszy, by całkiem niespodziewanie i bez jego zgody zarządzić ich powrót do siebie.

— Zespół Aspergera to nie wariactwo. Poza tym, mając go, trudno jest kłamać. No chyba że ma jeszcze do tego rozdwojenie jaźni.

— Jakie rozdwojenie jaźni? Co pan, zwariował?

— Tak tylko pytam, bo to rozdziwienie jaźni mogłoby sporo tłumaczyć.

— Nic nie wiem o żadnym rozdziwieniu. A poza tym nie mam ochoty na rozmowę z panem. — Artysta spod Lublina nabrał nieco odwagi, bo mimo intensywnego rozglądania się nie zauważył w okolicy nikogo, kto wyglądałby na bezdomnego oberwańca. Jedynie na ławce kawałek dalej siedział jakiś facet, ale porządnie ubrany, tylko bez gustu. Z pewnością nie należał do armii codziennych zbieraczy złomu, a wyglądał raczej jak policjant. No i smród, który poczuł rzeźbiarz na początku, wydawał się mu już nieco mniej intensywny.

— I nie boi się pan, że każe moim ludziom przemówić panu do rozsądku?

— Jakim pańskim ludziami? — Gromulski rozejrzał się wkoło z nieco mniejszą dozą pewności siebie.

— Widzi pan ten klon po drugiej stronie ulicy? Podpiera go w tej chwili facet, który dziesięć lat spędził w więzieniu za pobicia.

Artysta spod Lublina spojrział w stronę klonu i ujrzał ponad dwumetrowego draba, który przyglądał mu się z ponurą miną i wyraźnie zaciskał pięści, patrząc na detektywa, jakby tylko czekał na sygnał, kiedy ma ruszyć do akcji.

— A teraz proszę się obejrzać za siebie — polecił Przypadek i Gromulski grzecznie odkręcił głowę. — Ten mały z wredną twarzą, trochę taki niepozorny, ledwo go można dojrzeć, a pokroił swoim szczyrzykiem pięć osób. Nie radzę go denerwować.

Rzeźbiarz zobaczył faceta o wzroście pigmeja, który miał taką minę, jakby nienawidził całego świata, a w rękach błyskał mu nóż. Jego stał wykonywała w powietrzu niepokojące ruchy, jakby kroił gęstą atmosferę na kawałki, bawiąc się odkrawaniem każdego plasterka. Artysta spod Lublina poczuł, że miękną mu nogi.

— A ten facet na ławeczce naprzeciwko nas. — Detektyw pokazał artyście mężczyznę, którego ten już sam wcześniej dostrzegł, ale uznał, że nie może należeć do armii bezdomnych.

— Co z nim? — zapytał Gromulski, a Przypadek pokiwał na mężczyznę ręką.

Ten z pewnym ociąganiem podniósł się, podeszedł do obydwu mężczyzn i zapytał niezbyt grzecznym głosem:

— Czego?

— Co tam pan chowa pod pachą? — zapytał z kpina w głosie Przypadek. — Pewnie glocka?

— Tak. Glocka.

— Dziękuję, to wszystko. — Jacek odesłał mężczyznę gestem ręki, a rzeźbiarz był gotów przysiąc, że tamten spojrział na niego z ogromną niechęcią, a może raczej rozczarowaniem, że nie został wezwany po to, żeby upakować artyście kulkę w łeb, a jedynie odpowiedzieć na proste pytanie. — To jak, pogada pan ze mną?

— Ja nic nie wiem!

— Wiesz, kto zabił Ewelinę Marcak. — Jacek raczej rzadko i zwykle po okresie dłuższej znajomości przechodził z kimś na ty, ale teraz uznał, że ten zabieg może mu się przydać w trakcie przesłuchania.

O tym, że się nie mylił, świadczył paniczny wrzask Gromulskiego:

— Nie wiem!

— Wiesz to. Tylko boisz się powiedzieć mi, kto to. Ale mnie to już nie interesuje, bo też wiem, kto to zrobił. Chcę się tylko upewnić, jak się tego dowiedziałeś. Napisała maila czy zadzwoniła?

— Zadzwoniła... — odpowiedział odruchowo i zamilkł na chwilę, by zapytać: — Ale skąd o tym wiesz?!

— Nie wiedziałeś, że jestem jasnowidzem?

Sądząc po minie artysty spod Lublina, wiedział on o tym doskonale. Ale wiedzieć to jedno, a przekonać się na własnej skórze to coś zupełnie innego. Stąd jego przerażenie było teraz absolutnie bezbrzeżne, a każdy milimetr jego ciała pokrywały już kropelki potu. I choć Jacek pokazał mu gestem ręki, że może odejść, tkwił cały czas w miejscu. Dopiero kiedy Przypadek popchnął go delikatnie w stronę drzwi jego kamienicy, rzeźbiarz ruszył powoli, stawiając nogę za nogą. Gdy już zniknął na schodach, do Jacka podszedł mężczyzna z glockiem pod pachą.

— On naprawdę uwierzył w to, że jest pan jasnowidzem? — zapytał.

— Tak, komisarzu Dynda.

— Ci artyści to idioci. — Policjant pokręcił głową.

— Nie tylko oni. Połowa Warszawy, ta lepiej wykształcona, też w to wierzy.

— To dobrze, że ja jestem gorzej wykształcony. A i tak miał pan fart, bo zamiast glocka, mogłem mieć jeszcze ze trzy różne rodzaje broni.

— To byłoby bez znaczenia. — Jacek się uśmiechnął. — Jakaś broń służbową musiał pan mieć, a mnie tylko o to chodziło. Bo pan był realny i nie byłem pewien, czy zobaczy moich wymyślonych przyjaciół.

— Pan jest kompletnie porypany — stwierdził Dynda, kręcąc głową. — I dlatego pewnie panu tak dobrze idzie.

— Może tak, może nie. W każdym razie cieszę się, że policja ma mnie znów na oku, bo pewniej się czuję. Ale sprawę rozwiążę pojutrze na wernisażu wystawy pana Łabudy, tak że nie musi pan za mną na razie chodzić. Za to na wernisaż zapraszam. Pan Łabuda to wybitny artysta.

— Chodzić za panem kazali mi przełożeni, ja uważam, że to bez sensu. Ale jak powiem, że pan tam chce dorwać mordercę, to zabronią mi tam iść...

— Wiem, żeby nie trzeba było aresztować nikogo ważnego i szanowanego. Ale mogę panu obiecać, że nie będzie takiej potrzeby, nikt taki nie będzie aresztowany, bo prawdziwego winowajcy tam nie będzie. Za to zabawa będzie przednia.

— No tak, zapomniałem, że pan jest rozrywkowym jasnowidzem. Chyba sobie jednak odpuszczę. — Dynda się odwrócił, żeby odejść.

— A propos bycia jasnowidzem. Proszę się nie martwić tym zniknięciem laptopa z mieszkania Marcakówny.

— Co?! — Dynda stanął jak wryty. Przecież to niemożliwe, skąd on to... No przecież nie jest jasnowidzem, w takich wierzą tylko nawiedzeni idioci. — Ale jak pan...

— Proszę wpaść na wernisaż. Tam się wszystko wyjaśni.

— Przecież nie mam nawet zaproszenia.

— Proszę powiedzieć na wejściu, że jest pan przysłany z policji dla ochrony wydarzenia, bo ja się też tam pojawię. Wpuszczą pana z radością. Sam pan widział, jak artyści się mnie boją.

Jędrzej Sakowicz senior narzekał na kłopoty z Błażem właściwie od czasu, kiedy zdecydował się go po raz pierwszy i ostatni przewinąć. Niesformy chłopak, zamiast być wdzięczny za to, że wspaniały tata zdecydował się na ten krok w czasach, w których jeszcze

niewielu ojców to robiło, obsikał go. Zdegustowany mecenas stwierdził wtedy, że syn nie jest absolutnie do niego podobny, bo on z pewnością nie zrobiłby czegoś takiego.

I tak już zostało, aż do dnia dzisiejszego. Pan Jędrzej zupełnie nie podzielał optymizmu swego ojca, który uważał, że Błażej jeszcze kiedyś przyniesie chlubę prawniczemu rodowi Sakowiczów, prowadzącemu swoją kancelarię jeszcze od końca dziewiętnastego wieku. Na łożu śmierci najbardziej żałował, że nie doczeka tej chwili.

Pan Jędrzej, gdy odwiedzał grób ojca, z pewną nawet satysfakcją informował nieżyjącego już mecenasa, że niestety jego wnuk zupełnie nie nadaje się do kontynuowania rodzinnych tradycji. Radość z konstatacji tego faktu była jednak krótka. Błażej był bowiem jedynym potomkiem pana Jędrzeja, do którego emerytura zbliżała się powoli, acz nieubłaganie. Ze strachem więc myślał, co będzie za najdalej dziesięć lat, kiedy nie będzie miał już wyjścia i będzie musiał zrezygnować z czynnego uprawiania zawodu.

Może byłaby jakaś nadzieja na to, że uda mu się nawrócić syna na właściwą drogę, gdyby nie ta jego przyjaźń z tym urwipołciem Przypadkiem. Kiedy przebywali razem w dzieciństwie, Sakowicz senior był z tego faktu zadowolony. W końcu Jacek też był potomkiem szanowanej prawniczej rodziny. Jak się jednak później okazało, niestety za nic miał wspaniałe dziedzictwo, którym został genetycznie obciążony. Szybko ujawnił się w nim autodestrukcyjny gen, który sprawił, że wbrew zdumieniu wszystkich rozsądnych ludzi na pewnym poziomie nie zdecydował się na kontynuowanie rodzinnych tradycji i przejęcie kancelarii po ojcu, znakomitym adwokacie, Fryderyku Przypadku. Wprawdzie jeszcze zaczął studia prawnicze, ale porzucił je i przez długi czas zajmował się, nie wiadomo czym. Choć głównie był znany z ciągłego biegania. Aż w końcu wpadł na ten nedorzeczny pomysł bycia detektywem. A Błażej, zamiast odizolować się od tego życiowego nieudacznika, wciąż kontynuował tę zgubną znajomość.

Dlatego choć był zły, że syn zdecydował się jakiś czas temu założyć ze współniczką własną kancelarię, to z drugiej strony uważał, że to może nie najgorsze wyjście z tej całej sytuacji. Wraz z odejściem pana Jędrzeja na emeryturę kancelaria Sakowicz & Sakowicz zakończy definitywnie swoją działalność i nic już nie wpłynie negatywnie na jej reputację. A Błażej niech szarga nazwisko na swoje własne konto, łącząc się z kimś innym. Niestety nie docenił determinacji swojej żony i teraz znów musiał pracować wraz z synem i wysłuchiwać jego nedorzecznych pomysłów.

— Co chcesz zrobić?! — zapytał zdumiony, gdy usłyszał najnowszy z nich.

— Chcę pochwalić twój pomysł na wygranie sprawy Jacka. Był naprawdę wyborny.

— Świetnie o tym wiem, nie musisz mi tego mówić. Ale już żałuję, że ci go podsunąłem. Zrobiłem to tylko dlatego, żeby twoja przegrana nie poszła na konto naszej kancelarii. Nie mówmy już o tym więcej.

— Jeśli tak sobie życzysz, to oczywiście — zgodził się potulnie Błażej, a pan Jędrzej spojrzął na niego podejrzliwie.

„Dziwne — pomyślał stary mecenas. — Może zaczął wreszcie przychodzić do rozumu? Nie, to niemożliwe, w końcu jest do mnie zupełnie niepodobny. No ale gdyby był podobny, miałyby ten rozum od samego początku. To może dziecko go zmienia. A właśnie, dziecko...”

— Co tam słysząc u mojego wnuka?

— Dzień jak co dzień. W nocy nie spał najlepiej, bo miał kolkę, a rano chyba zrobił mu się katarek.

— To na pewno dlatego, że za bardzo wietrzyacie.

- W ogóle nie otwieramy okien.
- Ania na pewno otwiera, gdy wychodzisz. Ona w ogóle cię nie słucha.
- Ale to ona zakazuje otwierania okien.
- A ty się jej potulnie słuchasz? — zgorszył się pan Jędrzej, w jednej chwili zapominając, że jeszcze przed chwilą miał pretensję o skryte otwieranie okien. — No tak, ty w ogóle nie jesteś do mnie podobny, bo inaczej nie siedziałbyś u swojej żony pod pantofflem.
- Wprost przeciwnie, tato. To właśnie gdybym był do ciebie podobny, tobym się jej we wszystkim słuchał.
- A powiedz mi, kiedy się jej ostatni raz przeciwstawiłeś? Nawet na kupno tego mieszkania za trzy miliony się zgodziłeś, choć cię na to nie stać. I nie wyobrażaj sobie, że ci coś dołożymy. Jeśli cię stać na trwonienie czasu na procesy tego twojego przyjaciela, to musisz sam zarobić.
- Bez obaw, poradzę sobie. Jedną sprawę już zakończyłem, a co do drugiej, Jacek twierdzi, że podkomisarz Łoś opuści więzienie po jutrzejszym wernisażu. A ja już mam umówione na przyszły tydzień mnóstwo spotkań.
- Jakich spotkań?
- Z naszymi nowymi, potencjalnymi klientami.
- Jakimi klientami? Znam ich?
- Raczej nie. — Błazej wzruszył ramionami. — To duże, międzynarodowe firmy. Dlatego też niedługo powinniśmy powiększyć zespół naszej kancelarii.
- Momencik, młody człowieku, nie rozpędzaj się. To nasza wspólna kancelaria i ja też mam prawo decydować tutaj o najważniejszych rzeczach. I nie licz na to, że będę ci pomagał w tych twoich planach.
- Nie liczę na to. Dlatego nic ci nie mówiłem, dam sobie ze wszystkim radę. A do ciebie mam tylko jedną prośbę...
- Ha, a jednak! — stwierdził z wyraźną satysfakcją pan Jędrzej.
- Chciałem ci ewentualnie prosić, żebyś czasem zajął się swoim wnukiem, bo ja teraz będę bardzo zajęty. — To oświadczywszy, Błazej zniknął za drzwiami swojego gabinetu, a pan Jędrzej poczuł się jeszcze gorzej, niż gdyby ktoś w trybie dyscyplinarnym wysłał go na przymusową emeryturę.

Od czasu kłótni o to, czy Ewelinę Marcak zabił zawodowiec, czy amator, stosunki między leciwymi siostrami były napięte. Sprawę komplikował dodatkowo fakt, że drzwi do lokalu numer trzynastkie, który zajmowały nielegalnie, potrafiła otworzyć wytrychem jedynie Zygfryda. Zwykle nie zamykały ich, kiedy przenosiły się do swojej nominalnej siedziby, pod czternastkę. Mieszkanie stało puste, nikt tam się nie miał po co włąmywać, więc czemu robić kłopot z kolejnym otwieraniem?

Dlatego pani Teodora była niemile zdziwiona, kiedy dwa dni po kłótni, w wyniku której przestały się z siostrą do siebie odzywać i zaczęły odwiedzać palarnię osobno, zastała drzwi pod trzynastkę zamknięte. Nie miała wątpliwości, że jest to wynikiem złośliwego odwetu Zygfrydy, która jej zdaniem wyszła po kłótni z nieco większym uszczerbkiem w ubraniu i fryzurze. Dlatego zaraz po odkryciu faktu braku dostępu do feralnego mieszkania stanowczo zażądała:

- Zyzia, nie wygłupiaj się, otwórz tę trzynastkę.

— Ani mi się śni — odpowiedziała hardo pani Zygryda. — Chyba że przyznasz, że to zawodowiec. Inaczej nie zajarasz, zanim Jacek nie odkryje tego zawodowca!

— Ożeż ty wredna starucho, popamiętasz mnie! — zagroziła pani Teodora.

— Twoje niedoczekanie, gówniario. Trzeba się było nauczyć pracy wytrychem, jak nas stary Klempuch uczył.

— To tobie się podobała ta wredna, kacapska morda. Pewnie zakochana w nim byłaś.

— Zakochany to on był we mnie. A ty mi go zazdrościłaś.

— Zazdrościłam?! Tego degenerata?! On w sam raz pasował do ciebie!

Obie chwyciły laski. Pewnie stoczyłyby kolejny pojedynek, gdyby nie fakt, że przy bojowym uniesieniu ich do góry poczuły wyraźny ból w kościach, będący efektem poprzedniego starcia. Pogroziły więc sobie tylko na odległość owymi laskami, potrząsając nimi niczym mieczami, i rozeszły się bez potyczki. Za to już tego dnia wieczorem Zygryda poczuła, że Teodora nie rzucała słów na wiatr. Gdy próbowała otworzyć wytrychem drzwi pod pechową trzynastkę, okazało się, że nawet nie jest w stanie wsunąć go do zamka. Ktoś bowiem zapchał otwór różnymi śmieciami.

— Ty wredna gówniario! — napadła na siostrę Zygryda. — Czy ty w ogóle wiesz, co zrobiłaś?!

— No oczywiście, że wiem. — Teodora uśmiechnęła się bez troski. — Skoro ja nie mogę palić, to i ty nie możesz.

— Teraz żadna z nas nie będzie mogła palić. W mieszkaniu Minki — tak obie zdrabniały imię kuzyнки Irminy — mamy zakaz. Balkon ma mikry i kręci nam się w głowie. Na korytarzu nie możemy, bo się sąsiedzi skarżą i Jacus nam zabronił. A droga z czwartego piętra na parter i z powrotem zajmie nam co najmniej trzy godziny! Będziemy potem tak padnięte, że przez następny dzień nie damy rady ruszyć ręką i nogą!

— To twoja wina!

— Moja?! To ja zapchałam ten cholerny zamek?!

— Ale odcięłaś mi dostęp do palarni. Pół dnia bez fajeczki i już człowiek głupieje.

— Ty już zgłupiałaś wcześniej, jak zaczęłaś gadać, że to zrobił amator — wściekała się Zygryda.

— Bo to zrobił amator!

— Zawodowiec!

Siostry kłóciły się do momentu, aż obie nie zachryły. Oczywiście żadna z nich nie przekonały drugiej nawet odrobinę i obie trwały uparcie przy swoich stanowiskach. Lecz to trwanie było coraz trudniejsze. Upływały kolejne godziny bez ulubionego papierosa i już były nawet gotowe złamać obowiązujący ich zakaz palenia w mieszkaniu kuzyнки, gdyby nie to, że najpierw musiałyby dojść do porozumienia i zrobić to wspólnie. Inaczej ta druga groziłaby tej pierwszej, że pójdzie naskarżyć do Przypadka.

W końcu kolejnego ranka pani Teodora oświadczyła mężnie:

— Schodzę na dół!

— Nie mam zamiaru z tobą iść.

— To też ja nie chcę iść z tobą. Idę sama, a ty się nawet nie waż tu w tym czasie palić, bo pocię! — Pani Teodora chwyciła laskę i ruszyła do drzwi.

— Idziesz sama? Ty już kompletnie zwariowałaś. Nie dasz rady sama!

— Może ty nie dasz rady, starucho. Zobaczysz, najdalej za pół godziny będę na dole i sobie zajaram!

— A za trzy godziny trzeba będzie wzywać pogotowie, bo utkniesz w drodze powrotnej na drugim piętrze! — Pani Zygryda zaśmiała się głucho.

— Zobaczmy!

Pani Teodora wyszła na korytarz i spojrzała w dół schodów. Zakręciło jej się w głowie, ale przeżegnała się szybko i zaczęła schodzić. Było to oczywiście dużo łatwiejsze niż wchodzenie, ale też nie było pozbawione ryzyka. Poręcz i laska zapewniały jej oparcie, ale wciąż zadziwiający dobry wzrok dawał wyobrażenie o tym, jak nisko można upaść przy jednym nieostrożnym ruchu. To powodowało lekkie zawroty głowy i spowalniało podróż w kierunku upragnionej plenerowej palami.

— Zobaczysz, zaraz zlecisz na łeb! — prorokowała pani Zygryda, trzymająca się balustrady na piętrze czwartym.

— Co się stało? — zapytał Jacek, wychodzący z drzwi swojego mieszkania.

— Ta wariatka wybrała się na spacer na dół!

— Zaraz pani pomogę wrócić, pani Teodoro. — Przypadek błyskawicznie znalazł się przy starszej pani i podał jej swoje ramię. — Na razie mogą panie zapalić tu, na korytarzu, ale dziś jeszcze najwyżej po pięć papierosów. Sąsiadów biorę na siebie, a na jutro postaram się coś wymyślić. Tylko proszę już więcej nie włamywać się pod trzynastkę.

— A skąd ty wiesz, że my tam byliśmy?! — zapytała Zygryda.

— Przecież to oczywiste. Gdzieś panie musiały palić, a ponieważ nie bardzo mogłyście na korytarzu czy w mieszkaniu pani Irminy, to musiałyście się włamać pod trzynastkę, korzystając ze starych umiejętności.

— To ty wiesz, kim byliśmy? — spytała Teodora, ni to zdziwiona, ni to zadowolona.

— Pani Irmina opowiadała mi co nieco o paniach.

— Ona niewiele wie. — Zygryda machnęła ręką, uśmiechając się chępliwie.

— To z chęcią posłucham kiedyś reszty, ale teraz spieszę się rozwiązać zagadkę śmierci Eweliny Marcak.

— Zabił ją zawodowiec?! — zapytała z nadzieją w głosie Zygryda.

— Na pewno amator! — sapnęła wściekła Teodora, którą Jacek zdążył już odtransportować na czwarte piętro.

— Nie mam czasu, opowiem paniom o tym, jak wrócę! — krzyknął detektyw, który był już piętro niżej.

Komisarz Dynda chodził i rozglądał się wśród gości wernisażu. Jedni wyglądali dziwnie, a inni całkiem normalnie. Ale nie to interesowało policjanta. Szukał tu tego uprzykrzającego wszystkim życie detektywa. Wprawdzie gdy wchodził do galerii, powiedziano mu, że Przypadka w niej nie ma, lecz komisarz wolał sprawdzić to osobiście. Znając bowiem spryt tego bezczelnego pseudojasnowidza, mógł się przedstawić jako ktoś zupełnie inny i krążyć między gośćmi, po to, żeby...

No właśnie, po co? Chyba już przecież rozwiązał tę zagadkę. To kto zabił? Niby powiedział, że Dynda nie będzie musiał aresztować nikogo ważnego, bo zabójcy nie będzie tutaj, ale z nim nigdy nie wiadomo. Zresztą dlaczego chciał akurat tutaj rozwiązać zagadkę, jak miało tu nie być mordercy? Pewnie ściemniał. No i mógł na przykład uznać, że taki artysta to nikt ważny. A potem połowa gazet będzie pisać, że policja niesłusznie aresztowała zdolnego człowieka, który mógł w przyszłości wnieść wielkie zasługi dla polskiej sztuki.

Komisarz zobaczył Gromulskiego, który nerwowo przechadzał się z kieliszkiem wina i rozglądał ze strachem, podpierając jedną ze ścian. Pod drugą, w towarzystwie kilku osób stała Monika Mrzyk. Była uśmiechnięta, zadowolona, zupełnie inna niż zwykle.

Na wprost wejścia stał bohater dzisiejszego wieczoru, Feliks Łabuda. Za nim była ustawiona jego ostatnia instalacja w trakcie pracy, nad którą zastał go Koziołek. Teraz była zaopatrzona już w tytuł: *Poemat dygresyjny na temat samotnego, białego członka*. Blondynek uznał, że właśnie owo dzieło, w ostatnim czasie symboliczne z okazji okoliczności towarzyszących jego powstaniu, najlepiej nadaje się do wysunięcia na front. Sam Łabuda jeszcze witał ostatnich gości, ale już trochę przygotowywał się do udzielenia wywiadu Bartoszowi Fifce, gwiazdzie dziennikarstwa zarówno kulturalnego, jak i tego bardziej celebryckiego. Artysta konceptualny miał na twarzy ślady siniaków, a gdy telewizyjny makijażysta chciał mu je zamaskować, powiedział zdeterminowany:

— Zostaw. Niech wszyscy zobaczą, jak mnie pobili.

Zawszad posypały się w jego stronę wyrazy współczucia i tylko Dynda miał przez chwilę zapytać, czemu poszkodowany nie zgłosił swojej krzywdy organom ścigania. Ale zrozumiał, że to bezcelowe, bo i tak Łabuda by odpowiedział, że przecież zamieścił odpowiednią dokumentację obdukcijną na swoim profilu w portalu społecznościowym, więc nic więcej nie jest potrzebne. A do policji i prokuratury nie ma zaufania, gdyż one wspierają działania detektywa.

— Ja do pana komisarza — dobiegło nagle do uszu Dyndy.

— Ale pan nie ma zaproszenia — próbował zaproponować mężczyzna pilnujący wejścia.

— Ale byłem umówiony z panem komisarzem, który przyszedł pilnować, abym po wejściu nie narozrabiał i nie pobił gości — tłumaczył Przypadek. — Czyli prawie, jakbym był zaproszony.

— No ale...

— Proszę zapytać pana komisarza. — Detektyw pomachał ręką w kierunku policjanta.

Ponieważ sporo osób patrzyło już wcześniej na Przypadka, teraz ich oczy skierowały się na Dyndę. Ten najchętniej wyciągnąłby służbową broń i trafił Jacka między nogi. Niestety przy tych wszystkich osobach i w asyście kamery telewizyjnej, którą przed chwilą kazał uruchomić Bartosz Fifka, nie mógł tego zrobić. Dlatego tylko uśmiechnął się krzywo i pomachał ręką w stronę detektywa.

— Ha, mówiłem, że policja z nim współpracuje! — wykrzyknął tryumfalnie Łabuda.

— Czy chciałby pan coś na ten temat powiedzieć? — Bartosz Fifka podetknął Dyndzie mikrofon pod nos. — Tylko uprzedzam, że mamy wejście „na żywo” w Ekstra TV.

— Ja odpowiem za pana komisarza — zadeklarował Przypadek. — Policja jak zwykle współpracuje ze mną, gdy musimy schwycić sprawcę przestępstwa, a teraz konkretnie sprawcę zabójstwa Eweliny Marcak.

— Przecież on już jest w więzieniu — powiedział nerwowo dziennikarz i odetchnął, kiedy usłyszał w słuchawce, że zdejmują ich z anteny.

— Nie jest. I obawiam się, że nigdy się tam nie znajdzie.

— Możesz wyłączyć sprzęt — powiedział do kamerzysty Fifka.

— Nic z tego, ma pan nagrywać — zdecydował Dynda.

— I tak nie jesteśmy już „na żywo” — Dziennikarz machnął lekceważąco ręką.

— Nie szkodzi. Chcę mieć dowód na to, że nie patrzyłem biernie, jak pan Przypadek bije rzekomo wszystkich tu obecnych artystów. — Dynda spojrzał znacząco na Łabudę.

Ten chrząknął w pierwszym momencie zmieszany, ale po chwili odzyskał rezon.

— Ja nie mówiłem, że to on, tylko że to jego zbiory. Zresztą sam pan widzi, jaki jestem pokiereszowany.

— Rzekłbym, że dużo bardziej niż na pierwszym zdjęciu na swoim profilu. — Przypadek spojrział kpiąco na artystę konceptualnego. — Wtedy właściwie miał pan tylko podbite jedno oko. Zachowałem sobie tę fotografię. Dopiero na następnym z kolejnego ranka miał pan już podbite oboje oczu, to silne obtarcie na policzku i zaprezentował trochę siniaków na ciele.

— Bo mi się dopiero potem zrobiły! — zadeklarował Łabuda i wszyscy zgromadzeni goście, oprócz Przypadka i Dyndy, podeszli do tego poważnie i ze zrozumieniem.

— I nawet cały czas się robią. Bo na zdjęciach ma pan to obtarcie na prawym policzku, a dzisiaj jest na lewym.

Artysta konceptualny złapał się za policzek, co sprawiło, że już nie tylko komisarz i detektyw byli rozbawieni, choć czyjś nieśmiały chichot został skarcony potępiającymi spojrzzeniami innych.

— No co?! To nie wystarczy, że mi podbili jedno oko?! — zapytał oburzony blondynek. — Zresztą napadli mnie drugi raz i zrobili resztę.

— Gdyby tak było, natychmiast umieściliby to pan na swoim profilu z odpowiednio dramatycznym opisem — stwierdził Przypadek ze swoją ulubioną, dobrotliwo-pobłażliwie-ironiczną miną. — A skoro pan tego nie zrobił, to znaczy, że nie miało to miejsca. Wątpliwe zresztą, aby nawet to jedno podbite oko było dziełem mojego współpracownika, bo to najłagodniejszy typ, jakiego znam.

— Pan takich w ogóle zna? — odezwał się Gromulski. Wkoło było tyle osób, że nawet nie przerażał go fakt, iż komisarz Dynda ma pod pachą pistolet. — Ci, z którymi pan mnie przedwczoraj napadł, nie wyglądali na łagodnych.

— Przedwczoraj rozmawiałem z panem absolutnie sam. Prawda, panie komisarzu?

— Prawda — przytaknął Dynda. — Rozmawiał pan z Przypadkiem absolutnie sam na sam, ja tylko stałem kawałek dalej, żeby pan już nie mógł jak inni wymyślić bzdur...

— To szkoda, że pana nie było, kiedy on mnie torturował, żeby ze mnie coś wydobyć. — Ruda wskoczyła na scenę z przytupem. — Wiecie, co ten drań zrobił? Pokazał mi metalowe pudełko z dwudziestoma nieprzykręconymi śrubkami i pozwalał mi je przykręcać dopiero po odpowiedzi na pytania. A dwie ostatnie miały zerwany gwint i w ogóle nie dało się ich przykręcić! — krzyknęła wstrząśnięta.

Tego było już za wiele nawet dla tych, którzy bezwzględnie wierzyli w okrucieństwa wyrażane przez detektywa. Prawie wszyscy parsknęli gromkim śmiechem, fakt, że dość szybko tłumionym i zakończonym zawstydzonymi spojrzzeniami. Jednak atmosfera grozy ulotniła się chwilowo.

— Naprawdę, nie ma się z czego śmiać — powiedział Przypadek. — Właśnie zobaczyliście mordercę Eweliny Marcak. Nie, nie patrzcie na panią Monikę. Choć ona też ma swoje miejsce w tym komediodramacie. Ale po kolei. Nie wszyscy wiedzą, że komisarz Łoś został oskarżony o morderstwo swojej sąsiadki głównie na podstawie listu, który wysłała przed śmiercią, oskarżając go o to, że ją zabije. Nie jego pierwszego i nie ostatniego. Bo pana Felka poinformowała, że pani Monika ma rozdwojenie jaźni i druga jej część chce ją zabić, pani Monice wysłała maila, że to pan Artur ją zamorduje, a jemu samemu zwierzyła się, że zrobi to Klempuch.

Usłyszawszy nazwisko słynnego mecenasa sztuki nowoczesnej, większość obecnych poruszyła się niespokojnie. Niektórzy zaczęli też zerkać w stronę drzwi z wyraźną chęcią opuszczenia tego miejsca. Bo po co słyszeć coś złego o Klempuchu, narażając się niepotrzebnie na udział w ewentualnym procesie i składanie zeznań? Ale kamera, która wciąży rejestrowała wydarzenia w galerii i była skierowana na wyjście z niej, nie pozwalała ulotnić się niepostrzeżenie.

— To w końcu kto ją zabił?— zapytał Dymda.

— Zabiło ją to, co męczy wszystkich tu obecnych. Niespełnione ambicje bycia wielkim i sławnym artystą oraz nadmierna wyobraźnia. Pani Marczak chciała stworzyć wyjątkowe dzieło sztuki. I doszła do wniosku, że tym dziełem sztuki może być tylko jej śmierć. Nie taka zwykła jak przedawkowanie, odkręcenie gazu czy podcięcie sobie żył. Ta śmierć miała być absolutnie wyjątkowa i przynieść jej nieśmiertelną sławę jako artystce. Głośne zabójstwo, o które podejrzane byłoby wiele osób i które dopiero finalnie okazałoby się samobójstwem.

— I zabiła się tylko po to, żeby stworzyć dzieło sztuki? — zdziwił się policjant, ale gdy spojrzął po twarzach zebranych, zauważył, że wielu z nich nie uważało tego za niedorzeczne.

— Tak, panie komisarzu. Nie zależało jej na życiu, bo była przekonana, że i tak ją wkrótce ktoś zabije. Ciągle składała donosy na policję na różnych sąsiadów. Ta paranoja w niej narastała, podsyćcana zapewne przez narkotyki i pana Klempucha. Dlatego, gdy po spięciu ze mną musiał zniknąć, przez kilka miesięcy policja nie dostawała skarg od niej. A potem znów zapewne się z nią skontaktował i podtrzymywał w niej przekonanie o jej nieuniknionej śmierci.

— No ale gdzie to dzieło sztuki?! — zapytała Mrzyk, którą to najbardziej interesowało. — Przecież nawet takie beztalencie wiedziało, że musi zostać jakiś ślad.

— Ponieważ pan Klempuch miał inne plany związane z jej śmiercią, to raczej nigdy go nie poznamy. Nie sądzę, żeby było czego żałować. Doceniliby je tylko wysublimowani krytycy. Mogę się tylko domyślać, że miał być to film z zarejestrowanymi całymimi przygotowaniem do samobójstwa, z oskarżaniem o nie kolejnych osób, żeby zmylić tropy, i z momentem wbijania noża w szyję przy pomocy jakiegoś mechanizmu. Pewnie te potłuczone rzeczy na podłodze to była jego część, bo miał ulec destrukcji po spełnieniu swojego zadania.

— No ale jeśli byłaby martwa, to nie mogłaby skończyć tego filmu — zauważyła Mrzyk.

— To miał zrobić Klempuch. Pewnie tylko on ma plik z poprzednimi ujęciami. Obiecał, jak sądzę, pani Ewelinie, że zmontują go najlepsi fachowcy i w parę tygodni po śmierci dzieło sztuki ujrzy światło dzienne. Ale Marczakówna nie wiedziała, że Klempuchowi zależy tylko na tym, żeby przeszkodzić komisarzowi Łosiowi w pomaganiu mnie, i postara się, żeby podejrzany był tylko jeden. On doskonale rozumiał, że pozostali nie ujawnią swoich podejrzeń i nawet jeśli uda się uniewinnić mojego partnera, to nie uda się znaleźć mordercy i zawsze będzie na nim tkwił cień podejrzeń, który utrudni naszą współpracę.

— A ten laptop? — zapytał Dymda. — Ten, który widziałem u niej na stole?

— Musiał go usunąć, bo za szybko mógł stać się dowodem na to, że nikt nie zabił Marczakówny. Pewnie przez niego prowadziła transmisję ze swojego samobójstwa, której Klempuch miał użyć w ostatecznej wersji filmu. Nie musi mieć pan wyrzutów sumienia, on ma takie pieniądze, że gdyby chciał, żeby zniknęło całe to mieszkanie i nikt tego nie zauważył, toby to zrobił. Prawda, panie Klempuch?

Ostatnie zdanie Jacek wypowiedział nieco głośniej, co sprawiło, że wszyscy goście galerii poczuli się jeszcze bardziej nieswojo. Starali się nie poruszać głowami, za to ich oczy intensywnie przeszukiwały otoczenie, wypatrując bogatego lichwiarza, którego świetnie znali. Jeszcze nie tak dawno nie opuszczał żadnego wernisażu sztuki nowoczesnej i każdy z nich szukał z nim kontaktu, licząc na to, że mu się to opłaci. W tej chwili jednak nikogo podobnego do niego nie zobaczyli.

Za to niektórzy z nich twierdzili potem, że nagle ze ścian wypełzł szept. Nie zarejestrowały go mikrofony telewizji, ale ci, którzy go słyszeli, mówili, że głos, którym został wypowiedziany, należał bez cienia wątpliwości do Klempucha. Co do treści nie byli zgodni, ale przekaz był dla nich ten sam i można go było streścić następującymi słowami:

— I tak cię dorwę, gnoju.

ROZDZIAŁ 2

Siedmiu mało wspaniałych

Stefan Trybel, zastępca burmistrza jednej z warszawskich dzielnic, jechał rowerem ścieżką biegnącą nieopodal wiślanych brzegów. A właściwie nie jechał, tylko frunął nad powierzchnią bezymyślnie wyłożoną kostką brukową, niszczącą bezpowrotnie przyjemność z jazdy. Lecz nie to było przyczyną tego, że Trybel unosił się ponad nawierzchnią. Powodem tego był fakt, że właśnie się dowiedział, że jest bogatym człowiekiem. I dlatego wyszedł dzisiaj z pracy i pędził do domu, żeby nacieszyć się widokiem swojego ogromnego majątku.

Normalnie skorzystałby z auta, ale tego dnia miał sesję zdjęciową pokazującą, jak władze dzielnicy walczą z zanieczyszczeniem powietrza. A ponieważ jego przełożony dwa tygodnie wcześniej wyjechał z wiceburmistrzem innej dzielnicy na kilkumiesięczny cykl zagranicznych konferencji, to na Trybla spadł obowiązek reprezentowania urzędu. Roweru w podróżach do pracy używał wyjątkowo, bo lekarz powiedział mu, że jeżdżenie po Warszawie przy tej ilości spalin nie jest najzdrowszym pomysłem. Dlatego z uroków dwóch kółek korzystał głównie weekendami i po pracy, gdy mógł pojechać z żoną do lasu.

Do domu spieszyło mu się tak bardzo, że tylko cudem uniknął zderzenia z dwoma autami, bo jednak, wbrew metaforom autora, nie poruszał się w powietrzu, lecz grawitacja trzymała go przy ziemi. Być może normalnie zezłościłby się na pojazdy, a nawet uderzył je po masce albo i wdał się w awanturę z kierowcami, grożąc im swoim stanowiskiem i koneksjami w policji oraz straży miejskiej, ale dziś był zbyt wspaniały dzień. Dziś przecież dowiedział się, że jest bardzo bogatym człowiekiem!

To znaczy nie był wcześniej biedny, w końcu od lat sprawował już coraz ważniejsze funkcje. Ale co innego mieć głupie dwa miliony, a co innego mieć nagle tych milionów pięć! A może i więcej, kto to wie?

Podjechawszy pod furtkę swojego domu, nacisnął energicznie dzwonek. Odczekał najwyżej dziesięć sekund i zrobił to ponownie.

— No gdzie się ta Elka podziewa?! Przecież dzisiaj nie ma ani tej swojej jogi, ani ustawień hellingerowskich?! Mogłaby chociaż raz ugotować mi obiad, zamiast wynajmować tę Ukrainkę, Lubę!

Nacisnął jeszcze kilka razy dzwonek, bez większej już nadziei, i nie czekając na efekt, sięgnął po klucze. Otworzył i wszedł na podwórko. Oparł niedbale rower o ścianę domu, wbiegł po schodach i już chciał wsadzać klucz do zamka w drzwiach, gdy te niespodziewanie się otworzyły.

— Co tak wcześniej wrócisz?! — zapytała zdziwiona pani Trybel, będąca w stroju niedbałym.

Jej mąż nie zwracał na to uwagi, bo głowę miał zajęta czymś innym, więc tylko odburknął, mijając żonę:

— Miałem powód.

— A gdzie teraz idziesz? — zapytała zaniepokojona.

— Nie twój interes.

— No wiesz co, jak ty się do mnie odzywasz!? Wracasz bez uprzedzenia wcześniej z pracy...

— Chyba nie muszę ci się tłumaczyć, dlaczego kończę wcześniej. Zwykle i tak nie siedzę do końca. — Trybel ruszył w stronę miejsca, gdzie ukrywał swój skarb, ale inny jego skarb zastąpił mu drogę.

— Mógłbyś chociaż się normalnie przywitać, dać buzi...

— Potem — powiedział łagodnie. — A w ogóle dzisiaj zapraszam cię na kolację do „Sowy i przyjaciół”

— Wzięłeś jakąś łapówkę? — zapytała rzeczowo żona.

— Siedz cicho, mogą nas podsłuchiwać — syknął przerażony pan Trybel, a głośno powiedział: — Ależ ty masz poczucie humoru. Dobrze wiesz, że nie biorę żadnych łapówek. Tylko czasem w coś świetnie zainwestuję. I właśnie jedna z tych inwestycji mi się zwróciła!

— W co? — zapytała zainteresowana pani Trybel.

— Pamiętasz, jak kupiliśmy te piętnaście obrazów Zimnicy, po tysiąc złotych od sztuki?

— No oczywiście, że pamiętam — prychnęła oburzona. — Ten marszand... Jak mu było?

— Bruzda. Bolek Bruzda.

— O właśnie, ten Bruzda nieźle nas naciągnął. Jakieś żółte plamki na płótnach, w których nie wiadomo, o co chodzi. Musieliśmy przez to na wakacjach wziąć czterogwiazdkowy hotel zamiast pięciogwiazdkowego.

— No i skromność się opłaciła. Zimnica stał się modny. Wczoraj jego obraz sprzedano za dwieście tysięcy...

— O Boże, to mamy teraz... — Pani Trybel zaczęła szybko obliczać w głowie ich nowy majątek. Ponieważ nigdy nie była dobra z matematyki i cierpiała na dyskalkulię, potrafiła powiedzieć jedynie: — Mamy teraz bardzo dużo.

Wrażenie, jakie zrobiła na pani Trybel ogromna kwota, której nie była w stanie obliczyć, sprawiło, że przestała zagradzać mężowi drogę. Ten zaś schwycił za klamkę drzwi do schowka pod schodami, do którego zaglądał rzadko. Niestety w środku nie znalazł swojego skarbu, tylko coś innego.

— Olgierd? Co ty tu robisz?! — zapytał zdziwiony, patrząc na burmistrza innej z warszawskich dzielnic.

— Kran wam się popsuł w łazience, a ponieważ z mojego urzędu bliżej, to Elka mnie wezwała na pomoc. Ale nie widzę tu żadnych odpowiednich narzędzi, to będę już leciał — odparł niezrażony burmistrz, który w swojej partii słynął z giętkiego języka i wymyślenia naprędce niestworzonych historii, dlatego też wróżono mu dużą przyszłość w polityce ogólnokrajowej.

— Zaraz, moment, jaki kran?

— Przecież Olgierd ci mówi. — Tryblowa uśmiechnęła się niepewnie. — Kran ciekł...

— A dlaczego byłś w schowku?

— Elka ma tu te swoje narzędzia do majsterkowania, które jej kupiłeś dwa tygodnie temu na urodziny. — Cierniewski pokazał za siebie. — Ale nie ma dobrego klucza do odkręcenia podejścia...

— Zaraz, zaraz. — Trybel zajrzał do wnętrza schowka i zamarł. — Gdzie są moje Zimnice?!

— Nie wiem, o czym mówisz?!

— Nie wiesz, draniu?! Jeszcze tydzień temu tu były! W tym schowku!!! Gdzie są moje obrazy?!?!?!?

Jacek był przyzwyczajony do tego, że otrzymywał nietypowe zlecenia. Jednak choć nowi klienci nie zawsze umawiali się na spotkania, to tak czy owak, trafiali zwykle na Konecką 40 pod dwunastkę lub ewentualnie zapraszali go do siebie. A z pewnością patrzyli mu w trakcie rozmowy w twarz. Tym razem jednak jego potencjalny zleceniodawca zrównał się z nim w trakcie przejażdżki rowerowej i spoglądając na drogę przed sobą, oznajmił:

— Wynajmuję pana.

— Bardzo mi miło, Jacek Przypadek jestem.

— Przecież doskonale to wiem — prychnął klient.

— Za to ja nie wiem, kim pan jest, bo wbrew obiegowym bzdurom nie jestem jasnowiedzem.

— Stefan Trybel, jestem burmistrzem...

— Z tego, co kojarzę, tylko wiceburmistrzem. — Jackowi przypomniała się jakaś afera opisywana dwa lata wcześniej, w którą zamieszany był jego nowy zleceniodawca.

— No to już pan wie, kim jestem — burknął Trybel, który wciąż był niezadowolony z decyzji swoich kolegów, że to nie on właśnie został burmistrzem, a jedynie jego zastępcą.

— To prawda. Nie wiem jedynie, co mam zrobić.

— Odszukać piętnaście obrazów Zimnicy, które dwa miesiące temu zniknęły z mojego domu — stwierdził Trybel i pokrótce opowiedział Przypadkowi historię tego, jak dowiedział się, że został obrabowany. — Policja nie znalazła żadnych śladów włamania. I w ogóle nic nie znalazła. Niby cały czas prowadzą śledztwo, ale mówią, że na ślad to może trafią, jak ktoś będzie chciał sprzedać te obrazy. A wie pan, co jest najśmieszniejsze? Że ten drań, Olgierd, tak całkiem nie kłamał. Kran się faktycznie popsuł, a właściwie to rurka pod zlewem zaczęła przeciekać, i Elka wezwała hydraulika. A on zaczął robotę i nagle zniknął.

— W jaki sposób?

— Elka nie ma pojęcia. Nie mógł z jednej strony odkręcić tych rurek, mówił, że to jakies nietypowe dojsćie, a w ogóle dawno nieodkręcane były i się zapiekły. Zapytał, czy ma jakąś colę, żeby to zapiecenie połąć, bo wie pan, cola żrąca jest i najlepsza na takie rzeczy. Ale żadnej nie mieliśmy, więc Elka szybko skoczyła do Żabki naprzeciwko naszego domu, a jak wróciła, to już gościa nie było. Oczywiście pomyślała, że coś ukradł, ale nic nie było widać, sejf był nienaruszony, w skrytkach z pieniędzmi niczego nie brakowało. Stwierdziła, że mu pewnie wstyd było, że sobie nie radzi, i dlatego pojechał. Ale w pierwszej chwili się zdenerwowała i zadzwoniła po Olgierda...

— A dlaczego nie po pana?

— Nie trzeba chyba być jasnowiedzem, żeby to wiedzieć — zauważył cierpko Trybel.

— To, że ten facet jest kochankiem pana żony, niewiele wnosi do sprawy. Za to ten rzekomy hydraulik mógł okraść tylko pana i pana żonę, więc stąd moje zdziwienie. No chyba że jednak mógł zabrać i być może zabrał coś, co należało do pana partyjnego kolegi.

— Szlag. O tym nie pomyślałem. — Wiceburmistrz się zdenerwował i mocniej nacisnął na pedały. Ponieważ jednak wyprzedził detektywa o dwie długości roweru, musiał zwolnić, żeby się z nim zrównać. — To cwaniak, mógł faktycznie u mnie coś ukryć, bo się bał, że u niego policja znajdzie. Miał w tym czasie ze dwa naloty z CBA... No ale co to może mieć wspólnego z obrazami?

— Tego jeszcze nie wiem. Proszę mi powiedzieć, kogo pan podejrzewa o ich kradzież.

— W pierwszej chwili pomyślałem, że to Luba, Ukrainka, która u nas czasem coś sprzątała i gotowała. Ona wiedziała, że tam są te obrazy, bo trzymała w schowku różne swoje pomoce do pracy. No i tydzień przed zniknięciem obrazów wyjechała do siebie, do Kijowa, i do tej pory nie wróciła, bo ma podobno jakieś problemy z wizą.

— Tak powiedziała?

— Nie, z nią w ogóle nie mamy kontaktu. Ale jej znajoma nas o tym poinformowała. Upewniłem się przez swoje znajomości i faktycznie, przekroczyła jakiś termin pobytu u nas i nie może przyjechać przez następne pół roku. Zresztą sprawdziłem jeszcze na monitoringu, że jak ostatnio wychodziła, to była tak lekko ubrana, że na pewno nic większego przy sobie nie miała. A już na pewno nie piętnaście obrazów. I teraz najbardziej podejrzewam tego hydraulika. To znaczy nie jego, ale Zimnicę.

— Autora obrazów?

— Tak. Bo wie pan, on z tydzień wcześniej do mnie dzwonił i proponował, że odkupi swoje obrazy. Po dwa tysiące za sztukę. Już mu nawet chciałem sprzedać, bo od paru lat te obrazy po tysiąc chodziły i w ogóle ciężko było znaleźć jakiegoś chętnego na nie. I już się z nim nawet wstępnie umówiłem na termin, że przyjedzie z gotówką i je sobie weźmie. Ale tego dnia dowiedziałem się, że jego obrazy nagle zdrożały, bo je jakiś kolekcjoner kupił średnio po dwieście tysięcy za sztukę...

— I podejrzewa pan, że ten hydraulik to był pan Zimnica, który przyszedł po swoje obrazy?

— No tak. Elka go poznała na zdjęciu, że to ten hydraulik. Pewnie cwaniak się dowiedział, że jego obrazy nagle zdrożeją, i dlatego postanowił je szybko odkupić. I proszę sobie wyobrazić, że monitoring nawalił akurat kilka godzin przed jego wizytą i naprawili go dopiero następnego dnia, więc nie widać, kto do nas wchodził czy od nas wychodził. Musiał to cwaniaczek zaplanować.

— To możliwe — przytaknął Jacek, zatrzymując się na skrzyżowaniu przed czerwonymi światłami. — Ale to nie tłumaczy tego, w jaki sposób udało mu się przewidzieć, że państwo nawali kran w łazience i pana żona do niego zadzwoni jako do hydraulika.

Trybel zamilkł na chwilę i trawił w ciszy tłumaczenie Jacka.

— Nie pomyślałem — powiedział w końcu. — Czyli to jednak Olgierd do spółki z Elką?

— Może tak, a może ktoś jeszcze inny. Może to zresztą pan Zimnica, tylko użył innego sposobu niż kradzież na hydraulika.

— Dlatego pana potrzebuję. Słyszałem, że pan ostatnio się zabawiał z takimi jak Zimnica i pokazał, jakimi są oszustami. Dlatego chcę, żeby pan mu udowodnił, że to on mnie okradł, i żeby odzyskał pan moje obrazy. A jednak jeśli to nie on, to żeby pan je znalazł. Ale płacę wyłącznie za sukces...

— Pół miliona — rzucił od niechcienia Przepadek, a ponieważ zapaliło się zielone światło, ponownie wsiał na siodelko i nacisnął na pedały.

Kwota wymieniona przez detektywa zrobiła na wiceburmistrzu takie wrażenie, że ledwo zdążył przejechać na tym samym cyklu świateł, a potem z największym trudem dognał Jacka, potrącając przy okazji rowerzystę, który już od dawna jechał za nimi.

— Pan oszalał?! Tyle kasy?

— Może być tylko sto tysięcy za to, że zajmę się tą sprawą. Ale jeśli mam być wyłącznie wynagrodzony w chwili, kiedy znajduję te obrazy, to musi to być pół miliona. Pan za nie dostanie od razu co najmniej trzy miliony, bo po odzyskaniu i tak pan je sprzeda najszybciej, jak się da...

— Ale... skąd pan wie?

— Jeśli trzyma pan obrazy w schowku pod schodami, to znaczy, że nie jest pan koneserem sztuki współczesnej i potraktował je wyłącznie jako inwestycję, i zechce je jak najszybciej zmonetyzować, żeby w coś nowego zainwestować...

— Pan ma głowę na karku — powiedział z uznaniem Trybel, zatrzymując się na kolejnych światłach. — Ale pół bańki to za dużo.

— A to jak już pan chce. Jeśli ma pan inne sposoby, żeby odzyskać zgubę, to proszę je wypróbować. Ale jak pan do mnie wróci za miesiąc czy dwa, to wtedy to już będzie kosztowało okrągły milion.

— Trochę za duży jednak z pana cwaniak. No dobra, niech pan się bierze za tę sprawę. — Trybel chciał ruszyć, ale Przypadek chwycił go za kierownicę.

— Taki cwaniak jak ja nie pracuje dla takiego cwaniaka jak pan bez umowy.

Wiceburmistrz patrzył przez chwilę zły na detektywa. W końcu powiedział:

— Wporzo. Ale to musi być tajne, ja panu wszystko wypłacę w gotówce, bez podatków. Musi być tajemnica, nie wolno w to angażować policji.

— A na to to już akurat za późno, bo ten rowerzysta, który jechał za nami, to komisarz Łoś. — Detektyw pokazał na policjanta, który stał kilka metrów dalej na swoim rowerze.

Na jego widok wiceburmistrz zamarł na moment. A potem stanął na pedałach i Przypadek z Łosiem mogliby przysiąc, że usłyszeli pisk opon ruszającego roweru. Trybel gnał przed siebie w niewiarygodnym tempie. Jakby słyszał tuż za sobą syreny goniących go radiowozów. Policjant podjechał do detektywa.

— Dlaczego nie jedziemy za nim? — zapytał Łoś.

— Bo jak stanie i się zastanowi, to na pewno do mnie wróci, panie komisarzu.

— Jeszcze formalnie nie jestem komisarzem — powiedział Łoś, mile potechtany słowami Przypadka. — Ale faktycznie pewnie na dniach nim zostanę. Jak wróciłem na komendę po wyjściu z aresztu, to wszyscy mówili, że teraz to już mi go na pewno dadzą.

— I pewnie każdy panu powtarzał, jak bardzo wierzy w pana niewinność?

— Jakby pan tam był — parsknął ironicznie wciąż jeszcze, choć już niedługo, podkomisarz. — A jakby ten Trybel do pana nie przyszedł, sami możemy się do niego wybrać.

— Bez cienia wątpliwości przyjdzie, panie komisarzu. Jest zdesperowany. Na pewno przez te dwa miesiące wypróbował tysiąc sposobów na odzyskanie tych obrazów. Niech pan zresztą pomyśli, jeśli polityk decyduje się przyjąć do kogoś, kto w jego kręgach ma taką opinię jak ja, to musi być na skraju rozpaczy.

W mieszkaniu pani Irminy Bamber, w salonie, stanęła pleksiglasowa konstrukcja niewielkich rozmiarów, stanowiąca jakby dobudówkę do balkonu. Po zamknięciu przezroczystych drzwi

była odcięta od reszty mieszkania. Można było przy tym otworzyć te na balkon i w ten sposób uzyskać dostęp do tlenu niezbędnego w procesie spalania kolejnych paczek papierosów. Tak naprawdę była przeznaczona dla jednej osoby, ale ponieważ żadna z siostr nie chciała ustąpić miejsca drugiej, udawały się tam jednocześnie. Patrzyły przy tym na siebie niechętnie i dmuchały sobie w twarz dymem z papierosów, szczególnie gdy rozmawiały.

— No i widzisz, Zyzia, miałam rację — powiedziała tryumfalnie pani Teodora. — To nie był zawodowiec.

— To ja miałam rację, bo to nie był amator.

— A nieprawda. Marczakównę można spokojnie uznać za amatora. Przecież nigdy nikogo nie zabiła.

— No i co z tego?

— To znaczy, że jest amatorem.

— Ale to nie ona zabiła, tylko tak naprawdę młody Klempuch. A Klempuch to zawodowiec!

— Wiedziałyśmy, że stoi za tym młody Klempuch — przypomniła jej Teodora. — Było tylko pytanie, kogo wynajmie.

— Ale on jej nie wynajął, tylko nią sterował.

— Wykręcasz kota ogonem!

W tej chwili obie mogły błogosławić szczupłość przestrzeni w prowizorycznej palarni, zamówionej dla nich przez Jacka. Nie było tam bowiem miejsca, by wziąć zamach laską i by wykonać w ogóle jakikolwiek gest, który mógł uszkodzić drugą osobę. Nawet kawę musiały wypijać przed wejściem do pleksiglasowej klatki, bo nie było w niej jak postawić filiżanki. Dlatego oblanie tej drugiej gorącym napojem również odpadało. Jedyne, co mogły, to posapać na siebie ze złością.

— Już zawsze będziesz taką wredną staruchą? — zapytała Teodora.

— A co cię to obchodzi, gówniaro?

— Bo w ten sposób nigdy nie pomożemy Jacusiowi. A teraz przecież kroi mu się niezła sprawa.

— Myślisz, że nie zauważyłam?

— No chyba nie, bo się wciąż upierasz przy tej swojej idiotycznej wersji z zawodowcem. A tu już udało się podpisać umowę z tym Tryblem i trzeba się brać do roboty, żeby zarobić te pół bańki.

— Przecież wiem. Dlatego nie rozumiem, czemu się trzymasz tej wersji z amatorem.

— Ja się jej nie trzymam, po prostu mam rację. To ty jesteś uparta jak osioł!

— Nie jestem uparta — oświadczyła dumnie Zygfrйда. — A na dowód tego mogę zrezygnować ze swojej wersji...

— No wreszcie!

— ...pod warunkiem, że ty zrezygnujesz ze swojej.

— Nie ma mowy!

— No i widzisz, która z nas jest uparta jak osioł?!

Panie przez chwilę ponownie na siebie posapały, a ponieważ skończyły palić papierosy, sięgnęły po nowe. Atmosfera w prowizorycznej palarni zaczynała się robić tak gęsta, że nawet otwarte drzwi balkonowe, wyciągające tytoniowy dym na zewnątrz, nie zdołały jej rozrzedzić.

- Chyba nie mamy o czym ze sobą rozmawiać — stwierdziła Zygfyda.
- Zdecydowanie nie.
- Będę musiała Jacusiowi pomóc sama.
- Ani mi się waż! — zaprotestowała pani Teodora. — Nie pozwolę ci na to.
- Nie masz nic do gadania. Idę!
- Nawet nie próbuj!

Pani Zygfyda jednak spróbowała. Niestety wyjście z prowizorycznej palarni wymagało zgodnej współpracy obu stron, którą do tej pory starsze panie, choć niechętnie, podejmowały. Teraz jednak nie było o tym mowy. Pani Teodora się zaparła i nie chciała wypuścić siostry. Zygfyda, korzystając z tego, że była nieco większa i silniejsza, postanowiła przycisnąć ją mocniej do pleksiglasowej ścianki.

- Nie mam czym oddychać!
- To mnie nie blokuj! — zażądała Zygfyda.
- Już cię puszczam, wredna starucho!

Pani Teodora lekko się przesunęła, umożliwiając siostrze wyjście z palarni do mieszkania. Ledwie jednak pani Zygfyda opuściła pleksiglasową klatkę, jej siostra chciała się wytoczyć od razu za nią. Ten pośpiech spowodował, że mimo trzymanej w ręku laski straciła równowagę i runęła na podłogę. Pani Zygfyda, która była już metr dalej, obejrzała się na moment, żeby sprawdzić, czy siostra jest w jednym kawałku. To był jej błąd. Teodora chwyciła koniec swojej laski i górną końcówką zahaczyła nogę Zygfydy. Po chwili obie już leżały na podłodze.

- Ty zasrana gówniario, pożałujesz tego. Chyba coś sobie zламаłam! Nie dam rady się podnieść.
- Ja też. Wszystko przez ciebie! I co my teraz zrobimy? Jacek wpadnie do nas dopiero za dwie godziny.

Sytuacja nie była łatwa. Panie leżały na podłodze i mimo kilkukrotnych prób nie były w stanie przesunąć się więcej niż o kilka centymetrów. Po pięciu minutach zrozumiwały ostatecznie, że tak jak żuczki mogą co najwyżej bezradnie pomachać kończynami i czekać, aż ktoś inny postawi je na nogi. Przez kolejne pięć minut zgodnie milczały, przeżywając własną bezsilność, aż w końcu odezwała się Zygfyda:

- To może, zanim przyjdzie Jacek i nas podniesie, coś spróbujemy wymyślić razem.
- Po tym, co mi próbowałaś zrobić?! Nigdy! Dziś jest koniec naszej siedemdziesięcioletniej współpracy w tropieniu przestępców.
- Przypominam ci, że siedemdziesiąt lat temu to nas tropiono! I to przez twoją głupotę!

Patryk Zimnica patrzył przed siebie z miną tak doskonale obojętną, że ktoś przyglądający mu się z boku mógłby pomyśleć, że artysta tak naprawdę nie widzi nic i być może nawet drzemie z otwartymi powiekami. Leżał u stóp kościoła Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny na warszawskim Nowym Mieście, korzystając z tego, że ziemia mimo początku października wciąż była ciepła. Malarz jednak nie spał, a jedynie pograżony był w pewnego rodzaju medytacji. Dlatego mimo tego, że przed nim rozciągał się naprawdę piękny widok, Zimnica nie widział w nim natchnienia dla kolejnego dzieła, a jedynie tło dla własnych rozważań. W dodatku tło, które ktoś mu właśnie przestonił. I najwyraźniej Ten Ktoś nie miał zamiaru ruszać się z miejsca.

- Zasłania mi pan widok sobą i tym swoim rowerem — powiedział malarz.

— Przepraszam — odpowiedział Ten Ktoś, odstawił rower i usiadł obok artysty, wpatrując się tak jak on w widok ze skarpy na skraju Nowego Miasta na Wisłę i praski brzeg. — Pięknie tu.

— Może i pięknie — zgodził się łaskawie malarz. — Ale dla mnie najważniejsze jest, że nic mi tutaj nie zasłania widoku. Te mazowieckie równiny są takie dołujące, kilka drzew przed nosem i nic więcej. Tylko ta skarpa ratuje wszystko, z niej można chwycić odpowiednią perspektywę.

— Tak, skarpa jest fantastyczna. Dawniej lubiłem wzdłuż niej biegać, a teraz uwielbiam jazdę na rowerze.

— Mnie wystarczą spaceru — powiedział Zimnica i tak naprawdę dopiero w tej chwili przerwał swoją medytację, patrząc na cyklistę będącego niegdyś biegaczem. — Czy my się skądś znamy?

— Nie wykluczam, że gdzieś się kiedyś minęliśmy. Moja była narzeczona, Marzena Górka, była wielbicielek sztuki nowoczesnej.

— Kojarzę ją, zdaje się, że wydała się za jakiegoś bogatego Włocha.

— Tak, szczęśliwie udało mi się doprowadzić ten związek do ołtarza. — Jacek uśmiechnął się na wspomnienie swojego spotkania z obecnym mężem swojej byłej narzeczonej i tego, co obiecał mu zrobić, jeśli nie będzie dobry dla swojej żony.

— Podoba mi się pan. — Zimnica spojrzał na Przypadka i nagle coś mu się przypomniało. — Zaraz, ale jej byłym narzeczonym był ten detektyw...

— Do usług.

— Trybel pana na mnie nasłał, tak? — zapytał bez cienia emocji i nie czekając na odpowiedź, dodał: — To totalny idiota, dyletant i facet niemający pojęcia o sztuce. Nie powinienem był mu sprzedawać swoich obrazów, ale miałem wtedy fantastyczny okres. To znaczy dużo malowałem, ale nic nie sprzedawałem. Ja w zasadzie mam w dupie, czy coś sprzedam, czy nie, ale z czegoś żyć trzeba. No i wtedy mój marszand, Bruzda, powiedział, że znalazł kilku gości, którzy chcą zainwestować w sztukę i nabędą hurtem cały mój dorobek z okresu złotego, bo ja wtedy malowałem głównie na żółto. Kupili sześćdziesiąt obrazów. Po tysiąc złotych. Pan wie, po ile teraz chodzą moje płótna? Na pewno pan wie, bo panu Trybel powiedział.

— Powiedział również to, że chciał pan odkupić obrazy tuż przed ich zniknięciem.

— Tak. Bruzda powiedział, że znalazł się klient, który jest zachwycony moimi obrazami i chce za nie dużo zapłacić. Dlatego chciał u mnie zamówić kilka obrazów, a ja już jakiś rok temu straciłem połączenie z kosmosem i nic nie namalowałem. Dlatego pomyślałem, że się najwyżej na chwilę zadłużę i odkupię. Ale cwaniaki dowiedzieli się pewnie o tym chętnym i żaden nie chciał sprzedać. Teraz oni są bogaci, a ja nic z tego nie mam.

— No chyba że się pan przełamie i coś namaluje.

— Jeśli nie odzyskam połączenia z kosmosem, to bez szans. — Malarz położył się na trawie i wpatrywał się w niemal zupełnie błękitne niebo, jakby chcąc je zapytać, czy przysła mu sygnał z odległych przestrzeni. — Tylko proszę, niech pan nie pyta, czy się przebrałem za hydraulika i nie wszedłem do domu Trybla, żeby naprawić kran. To pytanie poniżej mojej godności.

— Nie. Zapytam tylko: kto jeszcze wtedy kupił od pana obraz?

— Nie pamiętam.

— Przecież dzwonił pan do nich kilka miesięcy temu, żeby odkupić swoje obrazy.

— Ale ja wyrzucam od razu z głowy dane niepotrzebnych ludzi. Po co mają zaśmiecąć mój umysł? Muszę go cały czas oczyszczać, jeśli chcę jeszcze nawiązać łączność z kosmosem. Pamiętam tylko, że to też byli jacyś wiceburmistrzowie czy burmistrzowie. Jeden chyba miał na imię Olgierd... Zapamiętałem, bo lubiłem w dzieciństwie Czterech pancernych. To wszystko. Muszę się zjednoczyć z Matką Ziemią, może to coś da. Żegnaj.

— Do widzenia.

Zimnica zamknął oczy, rozłożył ręce i utopił się w Matkę Ziemię, opadając dość stromo spod stóp kościoła Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w kierunku Wisły. Leżał tak dobrą minutę, po czym delikatnie otworzył jedną z powiek. Chwilę potem w jej ślady poszła kolejna, a następnie jego twarz odwróciła się w stronę, w którą odjechał detektyw. Ponieważ nic nie zobaczył, uniósł się na łokciach i sięgnął do kieszeni po telefon. Szybko wybrał numer.

— Cześć, Patryk z tej strony. Miałeś rację, przyszedł do mnie ten detektyw. ... Nie, na razie szuka po omacku. ... Co tu tak śmierdzi? — Obejrzał się z niesmakiem. — A nic, jakiś lump usiadł niedaleko. ... Halo? Halo! Bolek, jesteś tam? — Spojrzał na wyświetlacz komórki. — Coś chyba rozłączyło.

Olgierd Cierniewski rozejrzał się uważnie po parku. Elę Trybel, siedzącą na parkowej ławce, zobaczył od razu. Ona jego zresztą też. Podniosła się i ruszyła w jego stronę z radosnym uśmiechem. Ale nie jej szukał wzrokiem Cierniewski. Zanim jego kochanka do niego w końcu doszła, panicznie rozglądał się w każdą stronę, a gdy była już zupełnie blisko, zrobił jednoznacznie powstrzymujący ją gest ręki.

— Daj spokój, nikt nas nie śledzi — powiedziała Trybel.

— Mówiłem ci, że teraz musimy być ostrożni. Zanim sprzedamy obrazy, może się wiele zdarzyć.

— Oj daj spokój. Nie mam zamiaru w nieskończoność się ukrywać. Zresztą Stefek i tak już o nas wie i nie ma sensu...

— To ja mówię, co ma sens, a co go nie ma — stwierdził głosem nieznoszącym sprzeciwu Cierniewski.

Między innymi za to go tak bardzo kochała. Spojrzała na niego z podziwem.

— Ty to mógłbyś być prezydentem. Nie to co ten mój.

— Pożyjemy, zobaczymy — odpowiedział nieskromnie burmistrz. — No powiedz, co tam się dowiedziałaś.

— Stefek wynajął tego Przypadka do odnalezienia obrazów.

Cierniewski poczuł, że robi mu się ciemno przed oczami, a serce zaczyna bić jak szalone. Ostatnio nie miał dobrego okresu. Podobno poważnie spadły jego szanse na nominację na wiceministra i różne świnię w partii chciały go zrobić w bycie posłem, co mogło poważnie uszczuplić jego zarobki. A teraz jeszcze ta wiadomość.

— Czy on już całkiem oszalał?!?! Nie miał do kogo iść?!

— Podobno ten Przypadek jest skuteczny, bo to tak naprawdę nie detektyw, ale jasnovidz.

— On nie jest skuteczny! — powiedział dobitnie Cierniewski, cedząc każde słowo. — On jest śmiertelnie niebezpieczny! Wiesz, ilu ludzi przez niego cierpi?!

— No ale ty przecież jesteś ważny... Może nawet będziesz kiedyś prezydentem.

— A Klempuch?! To był facet, który mógł wszystko, a i tak musiał przez tego drania uciekać z Polski.

— Ale ty sobie poradzisz. Przecież nawet bez problemu usunąłeś z monitoringu ten fragment nagrania, jak przyszedłeś mi pomóc z tym kranem.

— To była bułka z masłem. Ale jak ten Przypadek będzie chciał znaleźć ten fragment, to możemy mieć kłopoty. Dobrze, że Stefek na razie podejrzewa tego Zimnicę...

— No właśnie teraz chyba bardziej już ciebie. Ten detektyw mu namieszał w głowie.

— No i sama widzisz, jak on jest niebezpieczny!

— To on naprawdę może ci coś zrobić? — Trybel zatrzepotała rękami.

— On może każdemu coś zrobić!

O ile na początku wizyty w parku Cierniewski rozglądał się po prostu wokół, tak teraz cesał wzrokiem każdy centymetr miejsca w promieniu stu metrów. Ba, był niemal pewny, że w koronie pobliskiego drzewa dostrzegł ukrywającego się tam detektywa razem z rowerem. Podeszedł bliżej i z ulgą stwierdził, że to tylko gałęzie i światło sprawiły takie wrażenie.

— To nie wiedziałam.

— Na jakim świecie ty żyjesz?! I po co mnie tu ścigałaś?

— Mówiłeś, żeby informować cię o wszystkim, co robi Stefek, żeby odzyskać te obrazy.

— A nie mogłaś powiedzieć mi o tym przez telefon?!

— Stęskniłam się, chciałam cię zobaczyć. — Trybel chciała się przytulić do Cierniewskiego, ale ten ją odepchnął.

— No to już zobaczyłaś. Muszę wracać do roboty.

— Miałam nadzieję...

— Elka, czy ty naprawdę nie rozumiesz, co nam grozi? Dopinamy teraz transakcję życia, jeśli coś się rypnie, możemy nie tylko nie zarobić tej kasy, ale i pożegnać się z przyszłością! A ty najpierw wpadasz na jakieś szalone feministyczne pomysły i postanawiasz sama zmienić kran, a potem robisz inne głupoty!

— Nie poznaję cię. — Trybel spojrzała na kochanka z dezaprobatą. — Nigdy się niczego nie bałeś, nawet CBA. Mówiłeś, że może ci skoczyć.

— Bo w CBA pracują tylko ludzie, a Przypadek jest diabeł ucielonny.

— No ale żebyś się go tak bał, że aż się cały spociłeś? — Trybel pociągnęła z dezaprobatą nosem.

— W ogóle się nie spociłem.

— Przecież czuję.

Cierniewski zdeprymowany pewnością siebie kochanki podniósł pachę i powąchał. Ponieważ nie wyczuł nic szczególnego, podniósł drugą. A potem po prostu pociągnął nosem.

— To nie ja. Chociaż faktycznie coś tu śmierdzi.

Nieufna Trybel zbliżyła swój nos do kochanka i powąchała.

— Rzeczywiście, to nie ty. No to kto?

— O cholera, jesteście śledzeni — syknął przez zęby burmistrz i okręcił się wokół własnej osi.

— Co ty gadasz?

— Dla Przypadka pracują bezdomni. A wiesz, jak oni śmierdzą?

Trybel wprawdzie była rozczarowana strachem swojego kochanka, ale na wszelki wypadek także zaczęła się rozglądać. Nic to jednak nie dało. Wprawdzie weszli uważnie

przez dobry kwadrans i wypatrywali, to nie zauważyli nikogo, kto wyglądałby na osobę wykluczoną mieszkaniowo.

— E, to pewnie coś tu się zepsuło — stwierdziła w końcu Trybel. — Może jakiś pies zagryzł ptaka albo coś takiego. Możemy...

— Nic nie możemy. Ja wracam do ratusza, a ty do domu. I nie kontaktujemy się na razie.

Cierniewski odwrócił się na pięcie i odszedł tam, skąd przyszedł. Jego zawiedziona kochanka też po chwili opuściła parkową alejkę. Wtedy od drzewa oderwała się sylwetka bezdomnego, obdarzonego wielkim, charakterystycznym nosem. Zanim ruszył w ślad za Tryblową, pokręcił niezadowolony głową.

— Co za ludzie. Szary człowiek oprze się o szare drzewo i już go nie widzą — westchnął Saganek i podreptał za kobietą.

Ogromną część galerii należącej do Ewarysta Rosta pokrywała teraz wielka, stalowa konstrukcja, której kształt ciężko było określić. Składało się na nią wiele elementów, które wyglądały jak siedzenia, ale umieszczone były w ten sposób, że trudno było przypuszczać, aby ktokolwiek mógł z nich skorzystać, nie narażając się na nabicie sobie guza. Jej montaż zakończył się przed godziną, artysta opuścił już to miejsce i nawet oddał chwilowo marszandowi klucze, z których korzystał, bo resztę prac miał zamontować dopiero za kilka dni. Ale ta instalacja była największa i najważniejsza, i to właśnie jej w tej chwili przyglądał się z zachwytem właściciel galerii. A przynajmniej taki miał zamiar, do momentu gdy usłyszał za sobą kroki. Burknął tylko, nie odwracając głowy:

— Zamknięte.

— Wiem. Dlatego wszedłem.

Pan Ewaryst zeszytniał, co utrudniło mu odwrócenie się i ujrzenie natręta. Nie musiał jednak tego robić, żeby wiedzieć, kto za nim stoi. Tak bezczelny był w tym mieście tylko jeden człowiek.

— Co pan tu robi? — zapytał.

— Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, jak pan się czuje. Z tego, co usłyszałem i przeczytałem na portalach społecznościowych, w zasadzie powinien pan się poruszać na wózkulku inwalidzkim albo przynajmniej o kulach. Dlatego bardzo mnie cieszy, że znajduję pana w dobrym zdrowiu. — Jacek poklepał pana Ewarysta po plecach.

— Znaczący, wie pan... Ja naprawdę nic nie mówię o tym przypalaniu ogniem. To ci studenci tak wszystko rozpowiedzieli.

— Wiem, wiem. A cóż to za dziwadło? — Jacek zaczął z rozbawieniem przyglądać się metalowej konstrukcji.

— To wybitne dzieło sztuki wybitnego artysty! — oburzył się Ewaryst Rost.

— Ano tak. — Uśmiech wciąż nie zniknął z twarzy detektywa, dlatego właściciel galerii uznał, że musi mu dokładnie uświadomić wiekopomność dzieła, na które spogląda.

— To instalacja z cyklu *Antykonsumpcja* słynnego artysty pejoratywnego Świtały!

— Artysta pejoratywny? Nie słyszałem o takim. Ale rozumiem, że to po prostu ktoś taki, kto lubi się ludziom źle kojarzyć?

— Właśnie tak. Artysta Świtała stworzył tę instalację i kilka innych, które dopiero dotrą w najbliższych dniach, jako kwintesencję sztuki współczesnej. Ma ona stawiać odbiorcę w niewygodnej sytuacji, pogłębiać jego brak komfortu i wywoływać w pierwszym odruchu

oburzenie na artystę, aby zmusić do przemyślenia własnego wygodnickiego i konsumpcyjnego stylu życia.

— Bardzo ciekawe — powiedział Jacek takim tonem, że gdyby nawet wymówił zwrot: „co za idiotyzm”, nie wyraziłby lepiej swojego stosunku do tego dzieła sztuki.

Dlatego, żeby zwiększyć jego szacunek do artysty Światały, Ewaryst Rost chwycił się ostatniej deski ratunku.

— Pan wie, po ile chodzą jego instalacje?

— Na pewno są warte krocie i to jest jeszcze ciekawsze. Zresztą w tej sprawie tutaj przyszedłem. Niedawno pewien malarz o nazwisku Zimnica stał się bardzo popularnym twórcą, a jego dzieła zyskały na cenie.

— To prawda — przyznał Rost. — Ale jego sprzedaje kolega Bruzda. — Marszand wyjął pogardliwie wargi.

— Chyba pan nie lubi kolegi Bruzdy? — zapytał z zainteresowaniem Jacek, bo najlepsze informacje o kimkolwiek można otrzymać tylko od wrogów i przyjaciół.

— Bo to dyletant, który się nie zna na sztuce — prychnął Rost. — Ale ma dobre kontakty w polityce, to i tańszy wynajem powierzchni na galerię sobie załatwi i jakąś dotację... — Marszand urwał, bo zorientował się, że ze złości na dobrze ustosunkowanego kolegę zdradza już trochę za wiele. — W każdym razie nic nie wiem o Zimnicy, bo go u siebie nie sprzedaję!

— Ale na pewno wie pan, kto kupuje.

— Słyszałem tylko, że jakiś zagraniczny kolekcjoner. Jedni mówią, że z Włoch, a inni, że z Turcji. W każdym razie na pewno nie jest to pan Klempuch, jeśli o to chodzi...

— Ta informacja też się przyda. Ale może wie pan o tym Włochu czy Turku coś więcej?

— Może i wiem, ale nie widzę powodu, dla którego miałbym się z panem tą wiedzą dzielić.

— Choćby z wdzięczności.

— A za co? Za to, że pan mnie... — urwał, bo zrozumiał, że Przypadek jest jedyną osobą, której nie może wmawiać, że go pobił. — To znaczy właściwie pan mnie nie pobił, ale... szantażował mnie pan i wy dostał ode mnie informację!

— Powinien być pan wdzięczny za to nieistniejące pobicie. Stał się pan pierwszą ofiarą mojej fizycznej agresji, zyskał w środowisku status męczennika, i to, że ten pan Światała wystawi u pana swoje prace, na czym pan pewnie zarobi, to pośrednio też moja zasługa. Ale jak dotrze do pana Klempucha, że to dzięki panu zrozumiałem, jak postanowił ukryć przed światem dzieło Eweliny Marcak, to dobra passa pana galerii może szybko minąć.

Ewaryst Rost sapnął wściekły i już nawet widok wspaniałej instalacji artysty pejoratycznego Światały nie cieszył go tak bardzo. Przeklinał też w duchu Marzenę Górską za to, że przysłała dwa lata temu do niego tego utrapionego mądrąłę, bo inaczej przecież i on, i wielu innych przyzwoitych ludzi mogłoby uniknąć kłopotów.

— Pan jest jednak draniem.

— Do usług. A teraz proszę powiedzieć, co pan wie jeszcze o tym tajemniczym kolekcjonerze.

— Ja naprawdę niewiele o nim wiem.

— To proszę mi powiedzieć to niewiele, a ja się zastanowię, czy to wystarczy.

Ewaryst Rost jeszcze przez chwilę walczył ze sobą, a właściwie ze strachem przed Jackiem Przypadkiem, ale zrozumiał w końcu, że opór jest daremny.

— Mówią, że on ma też firmę budowlaną, chyba będzie u nas jakieś duże osiedle budował. I na Zimnicę trafił właśnie przy okazji przyjechania w interesach, walczył u nas o jakieś kontrakty na drogi czy coś.

— No tak. To wiele wyjaśnia. Do widzenia.

Jackek wyszedł, zostawiając osłupiałego Ewarysta Rosta, który nie miał pojęcia, jak jego słowa mogły coś detektywowi wyjaśnić. I to znowu! Czyżby marszand urodził się pod jakąś wybitnie pechową gwiazdą?! Chyba będzie musiał wykosztować się na jakiegoś psychoanalityka w Paryżu czy Nowym Jorku. Tylko do tamtych będzie mógł chodzić bez strachu, że wyda się, iż jego dziwaczna pomoc dla detektywa kosztowała zdrowie i wolność tyłu wspaniałych ludzi.

Przed galerią czekał na Przypadka nieco już nudzący się Łoś. Zobaczywszy Jacka, podniósł się z ławki i zapytał:

— I co, dowiedział się pan czegoś?

— Obawiam się, panie komisarzu, że tym razem polecą grube ryby. I to kilka naraz. Nie chciałbym, żeby pan był znów narażony na kłopoty.

— O mnie niech się pan nie martwi — powiedział przez zaciśnięte zęby Łoś. — W końcu po to zostałem policjantem, żeby aresztować każdego drania, bez względu na to, kim jest!

Patryk Zimnica z pędzlem umoczonym w zielonej farbie w jednym ręku i paletą w drugim stał przed białym płótnem opartym na sztalugach. Co chwilę wyciągał dłoń ze swym narzędziem pracy w kierunku przyszętego obrazu, a potem ją cofał. I tak już od prawie pół godziny. I tak już prawie pół roku. Zimnica wciąż czekał na kontakt z kosmosem, który natchnie go do stworzenia kolejnego dzieła. Ale kosmos nie wysyłał w jego stronę sygnału, choć artysta malarz bardzo starał się oderwać swój umysł od ziemskich spraw, używając do tego wszelkiego rodzaju substancji sprzedawanych bez paragonu fiskalnego. Nie dawało to żadnego efektu, a przynajmniej takiego, który przełożyłby się na jego twórczość.

— Szlag by to trafił. — Zimnica ze złością rzucił paletę i pędzel na podłogę. Dźwięk upadających narzędzi jego pracy złał się z pukaniem do drzwi pracowni. Dlatego malarz w pierwszej chwili nic nie usłyszał i dopiero dzwonek dał mu sygnał, że ktoś od niego coś chce. — Przecież ja tu pracuję! — burknął ze złością, ale poszedł otworzyć drzwi. Zaraz gdy tylko to zrobił, skrzywił się jak po cytrynie i wycedził przez zęby: — Powiedziałem ci, że jak cokolwiek namaluję, to do ciebie zaraz przyjdę.

— Po prostu przechodziłem obok i wpadłem zobaczyć, jak ci idzie praca — powiedział Bruzda.

— Nie ściemniaj. Ty tu nigdy nie przechodzisz w okolicy, bo tu nie ma żadnych interesujących knajp ani w ogóle niczego. Dlatego tu mam pracownię, żeby nikt do mnie nie wpadł po drodze.

— Niech ci będzie. Ale skoro już jestem...

— To zaraz może cię tu również nie być. Niczego nie namalowałem, więc nie masz tu nic do roboty.

— Ale zaliczki na obrazy wzięłeś trzy miesiące temu...

— Mówisz o tym śmiesznym tysiącu za sztukę? Zapomniałeś, po ile sprzedałeś moje obrazy?

— Ja byłem tylko pośrednikiem, więc nie zarobiłem zbyt wiele. A ty wisisz mi dziesięć płócien.

— I jak je namaluję, to je dostaniesz.

— Patryk, ja nie proszę o wiele. Machnij parę razy pędzlem po płótnie...

— Ja nie macham pędzlem po płótnie! I ktoś taki jak ty jest marszandem?!

— Dobra, to złóż swój cenny podpis na dziesięciu płótnach, a ja zatrudnię kogoś, kto szybko machnie za ciebie parę razy pędzlem... Ej, ej, ej, Patryk, nie wygłupiaj się!

— Powiedz, że żartowałeś? — Zimnica nie był jakimś szczególnym mocarzem, lecz to, co usłyszał, zwielokrotniło jego siły i bez trudu uniósł Bruzdę i przycisnął go do ściany.

— To chyba ty żartujesz! Dzwonisz do mnie i mówisz, że chcesz pięćdziesiąt tysięcy, a oddasz, jak coś namalujesz, chociaż od pół roku nie potrafisz nic stworzyć. Zapomnij o kasie. Albo daj mi choć jedno płótno ze swoim autografem, żebym mógł zapłacić komuś, kto nie potrzebuje połączenia z kosmosem, żeby cię zastąpił.

— Nie ma mowy. Zobaczysz, niedługo dostanę stamtąd jakiś sygnał i namaluję pięćdziesiąt obrazów!

— Oszalałeś!? — Marszand przestraszył się nie na żarty. — Jeśli to zrobisz, ceny spadną na łeb na szyję. Potrzebuję tylko tych dziesięciu sztuk.

— Przecież powiedziałeś, że masz nabywcę na cały okres żółty i wszystkie pewnie pójdą po dwie stówy.

— Ale takiego kolekcjonera jak ten Włoch już nie znajduję. Nie mam pojęcia, co go w tej żółci tak ujęło, że chce je kupić wszystkie za tę cenę. Ale teraz musimy ostrożniej sprzedawać, góra po kilka sztuk rocznie.

— Mam to w dupie. Jak przychodzi na mnie natchnienie, to po prostu maluję. A ty nie masz ze mną umowy na wyłączność.

— Ale mam na dziesięć najbliższych obrazów. No ale okej. Wezmę od ciebie całe pięćdziesiąt. Ale za te czterdzieści dam tylko zaliczkę po tysiąc, a resztę płacić będę po sprzedaży, bo jesteś teraz za droгим malarzem. I puść mnie w końcu.

— Zawsze byłeś kutwą, Boluś — powiedział Zimnica, opuszczając marszanda.

— Dzięki mnie masz w ogóle za co żyć i to ja cię wylansowałem. Mógłbyś okazać trochę wdzięczności, bo uwierz, że potrafię sprawić, że twoje płótna znów będą warte niewiele więcej niż materiał, z którego powstały.

— Chyba będę musiał zmienić marszanda.

— Jak mi dasz te dziesięć obrazów, za które wzięłeś zaliczkę, to życzę powodzenia — powiedział Bruzda ni to z kpina, ni to z groźbą w głosie, choć jego dalsze słowa nie pozostawiły już tyle wątpliwości co do jego intencji. — I pamiętaj, że najlepiej sprzedają się martwi artyści. A ja mam jeszcze trzy twoje płótna na czarną godzinę. Jak cię już nie będzie, to może je opchnę po bańce za sztukę?

Zimnica miał ochotę jeszcze raz przycisnąć Bruzdę do ściany, ale się opanował. Dlatego marszand bezpiecznie wyszedł z jego pracowni. Jedyne, na co sobie pozwolił artysta malarz, to głośne trzaśnięcie drzwiami po wyjściu Bruzdy.

— Bezcelny typ — mruzczał pod nosem. — Co za pech, że tylko jemu udało się sprzedać te moje obrazy.

Zimnica wyjrzał przez okno i zobaczył oddalającego się Bruzdę. A potem poszedł w ką, gdzie przykryte wielką, brezentową plandeką, leżały płótna. Wyciągnął pierwsze z brzegu i zaczął mu się przypatrywać z nieukrywaną satysfakcją, a właściwie zachwytem. Laikowi trudno było zrozumieć, co tak bardzo cieszyło malarza, bo na płótnie widniały jedynie różne żółtawe plamki, które nieznanym się na sztuce nowoczesnej mogły się chyba kojarzyć co

najwyżej z mroczkami. Zimnicy zresztą też coś zaczęło nie pasować w obrazie, jakby przestał mu się nagle podobać. Odłożył go ze złością do innych. Wyciągnął na moment kolejny, też zabarwiony na żółto, ale i jego wsunął z powrotem pod plandekę.

— No i co mi po was, jak i tak nie mogę was sprzedać? — Ze złością nakrył obrazę dokładnie plandeką i zastygł na moment w bezruchu. — Chociaż może by się jednak dało coś zrobić...

Malwina Żarska i Anna Sakowicz *de domo* Sobania pracowały niegdyś przez kilka lat wspólnie w redakcji „Nowego Życia”, popularnego dziennika, który ze swoją sprzedażą znajdował się na trzecim miejscu, za „Gazetą Wyborczą” i „Rzeczpospolitą”. Obie były tam dziennikarkami śledczymi i mówiono o nich, że się świetnie zapowiadają i kiedyś będą prawdziwymi gwiazdami. Było to w gruncie rzeczy niedawno, niecałe dwa lata temu, a teraz wydawało się, że dzielą je od tej chwili lata świetlne.

Pierwsza złożyła wypowiedzenie i przez dziewięć miesięcy krążyła u podnóża Himalajów, szukając dawno zaginionej narzeczonej Jacka, Basi, która była też jej przyjaciółką. A teraz skończyła pisać książkę o tych poszukiwaniach i całej swojej wyprawie i nie bardzo miała pomysł na to, co zrobić ze sobą potem.

Druga formalnie była na urlopie macierzyńskim, ale też wiedziała, że nie ma co liczyć na to, że ktoś w redakcji będzie na nią czekał z otwartymi rękoma. Tuż przed zejściem w ciążę zdążyła nieźle podpaść naczelnemu i kilku znajomym. Na dodatek wyszła za męża za najlepszego przyjaciela wroga ludu dziennikarskiego. Jej sytuacja wydawała się też zła, choć nie beznadziejna. A nawet ostatnio jej zdaniem wyraźnie się poprawiła.

— Mówię ci, jak tam zamieszkamy, poznam na pewno mnóstwo ciekawych osób i wrócę do zawodu! — entuzjazmowała się pani Sakowicz, odwiedzivszy swoją przyjaciółkę razem z małym Jędrzejem, który smacznie teraz chrapał w wózekczku.

— Przecież oni dopiero podpisują jakieś ostatnie umowy z dzielnicami na zakup tych gruntów — studziła ją Malwina.

— Ale na pewno wszystko podpiszą, tam znani ludzie się ustawiają w kolejce po mieszkanie.

— No to jeśli nawet, to najwcześniej wprowadzicie się tam za jakieś trzy lata. A co do tego czasu?

— Jak już kupimy, to się trzeba będzie zorientować, kto konkretnie obok nas zamieszka, i nawiązać pierwsze sąsiedzkie stosunki. Może to będzie jakiś naczelny? — rozmarzyła się.

— A może to będą ludzie, którzy do Polski wpadają tylko czasem na chwilę, bo tak naprawdę tylko latają po świecie? — Żarska próbowała ostudzić entuzjazm przyjaciółki, ale Sakowiczowa nie potraktowała jej słów jak zimny prysznic, ale dodatkowe podgrzanie wody z marzeń, w której pływała.

— Myślisz, że mi pomogą w międzynarodowej karierze?

— Myślę, że ich możesz nie zobaczyć na oczy, a jeśli już, to przez chwilę — burknęła Malwina.

Dopiero te słowa sprawiły, że żona mecenasa Sakowicza została wyrwana ze świetlanej przyszłości, która się przed nią rysowała, i przywrócona do dnia dzisiejszego. Zamrugła oczami i spojrzała zdziwiona na przyjaciółkę, zauważając jej podły humor.

— A co ty tak na nie ostatnio jesteś?

— Najdalej za miesiąc się stąd wyprowadzę.

— Ale co, nie możesz znaleźć jakiegoś fajnego mieszkania?
— Już znalazłam. Nawet niedaleko stąd. Sama nie wiem, po co.
— Dobrze wiesz. — Ania pokiwała głową. — Chcesz być blisko niego.
— Wiem, że to jest kompletnie bez sensu.
— Naprawdę nie możesz nic zrobić, żeby go złamać? Ja wiem, że to drań, łobuz, sukinkot i utrapienie wszystkich porządnym ludzi, ale to jest jednak tylko facet. Na takiego kobieta, jak chce, na pewno znajdzie sposób — zapewniła mecenasowa Sakowiczowa, jakby zapominała, że sama kiedyś tego sposobu nie znalazła.
— Ale ja nie chcę znajdować na niego sposobu. Ja po prostu chcę, żeby on też chciał.
— Chyba trochę za dużo wymagasz od życia — stwierdziła stanowczo mecenasowa Sakowicz. — Ja bym mu na początku wyrzuciła zdjęcie tej modelki z kuchni. Po co on je tam trzyma?
— Bo ją pewnie cały czas kocha.
— Ale przecież ona umarła ponad rok temu.
— Zdjęcie Basi trzymał tam ponad dziewięć lat, choć też było praktycznie pewne, że nie żyje.
— To on naprawdę jest jakiś nekrofil. Mówię ci, sprowokuj go i wyrzuc mu to jej zdjęcie.
— Wtedy on by wyrzucił mnie z domu.
— Co ci za różnica, jak i tak masz się zamiar wyprowadzić? Rób coś, działaj, a nie tylko marudzisz. O, zaproponuj, że uczucie wydanie twojej książki jakąś dobrą butelką wina. Zrób się na bóstwo i nie ma siły, będzie twój.
— Nie będzie.
— Zobaczysz, rzuci się na ciebie.
— Raczej ja na niego. I to będzie już moja ostateczna kompromitacja. A poza tym, nawet gdyby to zadziało, to jest jednorazowy numer. A to mnie kompletnie nie interesuje.
Ania zaczęła zerkać zaniepokojona na przyjaciółkę. Od dawna czuła, że ta jest beznadziejnie zakochana w Przypadku. Ale że aż tak beznadziejnie, to nie przypuszczała.
— I naprawdę myślisz, że nic z tym się nie da zrobić? — zapytała mecenasowa Sakowicz.
— Ja to nawet wiem. Powiedział mi, że kiedyś miałam szansę. Może mówił prawdę, a może nie. Nie mam pojęcia. Może i miałam tę szansę, ale wtedy nie chciałam z niej skorzystać. A może tak naprawdę nie miałam szansy i ta szansa była tylko teoretyczna. Trochę się łudziłam, że jak znajdę Basię, że jak zrozumie, że jej ostatecznie i na pewno nie ma... Ale wtedy zjawiła się u niego ta modelka, Małgosia...
— Przecież tej Małgosi też nie ma. Ja rozumiem, przy tej Baśce mógł się zastanawiać, łudzić, że nie spadła gdzieś w górską rozpadlinę, tylko straciła pamięć i żyje. No i że może kiedyś tu wróci. Ale z tą modelką nie może mieć wątpliwości, że już nie istnieje.
— Dla niego jakby wciąż istniała.
— Bo to jest kompletny świr. Mówię ci, wyprowadzaj się od niego jak najszybciej i zacznij żyć jak normalna kobieta...
— Już jestem! — dobiegło radosne wołanie z korytarza.
— To się będę zbierała. — Ania się podniosła i chwyciła za poręcz wózka.
— Witam mecenasową Sakowiczową. — Jacek uśmiechnął się szeroko na widok żony przyjaciela.
— Bardzo śmieszne — fuknęła na niego.
— Pomóc ci znieść wózek?

- Dałam go radę wtargać na czwarte piętro, to dam radę i z powrotem.
- Jak sobie chcesz — przytaknął Jacek, który powoli, choć z trudem, przyzwyczajał się do tego, że jak kobieta chce się samodzielnie męczyć, to należy jej pozwolić. — A co tam u Błażeja? Nie odzywa się do mnie ostatnio...
- Zapomnij, że go znów w coś wciągniesz! — Ania popatrzyła groźnie na Jacka. — On już teraz nie będzie pracował dla ciebie. Teraz pracuje dla mnie!

Starszy aspirant Smańko był już od lat przyzwyczajony do tego, że stanowił naturalną barierę pomiędzy przełożonym a jego żoną, domagającą się stałych kontaktów ze swoim mężem. Dawniej było to dużo prostsze, bo podkomisarz Łoś długo bronił się przed posiadaniem komórki, a potem tłumaczył, że nie wie, jak ją odebrać, i to nie jego wina, że zamiast mikroskopijnej zielonej słuchaweczki, naciska tę czerwoną. Poza tym, jak tłumaczył żonie, w trakcie prowadzenia czynności służbowych nie może tak po prostu rozmawiać z nią przez telefon, dlatego niech dzwoni na oficjalny numer w komendzie stołecznej. A ten zawsze odbierał Smańko i jeśli tylko Łoś sobie tego życzył, mówił, że go nie ma lub nie może rozmawiać.

Nie inaczej było przed chwilą, kiedy pani Eugenia Łoś chciała się upewnić, czy mąż wróci dzisiaj na obiad. Starszy aspirant przekazał, że jak tylko spotka podkomisarza, to zada mu to pytanie i oddzwoni. A ponieważ Łoś siedział naprzeciwko niego, zrobił to od razu. Odpowiedź, którą uzyskał, zdumiała go niesłychanie.

— Wiecie, Smańko, więzienie to nie jest najgorsza rzecz na świecie.

— Aha. — To krótkie słówko to była jedyna rzecz, na którą w pierwszej chwili stać było starszego aspiranta. — To znaczy, że tam gotują lepsze obiady?

— No gdzie, Smańko? — obruszył się podkomisarz. — Chociaż też tak najgorzej nie karmią. To znaczy ja byłem właściwie tylko w areszcie, ale to przecież to samo. No i tak w ogóle to nie jest tam najgorzej, z żoną człowiek widzi się najwyżej co drugi dzień, pół godziny gładzenia i z głową. Bibliotekę mają fajną, standard w celach przyzwoity... — Łoś wymieniał zalety miejsca odosobnienia, trochę jakby mówił o warunkach w trzygwiazdkowym hotelu.

— To znaczy... panu komisarzowi tam się podobało?

— Nie no, co wy, Smańko? Mówię tylko, że to nie jest najgorsze miejsce na świecie. I że każdy policjant musi być przygotowany na to, że kiedyś tam trafi.

— Każdy? — zapytał z niepokojem starszy aspirant.

— Tak, każdy. Całe nasze życie działamy na styku z przestępcami i nie możemy być pewni, czy któregoś dnia nie postanowią się na nas zemścić za naszą skuteczność.

— No tak, racja — przytaknął bez przekonania Smańko.

— I tylko nie myślcie, że można tego uniknąć. — Podkomisarz zauważył brak entuzjazmu podwładnego. — Inaczej musielibyście przestać być policjantem.

— A czy teraz grozi nam, że zatrzymamy kogoś, kto będzie mógł się zemścić? — zapytał ostrożnie starszy aspirant.

— Źle to sformułowaliście, Smańko. Teraz jest duża nadzieja, że zatrzymamy kogoś takiego.

— A kogo konkretnie?

— Tego jeszcze nie wiem. Sami wiecie, że Przypadek bywa w takich kwestiach bardzo enigmatyczny. Ale nie można wykluczyć, że w sprawę jest jeszcze zaangażowany jeden

wiceburmistrz i burmistrz.

— Ci z dzielnicy Cierniewskiego i Trybla?

— Tak właśnie.

— Ale przecież oni wyjechali z kraju jeszcze przed kradzieżą. I teraz jeżdżą z konferencji o wyzwaniach współczesnego miasta na konferencje o zagrożeniach współczesnego miasta. A potem mają jeszcze jechać na następną o bezpieczeństwie obywateli w nowoczesnym mieście. I na kolejną. I wracają za trzy miesiące. Swoją drogą nieźle się urządzili. A te konferencje dla burmistrzów to są specjalnie tak urządzone, żeby nie musieli wracać i pracować.

— I co z tego? — zdziwił się podkomisarz Łoś.

— No niby nic. Tylko jak mieliby ukraść te obrazy...?

— Jak, to wyjaśni Przypadek. A my pewnie będziemy będziemy musieli ich aresztować. Kto wie, czy tamci dwaj, co tak jeżdżą po świecie, po prostu nie wywieźli tych obrazów Zimnicy i teraz nie dostarczają ich do kolejnych odbiorców na różnych kontynentach.

— E, po prostu sobie urządzili wycieczkę po świecie za nasze pieniądze, i tyle. Jak to politycy.

— Nie wiadomo, Smańko, nie wiadomo. — Podkomisarz spojrział krytycznie na podwładnego i stwierdził, że podstawowym minusem jego nieobecności był fakt, że starszy aspirant zaczął za bardzo wybijać się na niepodległość w swoich opiniach. — Może tak, może nie.

— Mnie to jednak ten Zimnica bardziej pasuje tu na złodzieja. Tylko on tak naprawdę mógł wiedzieć, że te jego obrazy pójną w górę. A jak ma teraz tę twórczą niemoc, toby inaczej został całkiem bez grosza.

— To dlaczego okradł akurat Trybla?

— Może tak mu było najłatwiej? Tamci wyjechali z kraju, a ich willi bronią agencje ochrony.

— A ja myślę, że rzecz jest w czym innym. — Łoś uśmiechnął się tajemniczo, a jego mina świadczyła o tym, że jest wybitnie dumny ze swojego odkrycia. No i w przeciwieństwie do Przypadka pochwali się nim w pierwszym możliwym terminie. Dlatego Smańko wiedział, że musi mu to ułatwić.

— W czym, panie komisarzu?

— Przyjeliście błędne założenie, Smańko, że o wroście wartości obrazów wiedział przede wszystkim Zimnica. Najpierw wiedział o nim jego marszand, ten Bruzda. A on się dobrze zna z różnymi politykami. I pewnie wiedział, że Cierniewski ma romans z żoną Trybla i dlatego może spokojnie wynieść te obrazy.

— Kto? Bruzda?

— Cierniewski, Smańko. Bruzda, znając się z Tryblem, zdawał sobie też zapewne sprawę, że ten nie zabezpieczył odpowiednio obrazów. I mógł się dogadać z Cierniewskim w tej kwestii. Tak, coś czuję, że o to chodzi i winni są panowie Olek i Bolek. A Przypadek postara się to teraz udowodnić! Chwilowo go przejmujecie.

— Ja?! — zapytał przerażony starszy aspirant.

— Tak. Muszę załatwić kilka ważnych spraw. Sami rozumiecie, awans mi się zbliża.

Helena Sakowicz doskonale знаła tę minę. Widziała ją już nieraz na twarzy swojego męża, od czasu gdy na świat przyszedł ich jedyny potomek, Błażej. Można powiedzieć, że była ona

wieloznaczna, ale tak naprawdę dawało się ją streścić krótkim: „Co z niego wyrośnie”. I brak znaku zapytania na końcu tego zdania nie był omyłką, bo pan Jędrzej doskonale wiedział, że wyrośnie coś niedobrego. A im większy był ich syn, tym bardziej ojciec był zafrasowany, bo podejrzewał coraz gorszą przyszłość dla swego następcy.

— No powiedz już, co znowu zrobił Błażej? — zażądała pani Helena.

— A, szkoda gadać, moja duszko. — Pan Jędrzej machnął ręką.

— Zapewne szkoda, bo większość twoich obaw co do niego jest absolutnie nieuzasadniona. Ale nie mogę już patrzeć, jak tak chodzisz z wiecznie zboląłą miną i wzdychasz.

— No jak mam tego nie robić? Lepiej byłoby, żebyśmy jednak prowadzili osobno nasze kancelarie, a nie łączyli je z powrotem.

— Wtedy byś cały czas narzekał, że cię zostawił samego i nie masz komu przekazać schedy po Sakowiczach.

— No i byłaby to absolutna prawda.

— To czego ty w końcu chcesz? — zirytowała się pani Helena.

— Jak to czego? — zdziwił się niepomiernie pan Jędrzej. — Żeby był choć trochę podobny do mnie.

— Bardziej się chyba nie da.

— Proszę cię, nie żartuj tak sobie ze mnie, duszko. No pomyśl sama, czy ja bym kiedykolwiek rzucał się na zlecenia od wielkich, międzynarodowych korporacji? A on biega teraz ze spotkania na spotkanie i bierze zlecenia, jak leci. I po co? Bo jego żona zamarzyła sobie mieszkanie za trzy miliony. No powiedz, czy ja bym tak zrobił?

— Nie...

— No widzisz! — Pan Jędrzej spojrzał tryumfalnie na swoją żonę.

— Nie, bo kiedy byłeś w jego wieku, nie było u nas wielkich, międzynarodowych korporacji. Ty pracowałeś dla prywaciarzy i badylarzy — przypomniała mu pani Helena, nie wspominając przy okazji o tym, że pan Jędrzej robił to dlatego, że jej zamarzyła się urocza willa w jednej z warszawskich dzielnic.

— Dla nikogo innego nie mogłem pracować, takie były wtedy czasy.

— Twój ojciec uważał inaczej. Pamiętasz, jak mówił, że przed wojną adwokat to brał dwie sprawy rocznie, a na lato i zimę to wyjeżdżał na dwa miesiące odpoczynku?

— Ojciec po prostu nie nadążał i tyle. Przed wojną można sobie było na takie rzeczy pozwolić, dziadek mi opowiadał. O, to był wspaniały adwokat. On rozumiał, że musiałem pracować dla takich ludzi. Ale Błażej nie musi, renoma naszej kancelarii pozwala prowadzić ograniczoną liczbę spraw i cieszyć się odpowiednim dochodem. A on już teraz podpira się nosem i niedługo zatrudni z pięciu aplikantów, żeby ganiał za niego na rozprawę, bo sam nie nadąży.

— Młody jest, niech gania. Zobaczysz, za dwa, trzy lata mu przejdzie.

— Nie przejdzie. Ona sobie zamarzy drugi dom w Londynie, trzeci w Alpach. A on jej nie odmówi, bo ona go trzyma całkiem pod pantoflem. O, i to jest kolejna różnica między nami — powiedział, patrząc na żonę, a ta nie zaprzeczyła, bo wiedziała, że jeśli zacznie mu wprost udowadniać, że to jedno z największych podobieństw między panami, to nie będzie to najlepszy pomysł. Za to to, czego nie można powiedzieć wprost, najlepiej zastosować w praktyce.

— Jaką więc widzisz radę na to?

— Nie wiem, czy da się coś na to poradzić. Zaniedbałem być może jego wychowanie w odpowiednim czasie, zbyt mocno poświęcając się pracy... — Pan Jędrzej urwał, widząc groźną minę swej żony. — Ja wiem, duszko, że ty go wspaniale wychowałeś, ale ja niestety nie służyłem mu zbyt wcześnie jako odpowiedni wzorzec męski, no i zawodowy. I teraz mam to, co mam. Dlatego boję się, że nie ma już dla niego nadziei. I razem ze mną zniknie linia prawdziwych adwokatów w naszej rodzinie...

— Masz jeszcze wnuka.

— Za późno przyszedł na świat. Teraz ludzie za długo czekają na potomstwo. Nim Jędrzejek dorośnie, to ja już będę na emeryturze.

— Twój ojciec też umarł, gdy Błażej dopiero szedł na studia.

— To prawda — przytaknęła mecenas Sakowicz. — Ale nie rozumiem, duszko, co to ma do rzeczy?

— Zawsze powtarzasz, że jeśli już Błażej jest do kogoś podobny, to do twojego ojca.

— Bo tak jest, ale...

— To postaraj się, żeby mały Jędrzejek był podobny do dużego Jędrzeja.

— No ale jak, duszko? Jak mam to zrobić? — Sakowicz senior spojrzął na żonę bezradnie.

— Na początek możesz odwiedzić swojego wnuka.

— No przecież widziałem go zaraz po urodzeniu. No i raz jeszcze się z nimi spotkaliśmy na spacerze.

— I rozumiem, że widując go raz na dwa miesiące, uważasz, że wychowasz w nim swojego godnego następcę?

— No nie... Ale może zaczniemy się częściej spotykać, jak będzie miał siedem lat? To już nawet będzie umiał mówić i będę miał o czym z nim porozmawiać. Może jednak nie, to za wcześnie, za wiele to on nie będzie miał do powiedzenia. Chyba lepsza będzie czwarta, piąta klasa. Albo lepiej nie, wtedy się stanie nastolatkiem, a nie ma szans, żebym się dogadał z nastolatkiem. Lepiej dopiero w liceum. Zacznie poważnie myśleć o przyszłości, jakoś go nakieruję. Chociaż na początku liceum może mieć jeszcze pstro w głowie. O, w klasie maturalnej to będzie świetny moment, żebyśmy zaczęli regularne spotkania, podczas których będę mógł kształtować jego osobowość prawniczą.

— Umówię nas za tydzień, żebyś mógł zacząć swoje kształtowanie.

— Ale przecież nie będzie nawet wiedział, co do niego mówię — zaprotestował nieśmiało pan Jędrzej.

— Jeśli jest tak genialny jak ty, zrozumie cię bez problemu!

Galeria Bolesława Bruzdy nie stanowiła tłumnie odwiedzanego miejsca, nawet w porównaniu z innymi tego typu przybytkami prezentującymi sztukę nowoczesną. Przeznaczona była właściwie tylko dla prawdziwych koneserów. Jej ustronne położenie sprawiało, że nie trafiał tam praktycznie nikt, kogo właściciel by nie znał. A jeśli już trafiał, Bruzda miał pewność, że nic nie nabędzie. Kupców znajdował tylko poprzez prywatne kontakty i nie wierzył, że z ulicy może tu wpaść ktoś z odpowiednio zasobnym portfelem. Dlatego zdziwił się, że do jego biura weszła pilnująca sali młoda studentka ASP, dorabiająca u niego, informując, że ktoś chce się z nim widzieć, bo pragnie nabyć trochę obrazów.

— Jak wygląda? — zapytał Bruzda.

— Ekscentrycznie. Chyba przyjechał rowerem.

— No to go nie stać — stwierdził marszand.

— No właśnie powiedział mi, że ma sto tysięcy gotówki, które chciałby zainwestować.

— I rowerem przyjechał? — upewniał się Bruzda.

— No tak.

— I nie masz na myśli najnowszego modelu samochodu?

— Nie. Ale teraz przecież coraz więcej osób, nawet tych bogatych, jeździ rowerami — powiedziała, święcie wierząc w swoje słowa, studentka, a Bruzda nie chciał z nią dyskutować o tym, że ci naprawdę bogaci to owszem, w jakimś kurorcie mogą przejechać się rowerem na wycieczkę, ale po stolicy poruszają się odpowiedniej klasy autami. Dlatego zdecydował:

— No dobrze, porozmawiam z nim.

Bruzda wyszedł z biura i poszedł do sali, gdzie prezentowano prace kilku artystów współpracujących z nim. Przed jednym z obrazów, będącym dziwną płataniną kolorów i kształtów, a zatytułowanym *Wir*, stał mężczyzna na oko trzydziestokilkuletni i wpatrywał się weń z uwagą. Tak jakby dzieło sztuki pochłonęło go bez reszty i nie mógł od niego oderwać wzroku.

— Podoba się panu? — zapytał marszand ni to z ciekawością, ni to ze zdziwieniem.

— Fascynuje mnie — odparł dyplomatycznie Przypadek. — Tak patrzę i patrzę, i staram się zrozumieć, dlaczego artysta nadał akurat ten tytuł.

— Kiedyś mi to tłumaczył, ale zapomniałem — odpowiedział zakłopotany Bruzda. — Ale jak panu zależy, mogę się go zapytać.

— Nie. Chyba wolę pozostać z tym niedopowiedzeniem — odpowiedział detektyw, starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej uduchowiony tembr.

— Rozumiem, jest pan prawdziwym koneserem. — Bolek Bruzda się uśmiechnął i pomyślał: „To chyba rzeczywiście wariat, gotowy wydać sporo kasy na te obrazy”. A ponieważ nigdy nie odmawiał sobie sowitego zarobku, dodał głośno: — Mam tu sporo płócien, które pozostawiają szerokie pole do interpretacji.

— Nie wątpię — przytaknął Przypadek i uznał, że trzeba już zakończyć zabawę w tajemniczego konesera i nie tracić zbyt wiele czasu w tym miejscu. — Ale mnie interesują najbardziej takie obrazy, na których można dobrze zarobić.

— Ach, więc pan jest inwestorem. — Głos Bruzdy świadczył najlepiej o tym, że znów do końca nie wie, czemu zawdzięcza tę wizytę.

— Właśnie tak. Najbardziej interesują mnie obrazy, które można kupić po tysiąc złotych, a potem sprzedać po dwieście tysięcy.

— Nie rozumiem. — Bruzda zeszywniał.

— Świetnie pan rozumie.

— Kim pan jest?

— Przypadek. Jacek Przypadek. Wynajął mnie pan Trybel do odnalezienia swoich obrazów.

— Ja mu ich nie zabrałem — zapewnił marszand.

— W to nie wątpię. Za to może pan je sprzedać.

— Jeśli pan uważa, że jestem paserem, to nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia! — zdenerwował się Bruzda. — Proszę stąd wyjść, bo natychmiast zadzwonię na policję!

— Nie musi pan dzwonić. Wystarczy, że otworzy pan drzwi. Tam po drugiej stronie czeka starszy aspirant Smańko.

— Straszy mnie pan?

— Tylko informuję. Do widzenia.

Bolek Bruzda stał oszołomiony, patrząc na wychodzącego Przypadka. Spodziewał się z jego strony serii dociekliwych pytań, a tymczasem detektyw wychodził. Czyżby już zauważył tu to, czego szukał? Na wszelki wypadek trzeba by zamknąć galerię i przearanżować wystawę. A może w ogóle na jakiś czas zamknąć całość? Tak, tak chyba będzie lepiej.

Bruzda podszedł do szyby i obserwował, jak Przypadek podchodzi do starszego aspiranta Smańki, który dziś zastępował podkomisarza Łosia w pełnieniu obowiązków. Wiązało się to oczywiście z tym, że jego przełożony był zajęty formalnościami związanymi z awansem na komisarza. I choć przebąkiwano również, że starszy aspirant ma wkrótce szansę zostać aspirantem sztabowym, to Smańko nie był w stanie wykrzesać z siebie ani grama entuzjazmu. Jego zdaniem bowiem ponowne włączenie się w sprawę detektywa Przypadka prędko groziło degradacją na posterunkowego.

— I co, dowiedział się pan czegoś? — zapytał grobowym głosem policjant.

— Nic a nic — odpowiedział uśmiechnięty Jacek.

— To czemu jest pan taki zadowolony?

— Bo mam nadzieję, że udało mi się kogoś zdenerwować. A pan wie, że to mi wychodzi świetnie i zawsze przyspiesza rozwiązanie sprawy.

— I co pan będzie teraz robił?

— To, co zwykle. Denerwował inne osoby.

Olgierd Cierniewski doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w obecnej sytuacji wizyta u kochanki to jeden z najgorszych pomysłów, na jakie mógł wpaść. Ale ostatnimi czasy miał tyle stresu, że nie potrafił sobie dłużej odmówić tej odrobiny przyjemności. Zresztą zawsze uważał się za polityka w stylu francuskim, więc taka brawura była jak najbardziej na miejscu.

Te chwile przyjemności nie mogły trwać zbyt długo, bo spieszył się na konferencję samorządowców, na którą zresztą już wcześniej wyjechał pan domu. Dlatego mimo nalegań pani Elżbiety zakładał ubranie równie szybko, jak pół godziny wcześniej je zdejmował. Kiedy jednak już przy drzwiach i wyjrzał przez okno wychodzące na furtkę, zamarł w bezruchu.

— Co się stało, kotku? — zapytała Tryblowa.

— Cholera jasna, on tam jest!

— Stefan?!

— Jaki Stefan? Jak by to był Stefan, tobym się nim w ogóle nie przejmował! To Przypadek jest!

— Skąd wiesz?

— No bo widziałem już parę razy jego głowę w telewizji i gazetach! Co mnie podkusiło, żeby tu przychodzić?! Myślałem, że za tobą chodzą najwyżej ci jego bezdomni.

— Ale nie denerwuj się, na pewno zaraz sobie stąd pójdziesz, jak zobaczy, że nikogo nie ma w domu. — Tryblowa chciała się przytulić do Cierniewskiego, ale ten odepchnął ją zdecydowanym gestem.

— Elka, przecież jesteśmy w domu!

— Ciszej, bo nas usłyszysz. A na razie raczej nas nie zobaczył.

— Mój samochód jest zaparkowany niedaleko.

— Oj, na pewno nie kojarzy, który to twój samochód. Zresztą on stoi na innej ulicy.

— Elka, czy ty naprawdę nie rozumiesz, że przez tego faceta może nam się wszystko posypać?!

Tryblowa spojrzała na kochanka z dezaprobatą. Ręce Cierniewskiego trzęsły się jak w delirium, jego głos drżał niczym osika na wietrze, a twarz była bardziej przerażona niż wtedy, kiedy opowiadał, że jego zastępca chce go wysadzić z siodła i zająć fotel burmistrza. To już nie był ten Olgierd, który uwiódł ją rok temu, kreując się na męża stanu, o którego zabiegają ministerstwa, żeby łaskawie zgodził się stanąć na ich czele albo przynajmniej znalazł się tam w roli sekretarza stanu. To była biedna, przestraszona szara myszka, bliska zawału ze strachu. Tak, chyba jednak się pomyliła, stawiając na niego. Ale zawsze był to jakiś awans. Jej mąż był w końcu tylko wiceburmistrzem, a ten całym burmistrzem. Trzeba jednak iść bez sentymentu do przodu. Ostatnio podrywał ją jakiś wiceminister czegoś tam i czegoś... Ale chyba czegoś ważnego. A nawet jak czegoś kompletnie nieistotnego, to jednak to wiceminister, a nie burmistrz. No i do takiego wszyscy mówią „panie ministrze”, więc ona by mogła być ministrową. Tak, czas już chyba skończyć ten romans.

— Dlaczego on nie dzwoni? — zastanawiał się tymczasem na głos Cierniewski.

— Może dzwonił, ale nie słyszeliśmy. Dzwonek nam się ostatnio psuł. Mówiłam Stefanowi, że powinien naprawić. Ale jak grochem o ścianę. Na niego w domu to nie można liczyć. Tylko mi te narzędzia do majsterkowania kupić i powiedział, że jak się chcę bawić, to moja sprawa. Nawet teraz włącznik w łazience będę musiała sama zmienić.

— Przecież jest dobry.

— Ale mi się nie podoba. Znalazłam świetną instrukcję w Internecie...

— Nie zwracaj mi głowy tymi swoimi bzdurami. A dzwonek do furtki działał, jak tu przychodziłem, nie pamiętasz, że dzwoniłem?

— A faktycznie. No to może on nie wie, że nikogo nie ma w domu — odpowiedziała pani Elżbieta i tym razem to Olgierd przez dłuższą chwilę prowadził wewnętrzny dialog, podający w wątpliwość sens romansu z kochanką, która nie była tytanem intelektu. — Zobaczysz, zaraz sobie pójdzie.

— Ale ja nie mam czasu na zaraz. Muszę jechać teraz jak najszybciej na tę konferencję.

— Przecież dzisiaj to będzie tylko kolacja, a te wykłady i panele dopiero jutro. Stefan mi mówił.

— Te panele to sobie można wiesz, gdzie usadzić? Dzisiaj jest najważniejszy wieczór. Wszyscy dadzą w gaz i najwięcej da się ugrać. Jutro na wykładach będą półprzytomni.

— Ale jutro jest kolejny wieczór.

— Tak, ale już dużo słabszy. Większość jeszcze tak do końca nie wytrzeźwiała i drugi wieczór jest już mało ważny, każdy pije ostrożnie, bo następnego dnia rano wraca samochodem i nie może mieć więcej niż promil... Rany, co on robi?!

— Chyba rozstawia sobie leżak i zaczyna się opalać.

— No to już nie pójdzie stąd do wieczora.

— Październik jest, niedługo na ulicy schowa się słońce.

— Elka, czy ty naprawdę nie rozumiesz, że on doskonale wie, że tu jesteś, i robi to wszystko specjalnie?! Może nawet umówił się ze Stefanem, który będzie chciał coś ugrać dla siebie na tej konferencji.

— Stefana interesują teraz tylko te obrazy.

Cierniewski uznał, że dalsza dyskusja z Tryblową na tematy polityczne nie ma sensu. Jako oficjalnie zagorzały feministka nieoficjalnie był przekonany, że pewne zawiłości związane z polityką są zbyt skomplikowane, aby objął je kobiecy umysł. Oczywiście gdyby zjawiła się

kobieta podobna do Margaret Thatcher, to co innego. Ale Margaret Thatcher była jedna i Cierniewski nie widział nad Wisłą kandydatki, która mogła wejść w jej buty.

— Dobra, wychodzę — zdecydował w końcu.

— Olgierd, no co ty? Przecież on cię zobaczy. Poczekaj chwilę.

— Aż pan Przypadek się ładnie opali i znudzi mu się siedzenie tutaj? Nie, to bez sensu. Jak mówię, Stefan i tak już o nas wie, więc nie ma sensu się kryć.

Cierniewski włożył buty i po chwili wyszedł na zewnątrz. Podszedł do furtki, za którą siedział na leżaku Przypadek. Detektyw podniósł się na jego widok i uśmiechnął, jak to on, przyjaźnie.

— Dzień dobry, panie burmistrzu.

— Kim pan jest?

— Przecież pan świetnie wie. Inaczej nie naradzałby się pan tak długo z żoną pana Trybla w kwestii tego, co zrobić.

— Z nikim się nie naradzałem. I w ogóle nie wiem, o czym pan mówi!

— Jak zwykle o tym, że ludzie są banalnie przewidywalni. Pozwoli pan, że oddalę się do mojego kolegi policjanta, który mi zawsze towarzyszy. — Przypadek złożył swój leżak i odszedł w głąb ulicy, zostawiając Cierniewskiego w niemym zdziwieniu.

Równie zdziwiony był starszy aspirant, do którego podszedł detektyw.

— Myślałem, że go będzie pan o coś wypytywał — powiedział Smańko.

— Nie było sensu. Polityk zawsze tak sprawnie miesza kłamstwo z prawdą, że nawet sam nie wie, co jest czym.

— No ale to po co tu przyszliśmy? Żeby go zdenerwować?

— Nie tylko, panie starszy aspirancie. Teraz wiemy, że nie ma z tego domu alternatywnego wyjścia, którym można się wydostać niepostrzeżenie, bo w innym wypadku pan Cierniewski by z niego skorzystał.

Konferencja samorządowców z województwa mazowieckiego i kilkunastu przylegających do niego powiatów mazurskich odbywała się jak zawsze w hotelu położonym niedaleko od Warszawy. Miejsce to miało odpowiedni pięciogwiazdkowy standard, basen, spa i wszystkie niezbędne rzeczy, potrzebne politykom, by odpocząć w spokoju po dniu ciężkich narad i tygodniach poświęceń dla dobra rządzonych przez nich obywateli. Dlatego prezydenci, burmistrzowie oraz wszelkiej maści ich zastępcy byli uśmiechnięci i zadowoleni. Może poza Stefanem Tryblem, który ponuro upatrywał się w parking przed hotelem, gdzie obok jego kilkuletniego rzęcha stały najnowsze modele aut. Wprawdzie miał go zmienić, bo już wstyd było się pokazać kolegom samorządowcom, i było go na to stać, ale po zaginięciu obrazów postanowił się wstrzymać z zakupem.

— Mój miły, co ty robisz? — Trybel usłyszał nagle za plecami głos Cierniewskiego.

Tu autor musi od razu dodać kilka słów wyjaśnienia dla Czytelników, aby nie czuli się zdezorientowani grzecznym językiem polityków. Jednak zacytowanie ich dosłownie byłoby sprzeczne z wyznawanymi przez niego wartościami. Dlatego też musiał ten język mocno złagodzić, a tak naprawdę zastąpić zupełnie nowymi słowami, aby móc przekazać treść rozmowy pana burmistrza z wiceburmistrzem. Posłużył się przy tym zwrotami z okresu, gdy w użyciu była często zwykła łacina, a nie jej kuchenna odmiana, królująca w dzisiejszych czasach. Jeśli zaś Czytelnicy koniecznie chcą, mogą sobie pod słowa bohaterów podstawić knajacki język znany powszechnie z taśm, na których lubią nagrywać swe rozmowy ich

bohaterowie i wszelkiego rodzaju służby. Dla ułatwienia autor doda, że w oryginale kwestia „Mój miły, co ty robisz?”, brzmiała: „Kutasie, co ty, kurwa, odpierdalasz?”

— Ach, drogi Olgierdzie, rozmyślam nad własnym nieszczęściem spowodowanym utratą obrazów.

— Bardzo ci współczuję, Stefanie najmilszy, ale powinieneś również pomyśleć o innych.

— Ciągłe myślę o innych i wiesz, jak mam dobre o nich zdanie, szczególnie o naszych partyjnych kolegach.

— Pamiętaj zatem, Stefanie najmilszy, że oni cię nie opuszczą, dopóki będziesz o nich dobrze myślał. A nawet jeśli nie będziesz dobrze myślał, to oni będą z tobą myśleli w każdym zakątku świata, w jakim się znajdujesz.

— Nie strasz mnie, miły Olgierdzie. Wystarczy, że spędzasz z mą ukochaną małżonką miłe chwile w jej łóżnicy, więc pozbawienie mnie obrazów to już przesada — westchnął Trybel.

— Wydawało mi się, że wytłumaczyliśmy już sobie to nieszczęsne nieporozumienie towarzyskie i rozumiałeś, że to nie ja zmieniłem miejsce ich położenia.

— Zaczynam mieć ostatnio co do tego wątpliwości.

— Ach, to zapewne przez to, że zetknąłeś się z tym podłym oszczercą i dręczycielem niewinnych ludzi, detektywem Przypadkiem — zaszlochał Cierniewski.

— Tak, to prawda, on otworzył me oczęta.

— Ach, nie wierz mu, najdroższy Stefanie. Wiesz przecież, jak nam i naszym kolegom leży na sercu dobro obywateli, w tym głównie naszych najbliższych i nas samych, bo my też przecież jesteśmy obywatelami. Przenigdy byśmy cię nie skrzywdzili.

— Nie weź mi tego za złe, ale trudno mi uwierzyć w wasze słowa, albowiem wiem, jakimi jesteście... — No i tu autor napotkał już trudność nie do przejścia, bo nie sposób przetłumaczyć słów tak obelżywych i wulgarnych, jakie zostały użyte przez wiceburmistrza. Dlatego postanowił wrócić do normalnego języka, lekko go tylko wygładzając.

— Nie obrażaj uczciwych ludzi, Stefek, bo... — Głos uwiązał mu w gardle.

— Co się stało? — zapytał zdziwiony Trybel.

— Widzisz tego siwowłosego gościa z tą taką dziwnie wyglądającą dupą?

— No i co z tego?

— Nie wygląda ci trochę jak bezdomny?

— Olgierd, jesteśmy w pięciogwiazdkowym hotelu, tu nie wpuszczają bezdomnych. To znaczy bywają tu tacy, co formalnie nic nie mają, ale żaden z nich nie jest bezdomny. Skąd ci to przyszło do głowy?

— Ten twój Przypadek posługuje się bezdomnymi do śledzenia ludzi — powiedział burmistrz.

— Ten siwy to jakiś artysta. Siedzieli z tą dupą obok mnie przy kolacji, ona mu cały czas tylko wyrzucała, że niepotrzebnie kasę na niego wydaje i coraz mniej z niego ma. To pewnie jakaś jego sponsorka, ustawił się cwaniak. A ja chcę po prostu odzyskać obrazy i tyle.

— Nawet nie masz pojęcia, ile ryzykujesz. Ten Przypadek może sprowadzić na ciebie katastrofę.

— On może dla mnie odzyskać obrazy.

— Stary, przez te lata uzbierałeś pewnie prawie tyle, ile są warte te obrazy. Chcesz to wszystko stracić? — zapytał retorycznie Cierniewski.

— Grozisz mi?
— Dobrze ci radzę.
— To ja ci poradzę, żebyś mi nie radził, bo ja wiem wystarczająco dużo, żebyśmy wspólnie poszli na dno.

Trybel się odwrócił i poszedł w stronę hotelowego baru. Cierniewski odprowadził go wzrokiem i przy okazji zauważył, jak „dziwnie wyglądająca dupa” robi siwowłosemu kolejną awanturę, którą ten znosi ze stoickim spokojem. Może się rzeczywiście niepotrzebnie go bał? Artyści tak przecież wyglądają.

„Ale ten fiut, Trybel, może narobić dużo kłopotów. Jak ten Przypadek naprawdę zacznie grzebać, popsuje nam całą transakcję z obrazami. Przecież on się cały czas prowadzi z policjantami, nawet pod domem Elki z nimi był. Dobrze, że już nacisnąłem znajomych w Komendzie Głównej, żeby zabrali mu tych policyjnych przyjaciół. Bez nich nic nam nie udowodni, a Trybel może się burzyć, ile wlezie. Można jeszcze sprawdzić w prokuraturze, czy coś przy nim nie robią razem z CBA, byłoby głupio, jakby coś niechący podsłuchali. No i trzeba będzie z kolegami z partii porozmawiać, żeby go odstawić na boczny tor. No, wątrobo, czas iść robić politykę!” — zwrócił się na koniec do swojego wewnętrznego organu, który zawsze był mu pomocny w robieniu kariery.

Elżbieta Trybel stała przed ścianą obok łazienki ze śrubokrętem w jednym ręku i włącznikiem światła w drugim. W ścianie tej, mniej więcej na wysokości oczu, tkwił otwór wyglądający trochę jak miniaturowy labirynt, gdzie spomiędzy plastikowych przegródek wystawały co i raz metalowe blaszki. Świadczyły najlepiej o wielkim niebezpieczeństwie i ryzyku, jakie podjęta gospodyni. Być może dla wprawnego elektryka byłby to chleb powszedni, ale pani Elżbieta zmieniała włącznik po raz pierwszy w życiu.

Pierwszy etap poszedł jej bardzo łatwo. Odkręciła dwie śrubki i wyjęła stary włącznik. Ale ten nowy... Ten nowy był jakiś inny. To znaczy wiedziała to od razu, bo ten stary jej się nie podobał i postanowiła wymienić go na nowy. W tym celu zajrzała na swój ulubiony wideoblog o nazwie „Zamiast mężczyzny kup automatyczną kosiarkę” i znalazła tam odpowiednią instrukcję wykonaną przez autorkę. Ale niestety opis nie przewidywał faktu, że nowy włącznik będzie inny i zamiast dwóch śrubek, będzie miał trzy!

— To nie może być trudne — przekonywała siebie samą pani Elżbieta. — Przecież ten elektryk, co nam ostatnio naprawiał instalację, wyglądał na debila. Miał najwyżej zawodówkę, a ja mam dwa fakultety! Tylko jak to dopasować? — Usiłowała przymierzyć kontakt do dziury w ścianie. — No, z grubsza jest okej. Zrezygnuję z tej jednej śrubki i na dwóch pozostałych powinno się trzymać.

Gospodyni zaczęła wkręcać śrubki, najpierw jedną, potem drugą. Zgodnie z jej oczekiwaniami włącznik trzymał się ściany, choć nie przylegał do niej tak idealnie, jak by sobie tego życzyła. Uznała, że najwyżej poprawi to w przyszłości, a na razie postanowiła sprawdzić, jak jej dzieło sprawdza się w praktyce. W tym celu znów sięgnęła do porad z wideobloga „Zamiast mężczyzny kup automatyczną kosiarkę” i znalazła w swoim zestawie do majsterkowania długi, dobrze zaizolowany śrubokręt. Stała w odległości dwóch metrów od kontaktu i wyciągając się maksymalnie, końcówką śrubokręta nacisnęła włącznik.

Niestety, nie stała się światłość, co bardzo zdenerwowało Tryblową. Podeszła bliżej i już bez pośrednictwa narzędzia kilka razy ze złością naciskała włącznik. Nie dało to żadnych

efektów.

— No co jest?! Przecież wszystko zrobiłam na pewno dobrze! — Łupnęła pięścią we włącznik. Efekt był jednak tylko taki, że usłyszała dźwięk dzwonka do furtki. — Pewnie Stefan wcześniej wrócił — zamruczała, idąc do drzwi.

Kiedy wyszła na zewnątrz, zobaczyła mężczyznę, którego twarz coś jej wprawdzie mówiła, ale nie mogła sobie przypomnieć, kiedy go spotkała. Podeszła więc do furtki i spytała:

— Pan do kogo?

— Nie poznaje mnie pani? — zapytał nieznajomy z drwiną w głosie.

— Trochę jakby poznaję.

— No proszę, jak byłem niby-ubrany w strój hydraulika, to mnie potem pani podobno szybko rozpoznała.

— No tak, pan jest tym malarzem, co ukradł nam te obrazy!

— Niczego nie ukradłem — oburzył się Zimnica. — Za to wiem, że to pani zrobiła.

— Co pan mówi?! To są bzdurne pomówienia!

— Pani dobrze wie, że mam rację. Inaczej by pani nie wymyśliła tych głupot z hydraulikiem.

— Jeśli będzie pan powtarzał te bzdury, to podam pana do sądu!

— A ja tam bez problemu udowodnię, że mam rację.

— Tak?! To dlaczego pan nie poszedł na policję?! Albo do tego detektywa, który szuka tych obrazów?!

— Bo wtedy nic bym z tego nie miał. A tak mogę pani pomóc zarobić na tych obrazach.

Usłyszawszy słowo „zarobić”, Tryblowa zawahała się przed wypowiedzeniem inwektywy cisnącej się jej na usta. Na pieniądze nigdy się nie obrażała, tak została wychowana.

— Niby jak zarobić? — zapytała rzeczowo.

— Jeśli mnie pani wpuści, to możemy porozmawiać.

— Ja pana nie znam...

— Hydraulika z moją twarzą pani też nie znała, ale go wpuściła, tak? — zapytał kpiąco Zimnica.

— Hydraulika sama wzywałam, bo był mi potrzebny. A teraz to by mi się przydał elektryk. Umie pan zmienić włącznik światła?

— Nigdy tego nie robiłem.

— To nie jest mi pan potrzebny — stwierdziła zdecydowanym tonem Tryblowa.

— Jestem. Inaczej nic pani nie zarobi na tych obrazach, które pani ukradła.

— Powtarzam, nie ukradłam ich! Ma pan jakieś dowody?

— Choćby ten, że kłamała pani w sprawie mojej wizyty tutaj... Dobrze pani wie, że mnie tu nie było.

— Może się pomyliłam i tyle... Ale ktoś te obrazy ukradł i na pewno nie byłam to ja. Nie mam pojęcia, gdzie są.

— Ja mógłbym pani wskazać to miejsce. Pod warunkiem że podzielimy się zyskiem.

— Czyli to pan jednak ukradł?!

— Nie ukradłem. Ale... — Zimnica zawahał się na moment, bo nie wiedział, jak ubrać w słowa to, co ma do przekazania. — Ale mogę pokazać pani, gdzie one są.

— Nic nie rozumiem.

- Wyjaśnię to pani, jak mnie pani wpuści. Nie chcę tłumaczyć tego na ulicy.
- Przecież tu nikogo nie ma. — Trybel wzruszyła ramionami, rozglądając się uważnie. — Chociaż... Momencik, czym pan pachnie? — Pociągnęła nosem.
- Pewnie farbami... Albo terpentyną...
- Nie, to całkiem inny zapach. Pewnie przywłókł pan za sobą jakiegoś bezdomnego od Przypadka.
- Nie zauważyłem... Ale tym bardziej powinna mnie pani wpuścić.
- Nie ma mowy. Ja nic nie ukradłam i muszę wymienić włącznik. I powiem mężowi, że to pan ukradł, bo wie, gdzie są obrazy!

Olgierd Cierniewski był bardzo zadowolony z weekendu spędzonego na konferencji samorządowców. Udało mu się wyprostować parę rzeczy i posada wiceministra znów zrobiła się jakby bardziej aktualna. Nie wiedział tylko, czy bardziej powinien się zająć sportem, czy pójść w stronę finansów. Ten pierwszy znał bardziej od strony coraz bardziej modnego joggingu i nie pasjonował go on za bardzo. Ale lubił podróżować i koledzy mówili, że to najlepsza fucha dla tego stylu życia. Z kolei na finansach znał się jednak lepiej, miał nawet ukończone ekonomiczne studia i ponadto sprawnie zarządzał coraz większą dziurą w budżecie swojej dzielnicy. Stamtąd jednak podobno było łatwiej wylecieć. Bo to, co da się ukryć w miejskich rozliczeniach, łatwiej może wyjść na jaw w tych ogólnokrajowych.

Nie zdążył jednak porządnie się namyślić, który kierunek rozwoju kariery powinien wybrać, gdy zadzwonił do niego Bruzda, prosząc o pilne spotkanie. Kiedy jednak Cierniewski dotarł do galerii zaprzyjaźnionego marszanda, zobaczył na jej drzwiach napis: „Zamknięte. Zmiana ekspozycji”. Burmistrz nie bywał tu często, ale zawsze wchodził po prostu głównym wejściem i nie miał pojęcia, czy istnieje jakieś inne. Wyciągnął więc z kieszeni komórkę i zadzwonił do Bruzdy.

— No stary, co jest? ... Aha, hinduska knajpa po drugiej stronie. ... Spokojnie, nikt za mną nie szedł.

Po chwili burmistrz siedział już przy stoliku z marszandem. Ten jednak zamiast na niego, patrzył na szybę i ulicę poza nią.

— Czekasz na jeszcze kogoś? — zapytał Cierniewski.

— Nie, patrzę, czy rzeczywiście nie masz ogona. Wiesz, ten Przypadek...

— Wiem, wiem. Ale żaden bezdomny nie wszedłby za mną do takiej eleganckiej knajpy, a z ulicy nie są groźni, bo przez szybę nic nie usłyszą — powiedział burmistrz, zapominając, że niektórzy bezdomni są również niesłyszący i potrafią świetnie czytać z ust.

— Czyli wiedziałeś, że Przypadek weszły w sprawie tych obrazów?

— Coś mi się obito o uszy — odpowiedział burmistrz wymijająco.

— To trzeba było mnie jak najszybciej powiadomić.

— Po co? Przecież i tak nic nie wywiesz. A policję nie musisz się martwić, załatwiłem, żeby mu nie pomagali i nie wtrącali się do tej sprawy. Bez niego Trybel nie da rady nam zagrozić. I sprawdziłem, że prokuratura i CBA też się nie kręcą wokół niego. Tak że luzik. — Cierniewski próbował uspokoić Bruzdę, choć sam czuł się wciąż zaniepokojony udziałem detektywa w sprawie.

— Tak uważasz? To ja ci powiem, że dopóki on nie przestanie węszyć, to ja nie sprzedam obrazów Zimnicy mojemu inwestorowi.

— No ale to wtedy cała transakcja upadnie.

— To upadnie. Mój inwestor uważa, że lepiej by było, gdyby się sprawą zajmowało CBA i prokuratura niż pan Przypadek.

Burmistrz przez chwilę przyglądał się ze zdziwieniem marszandowi, jakby upewniając się, czy tamten nie żartuje. Ale poważna mina pośrednika w obrocie dziełami sztuki świadczyła najlepiej o tym, że nic takiego nie ma miejsca.

— Bolek, nie panikujesz za bardzo?

— To nie ja. To inwestor powiedział mi, że dopóki ten detektyw będzie zamieszany w tę sprawę, to nici ze wszystkiego. Nie ma zamiaru ryzykować.

— Ale to biznes, na którym może zarobić pięćdziesiąt milionów.

— Albo pójść do pułta. Ten Przypadek cieszy się widać już międzynarodową sławą. To pewnie dzięki tej sprawie Klempucha. Jak tylko powiedziałem to inwestorowi...

— To po cholere! mu to mówiałeś?

— Nie mogłem go oszukiwać. Gdybym go wsadził na minę, to nie dość, że sam bym poszedł do pułta, to jeszcze straciłbym innych inwestorów. Ja wiem, że to dla ciebie ważna rzecz, ale ja pośredniczę w bardzo wielu transakcjach i nie mam ochoty niepotrzebnie ryzykować, żebyś ty mógł zarobić — wyjaśnił spokojnie Bruzda.

— Tylko że to od początku nie była bezpieczna transakcja.

— Była, dopóki nie wmieszał się w to Przypadek.

— Czyli co, nie zarobimy na tych obrazach Zimnicy?

— Dopóki on jest w to zamieszany, nie. I nie truj mi już o tym więcej, bo na razie nie ma o czym gadać.

— Bolek, ty chyba zapominasz, ile mi zawdzięczasz. — Burmistrz płynnie przeszedł z prośby do groźby.

— Olek, ty chyba zapominasz, że ja robię interesy z większymi od ciebie i gdyby oni usłyszeli, że przez twoją głupotę mogą nie zarobić swoich pieniędzy, to wkrótce nawet sobie samemu nie będziesz mógł pomóc.

Cierniewski spojrzał z niedowierzaniem na Bruzdę. Wyglądało na to, że tamten mówi serio, chociaż to, co powiedział, zakrawało na okrutny żart. A przecież to miał być interes życia! Przeklęty Trybel i te jego obrazy! Przeklęta Elka. Po co dawał się jej na to wszystko namówić?! Tyle było kobiet, które chciały zostać kochankami pana burmistrza, a on się zdecydował na tę idiotkę. A ostrzegali go koledzy, że jak sprawa z nią się wysypie, to się wiele rzeczy może rypnąć.

— Ale... Ja już mam konkretne plany i zobowiązania co do tych pieniędzy! Chciałem zainwestować w takie jezioro na Mazurach, kilka hektarów, kolega jest tam burmistrzem, sprzedałby mi za półdarmo, rozmawiałem z nim w ostatni weekend.

— Nic ci na to nie poradzę.

— Ale może powiedziałbyś temu inwestorowi, że moglibyśmy wybudować tam takie osiedle nad samą wodą i wszystko ogrodzić, zrobić strzeżone... — opowiadał płacziwie.

— Olgierd, ty w ogóle nie słuchasz, co ja do ciebie mówię. Dopóki Przypadek jest w prawie, wszystkie inwestycje są zawieszono.

Cierniewski, jak prawie każdy polityk, był dziwną mieszanką tchórzostwa i fanfaronady w stylu Papkina. Na przemian raz mu się wydawało, że jego kariera może lec w gruzach, by po jakimś czasie ulec złudzeniom, że może do stóp rzucić cały świat. W tej chwili wyglądał naprawdę żałośnie. Wprawdzie sam przecież przestraszył się w pierwszej chwili wmieszania w sprawę słynnego detektywa, ale potem wydawało mu się, że dzięki swoim kontaktom

odzyskał już kontrolę nad sprawą i już gotów był się niemal puszyć sukcesem. A tu taka niespodzianka.

— To co mam zrobić?!

— Przede wszystkim nie histeryzować. Na początek musisz przestać pukać żonę Trybla, bo to debil, który dla zasady wszystko rozwali, żebyś tylko ty też zapłacił za te rogi, co mu przypawiłeś. Ja na razie, jak widziałeś, zamknąłem galerię i robię tam zmianę ekspozycji. Zastanawiam się też, czy by na jakiś czas nie wyjechać za granicę, najlepiej w miejsce, które nie ma z Polską umowy o ekstradycji.

— Czyli... tak naprawdę nic nie możemy zrobić?

— Musimy poczekać, aż się okaże, co wymyśli ten diabeł.

Saganek rozejrzał się lekko speszony po przedpokoj w mieszkaniu Przypadka. Bywał w nim raczej rzadko. W przeciwieństwie do pewnego siebie Siwowłosego nie czuł się tu na miejscu. Nie miał w sobie też dziecięcej naiwności Koziółka, która pozwalała nie zauważać wielu kłopotliwych faktów. Jak choćby takiego, że zaraz po wejściu uderzał w nozdrza nieprzyjemny zapach czystości spod znaku detergentów. I choć przecież Saganek był po prostu umówiony z gospodarzem, to czuł się na Koneckiej 40 pod dwunastką bardzo niezręcznie. A dzisiaj był jeszcze dodatkowy powód, który sprawiał, że podłoga parzyła go przez buty w stopy i ciągle podnosił to jedną, to drugą nogę. I nie trzeba było być nawet tak bystrym obserwatorem jak Przypadek, żeby to zauważyć.

— Coś się stało, Saganek?

— No, w zasadzie... to przy mistrzu kręci się zawsze jakiś policjant.

— Ale chyba nie uważasz, że mieszka razem ze mną?

— No nie. Ale nie wiem, czy go nie ma na schodach. Albo gdzieś na dole. Wprawdzie nie zauważyłem...

— Nie zauważyłeś, bo go nie ma. Pan komisarz Łoś i starszy aspirant Smańko dostali chwilowo zakaz osobistych kontaktów z moją skromną osobą.

— No to całe szczęście. — Saganek odetchnął z ulgą.

— Czyżbyś nagle stał się właścicielem rzeczy, która nie należy do ciebie?

— Ona w zasadzie nie należy do nikogo. Ktoś ją wyrzucił po prostu! Wie szef, jak to jest. Leży, to szkoda, żeby się zmarnowała. No to się bierze i puszcza w dalszy obieg gospodarczy. To przecież niż złego. Zmarnować by się to miało? Tylko policja się czasem czepia.

— Zawsze uważałem, że jesteście esencją kapitalizmu, Saganek.

— Znaczy kto?

— Ty i reszta bezdomnych.

— Znaczy jak? — Nadal nie rozumiał właściciel ogromnego nosa, przekonany, że on i jego znajomi są absolutnymi ofiarami kapitalizmu.

— Znaczy tak, że bardzo mi się przydały informacje od ciebie i Siwowłosego. I nic więcej nie chcę wiedzieć, bo jakby mnie przesłuchiwali, musiałbym kłamać. — Jacek sięgnął po portfel i wyjął z niego stużłotowy banknot. — To na razie wszystko, odezwę się, jak będę was potrzebował.

— Ale... to już koniec śledztwa jest, mistrzu? — zapytał nieco rozczarowany bezdomny.

— Tak.

— To kto w końcu te obrazy podiwanił?

— Taka wiedza kosztuje. Jak oddasz mi te sto złotych, to mogę ci odpowiedzieć.

— E, nie, aż taki ciekaw to ja nie jestem. — Wykluczony mieszkaniowo na wszelki wypadek schował banknot głęboko. — Zresztą pewnie niedługo napiszą w jakiejś gazecie.

— Nawet w bardzo wielu gazetach.

— To sobie poczytam, jak jakaś łachudra wyrzuci swój egzemplarz. Szanowanie, mistrzu.

Saganek wyszedł, Jacek zamknął za nim drzwi i wrócił do swojego gabinetu. Na umocowanej na biurku szklanej kuli jasnovidza tkwił melonik w stylu Herculesa Poirota. Jacek go zdjął i nałożył na głowę. Odwrócił swój fotel w kierunku okna i zarzucił nogi na parapet. I czekał. Prawie dziesięć minut, choć zakładał, że nie będzie to dłużej niż pięć. Ale w końcu to była przecież Malwina. Jedna z nielicznych osób, jeśli nie jedyna, która potrafiła go czasem zaskoczyć i wobec której nie śmiał już używać swojego ulubionego stwierdzenia: ludzie są banalnie przewidywalni.

— Naprawdę już wiesz, kto ukradł te obrazy? — zapytała, stając w drzwiach.

— Powiedzmy, że się domyślam. Muszę sprawdzić jeszcze tylko jedną rzecz i przedstawienie czas zacząć.

— Ale wierzysz, że ktoś to jeszcze opublikuje? Na początku, jak byłeś mało znany i nikt nie wiedział, komu zagrażasz, to było proste. Byłam ja, była Ania, miałeś łatwo. Potem jeszcze radziłeś sobie, a to tym swoim kanałem internetowym, a to innymi sztuczkami. Ale teraz wszyscy cię znają i są już naprawdę wyjątkowo ostrożni. Każdy dziennikarz w tym mieście dostaje gęsiej skórki na dźwięk twojego nazwiska.

— Mam przecucie, że po tej sprawie mogą zamierać w bezruchu, jakby ich pocałowała Królowa Śniegu.

— To kto ukradł te obrazy? Premier?

— Nie. Ale myślę, że się zmartwi moim odkryciem.

— Dlaczego?

— Bo nawet premierzy są banalnie przewidywalni.

— Droczyś się ze mną — powiedziała lekko rozbawiona Malwina. — Ale okej, jak chcesz, mogę ci zapłacić tę stówę.

— Sto złotych to była stawka dla bezdomnego. Ty musiałabyś zgodzić się zamieszkać ze mną na stałe i zostać moją współpracowniczką.

— Dobrze wiesz, że się na to nie zgodzę. Zresztą już chyba znalazłam mieszkanie. Może je nawet kupię.

— Trudno, próbowałam. — Jacek rozłożył ręce zmartwiony. — Zatem będziesz musiała poczekać, aż napiszą o tej sprawie w gazecie. No chyba że pan Klempuch postanowi ją jakoś wyciszyć.

— Już przestań z tym Klempuchem. — Zdenerwowana wzruszyła ramionami. — Ta twoja obsesja jest męcząca.

— Czyżby nie dotarły do ciebie plotki, że gdy rozwiązałam ostatnią sprawę, nagle ze ścian wypłynął jego głos mówiący: „I tak cię dorwę, gnoju”? — Jacek przybrał najbardziej ironiczno-dobrotliwo-pobłaźliwy wyraz twarzy z dostępnych obecnie na rynku.

— Owszem, dotarło. Ale ja nie wierzę w plotki na twój temat.

— Mogę potwierdzić, sam to słyszałem.

— Z tobą już nie da się normalnie rozmawiać. Nie mogę się doczekać chwili, w której się stąd wyprowadzę. — Odwróciła się i wyszła.

— Szkoda — mruknął pod nosem Jacek. — Naprawdę szkoda.

Stefan Trybel nigdy nie miał zbyt wielu wątpliwości co do uczciwości swoich kolegów polityków. Sam był w końcu jednym z nich. Wiedział, że nie ma litości dla tych, którzy popełniają błędy albo co gorsza, dadzą się złapać na gorącym uczynku. Rozumiał doskonale, że najgorszy wróg to nie przeciwnik, ale kolega z tej samej partyjnej listy. To było jasne i kto tego nie pojmował, nie powinien w ogóle zajmować się polityką. Miał jednak pewną nadzieję, że obowiązuje wśród nich jakikolwiek złodziejski kodeks honorowy, który nie pozwala okradać się nawzajem.

— Czyli mówi pan, że to na pewno Cierniewski? — zapytał Przypadka rozglądającego się ciekawie po jego domu.

Detektyw był tu po raz pierwszy, bo umowę podpisali, spotykając się w tajemnicy w jednej z mniej uczęszczanych knajp.

— Tak, z całą pewnością jest zamieszany w tę sprawę.

— Czyli co, to cała szajka?!

— Bardzo możliwe. — Jacek pokiwał głową.

— Wynajęli jakichś zawodowych złodziei?

— Też tak można określić.

— Strasznie pan jest enigmatyczny — zdenerwował się Trybel. — To jak oni to w końcu zrobili?

— Tego nie jestem pewien. Ale mam już pewien pomysł, jak to sprawdzić.

— A jak się nie uda?

— Pan nie odzyska obrazów, a ja nie zarobię pieniędzy — odpowiedział z uśmiechem detektyw, przyglądający się uważnie schowkowi, gdzie były ukryte obrazy.

Oprócz kilku szczotek i środków czystości był on w tej chwili pełen rozmaitych gadżetów do majsterkowania, od wiertarek różnej wielkości, przez młotki w kilkunastu rozmiarach, siedem rodzajów pił ręcznych, kilkadziesiąt śrubokrętów, po automatyczną kosiarkę do trawy i tym podobne gadżety, niezbędne każdemu fanowi robótek domowych. Na przechowywanie czego innego, w tym cennych dzieł sztuki, trudno tu było znaleźć miejsce, choć na siłę dałoby się je tu upchnąć.

— Łatwo panu powiedzieć. Pan sobie dla zdrowia pojeździ trochę na rowerze i tyle. A mnie przepadnie fortuna.

— Jak to mówią: łatwo przyszło, łatwo poszło.

— Jak łatwo?! — oburzył się wiceburmistrz.

— Piętnaście tysięcy to nie jest przesadnie duża kwota za piętnaście dzieł sztuki, które są warte teraz jakieś trzy miliony.

— Ale nie po to inwestowałem te pieniądze, żeby teraz nic z tego nie mieć.

— Nie wątpię.

— Co pan się tak przygląda temu schowkowi? — burknął Trybel.

— Pan majsterkuje?

— Nie, Elka zaczęła oglądać jakieś wideoblogi poradnikowe dla kobiet, więc jej kupiłem narzędzia w prezencie na urodziny w czerwcu. Coś pan tam jeszcze zauważył?

— Tylko tyle, że każdy, kto wejdzie do domu, może po prostu otworzyć drzwiczki do niego — stwierdził Przypadek.

— I co z tego?

— Jeśli traktował pan ten zakup jako inwestycję...

— Mówiłem panu, nie jestem koneserem sztuki, nie chciałem tego wieszać na ścianach.

— W pełni pana rozumiem, w życiu bym tego nie powiesił na własnej ścianie.

— No sam pan widzi...

— Ale jeśli traktowałbym to jako inwestycję, tobym taką rzecz dobrze zabezpieczył. A pan mówi, że te obrazy już od dwóch lat leżały w tym schowku.

Trybel spojrzął zły na Przypadka. Tak, nie miał wątpliwości, że detektyw jest mistrzem irytowania ważnych ludzi na stanowiskach. No ale żeby wkurzać klienta, który może zapłacić mu pół miliona za usługi?!

— Po prostu nie myślałem, że to może być aż tak dobra inwestycja — powiedział powoli po namyśle. — A poza tym ten dom jest strzeżony, więc przypuszczałem, że obrazy są bezpieczne.

— Jak widać, mylił się pan i dla złodzieja jedynym problemem było dostanie się do środka. Tak się zastanawiam, jak to zrobił.

— No jeśli to ten Cierniewski, to go wpuściła Elka — przyznał niechętnie Trybel.

— Wpuścić go mogła, ale wynosząc te obrazy frontem, nadziałyby się na kamerę. A sam pan mi mówił przy podpisywaniu umowy, że monitoring uprawdzie zarejestrował jeden pobyt Cierniewskiego w tym czasie, ale z całą pewnością on niczego nie wynosił. Tak jak zresztą nikt.

— To prawda — przyznał niechętnie. — Ale jeśli to on, to Elka mogła wynieść te obrazy, kilka razy wychodziła przecież z domu z różnymi pakunkami.

— Podejrzewam, że pan Cierniewski nie wtajemniczył w sprawę pana żony i miał zupełnie innych współników. A obrazy musiały zniknąć inaczej.

— Ale jak?

— Macie państwo poddasze. Czy tam jest jakiś strych, czy tylko pokój?

— Nie, to zwykły strych. Nie używamy go, bo jest fatalnie zaprojektowany i bardzo niewygodnie się na niego wchodzi. Przyznam panu zresztą, że cały ten dom nie jest najwygodniejszy. Miałem zamiar go sprzedać i kupić jakieś większe mieszkanie w Tęczowym Raju, pan wie, to taka ogromna prestiżowa inwestycja na skraju mojej dzielnicy...

— Tak, wiem, znajomi też chcą tam kupić mieszkanie.

— I dobrze robią, niedługo to będzie najmodniejszy adres. — Wypiął dumnie pierś. — Sam brałem udział w poszukiwaniu inwestora...

— Gratuluję, a teraz chętnie zobaczyłbym ten strych.

— Straszny tam pewnie bałagan, nie używamy go od dawna i nie sprzątamy.

— Nie przeszkadza mi to. Chcę tylko sprawdzić, czy złodziej mógł tamtędy wynieść obrazy i przekazać współnikom.

— Proszę, niech pan idzie. — Trybel wzruszył ramionami. Wyjrzał na chwilę przez okno, czy jego żona nie wraca aby z ustawień hellingerowskich, bo detektyw prosił go o dyskrecję i wizytę w tajemnicy przed nią. Nikogo jednak nie zauważył, bo żona po zajęciach na szczęście jeszcze spotykała się na ploteczki ze znajomymi. — No i co, zobaczył pan coś? — zapytał, gdy detektyw wrócił.

— Tak. I wiem już, jak mogę odzyskać pana obrazy.

Panie Zygryda i Teodora milczały jak zakłète, obrzucając się nienawistnymi spojrzeniami. Po ostatnim starciu, kiedy musiały przeleżeć dwie godziny na plecach, aż podniósł je odwiedzający regularnie mieszkanie pani Bamber Przypadek, ich wzajemna wrogość tylko wzrosła. Przed chwilą z ich mieszkania wyszedł detektyw, udający się na miejsce rozwikłania

zagadki. Jak to on — nie chciał im zdradzać zbyt wiele. To znaczy może gdyby ze sobą rozmawiały, to mogłyby się domyślić, kto i po co ukradł obrazy. Ale w obecnym stanie ich stosunków nie było to absolutnie możliwe. Dlatego pozostawało im tylko nieustanne błądzenie wśród własnych myśli.

„Nie ma co z nią gadać, pewnie i tak się gówniara niczego nie domyśla — uważała Zygryda. — Prędeż ja coś sama wydedukuję, niż mi rozmowa z nią pomoże”.

„Wystarczy spojrzeć na twarz tej staruchy, żeby wiedzieć, że jest ciemna jak tabaka w rogu — pomyślała pogardliwie o starszej o dwa lata siostrze pani Teodora. — Pewnie niewiele zrozumiała z tego, co mówił Jacek. Na pewno. Próbuje teraz wyraźnie wyczytać z mojej twarzy, kto ukradł te obrazy”.

„Co ona się tak na mnie gapi? Ano tak, szkolili ją w technikach czytania z myśli. Tak, to na pewno o to chodzi. Muszę się odwrócić, bo jeszcze się czegoś domyśli. Chociaż z drugiej strony gówniara jedna pewnie by i tak wyśmiała to, co bym powiedziała. Według niej to jakiś amator. A ja myślę, że zawodowiec”.

„Odwróciła się — stwierdziła zaniepokojona Teodora. — Coś mi już może ukradła z głowy? Nie, to niemożliwe. Zresztą jeśli nawet to zrobiła, to nie na wiele jej się to przyda. Według niej to na pewno zawodowiec. A tu na kilometr pachnie jedną wielką amatorką”.

Zygryda wstała i demonstracyjnie odwróciła w drugą stronę fotel, na którym siedziała.

„No dobrze, skoro już nie widzi mojej twarzy, mogę spokojnie się zastanowić. Chociaż z papieroskiem i kawusią to by było trochę łatwiejsze... No ale nic, chwilowo nie ma szans na jedno i drugie naraz. Więc trzeba sobie radzić. Czyli co mówił Jacek? Że w to wszystko jest zaangażowanych siedmiu mało wspaniałych? Ale to ten Bruzda jest mózgiem tej operacji? Tak, chyba tak mówił. No jasne, że Bruzda. Wynajął jakiegoś zawodowego złodzieja do ukradzenia tych obrazów...”

„Na pewno głupia, stara wariatka podejrzewa, że ten marszand wynajął jakiegoś zawodowego złodzieja do kradzieży. Ale po co takiego wynajmować, jak obrazy są w schowku pod schodami. Tak, coś czuję, że za tym się kryje ta Tryblowa. Pewnie już miała dość tych gratów. No i poszła do Bruzdy z propozycją, żeby je odkupił. Pomyślała, że warto, skoro ten Zimnica chciał je odkupić po dwa tysiące. Uznała, że może marszand będzie chciał dać po trójce i jakoś to im się opłaci. A cwaniak Bruzda pewnie wyczuł, że się robi koniunktura na Zimnicę i można się nieźle na nim obłowić”.

„Na pewno gówniara podejrzewa Tryblową — prychnęła w myślach Zygryda. — Niby jakim cudem ta idiotka miała się domyślić, że coś można na nich zarobić? Przecież mąż jej raczej nie mówił o tej propozycji Zimnicy. No chyba że mówił. Jacus nic o tym nie gadał. Ale nie, facet nie konsultował decyzji finansowych z żoną, bo wiedział, że to nawiedzona idiotka. Więc nie mówił. Zatem nie miała skąd wiedzieć, że te obrazy mogą być cokolwiek warte. Dla niej to były żółte plamki na płótnie. Bo przecież to faktycznie były żółte plamki na płótnie. Tyle tylko, że Bruzda wiedział, że są coraz bardziej cenne. A przez Cierniewskiego wiedział też pewnie, jak słabo Trybel zabezpiecza swoje obrazy. Pewnie ci pozostali mieli je dużo lepiej schowane i kradzież u nich byłaby ryzykiem. A Bruzda to cwaniak, na pewno zna odpowiednich ludzi do zlecenia takiej kradzieży... O rany, co ona tu robi?”

— To był amator — wycedziła Teodora, stojąc obecnie naprzeciw swojej siostry.

— O, raczyłaś się wreszcie do mnie odezwać.

— To był amator.

— Zawodowiec — zaprzeczyła Zygfyda. — I nawet dokładnie wiem, który i kto go wynajął...

— Tak? No kto?

— Nic ci nie powiem.

— Nie powiesz, bo wiesz równie dobrze jak ja, że to amator. Już tę sprawę rozwikłałam.

— Akurat. Niedoczekanie twoje! I nie gap się tak na mnie, nic nie wyczytasz w moich myślach!

— Jakbym chciała zgłupieć, to może traciłabym czas na zagłądanie ci do tej twojej pustej łepetyny. Wiem swoje i już — stwierdziła stanowczo Teodora, ale po chwili dopadły ją wątpliwości.

„A jak to jednak zawodowiec? Tych dwóch cwaniaków, co to wędrują z konferencji na konferencję po całym świecie, mogło takiego wynająć. Może uznali, że czas się wyprowadzić do jakichś ciepłych krajów, gdzie mogą wziąć ślub? Te ukradzione obrazy mogli sprzedać jako swoje, nikt pewnie nie odróżni, gdzie te żółte plamki, na którym są. A swoje prawdziwe obrazy zachować jako lokatę kapitału. Chociaż nie, to chyba bez sensu...”

„A jeśli ta gówniara ma rację i to jednak amator? Ten Zimnica mi się nie podoba. No dobra, nie był tym hydraulikiem wezwanym przez Tryblową. Ale może jakoś wcześniej ukradł te obrazy. Dostał cynk od Bruzdy, że cena jego obrazów idzie w górę, próbował je odkupić od Trybla i pozostałych. Nie udało się, to postanowił je ukraść. Zbadał sprawę i odkrył, że najłatwiej będzie u Trybla. Jak to artysta, mógł mieć jakieś szemrane kontakty, które mu w tym pomogły... Nie, to chyba głupie. Szlag by to trafił! Jakbyśmy z Dorką mogły razem zająrać, to od razu wszystko by się wyjaśniło”

„Jakby ta Zyzia nie była taka uparta, raz, dwa byśmy to rozwikłały. Ale nie, ona na pewno nie będzie chciała zgody...”

Niepostrzeżenie dla siebie obie zbliżyły się do drzwi pleksiglasowej celi. Popatrzyły głęboko w swoje oczy, tak jak rewolwerowcy chwilę przed wyciągnięciem swoich koltów. Nie dostrzegły jednak u tej drugiej strony nawet śladu ochoty na pogodzenie się.

Dlatego sięgnęły błyskawicznie do kieszeni i wyjęły stamtąd swoje paczki papierosów.

Stefan Trybel uśmiechał się tryumfująco od samego rana. Przypadek obiecał mu wyraźnie, że nie dość, że odzyska obrazy, to jeszcze uda się pograżyć kochanka żony. Wprowadzie detektyw nie powiedział wprost, że to Cierniewski ukradł dzieła sztuki autorstwa Zimnicy, ale przecież gdyby nie był w tę sprawę poważnie zamieszany, to za co niby miałby odpowiadać. Tak, pozbędzie się Olka i ze swojego życia, i z drogi do awansów. Na pocieszenie może mu oddać Elkę, w sumie dobrze do siebie pasują.

— A co ty taki zadowolony jesteś? — zauważyła lekko zaniepokojona Tryblowa.

— Bo dziś się zakończy ta sprawa z obrazami.

— Przypadek je znalazł? — Pani wiceburmistrzowa zeszytniała przerażona.

— Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie — odpowiedział jej enigmatycznie, bo i tak więcej sam nie wiedział. Od dalszych pytań uchronił go dzwonek do drzwi. — Ja otworzę!

Tryblowa normalnie nie miałaby nic przeciwko temu, żeby mąż ją wyręczył, ale tym razem poczuła się zaniepokojona. Dlatego bez słowa ruszyła do drzwi. Ponieważ wiceburmistrz zawsze był zwolennikiem równouprawnienia i nie należał do dżentelmenów, nie zamierzał jej przepuszczać. Z tego powodu dopadli słuchawki domofonu niemal równocześnie i wrywając ją sobie z ręk, krzyknęli, również równocześnie:

— Kto tam?!

— Olek i Bolek — odpowiedział im głos po drugiej stronie.

— Właźcie! — krzyknął już tym razem sam wiceburmistrz, gdyż jego żona miała raczej ochotę powiedzieć coś wprost przeciwnego.

Bo o ile po enigmatycznych wypowiedziach męża była zaniepokojona, to teraz była już wprost przerażona i najchętniej krzyknęłaby do kochanka, żeby uciekał gdzie pieprz rośnie. Trybel jednak nacisnął błyskawicznie guzik domofonu i odłożył słuchawkę. A gdy otwierał drzwi wejściowe, ze zdziwieniem zauważył, że jego żony nie ma obok. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo w progu stanęli Cierniewski z Bruzdą.

Następne kilka minut ich rozmowy zarówno treściowo, jak i leksykalnie bardzo przypominało spotkanie obu samorządowców na konferencji, przytoczone wcześniej. Żeby więc nie zabierać sobie i Czytelnikom czasu na tłumaczenie z knajackiego na polski, autor pominię ten fragment historii i przejdzie do momentu, gdy po niecałym kwadransie w willi Trybla znalazł się detektyw Przypadek. Jego widok, rzecz jasna, niemile zaskoczył gości.

— A co ten złamas tutaj robi?! — zapytał Cierniewski.

— Pomagam gospodarzowi odzyskać jego obrazy.

— To powodzenia — zakpił nerwowo Bruzda i rzucił do Cierniewskiego: — Chodź, Olek, spadamy. Nic tu po nas.

— Ominie panów piękne przedstawienie.

— Na przedstawienia to my chodzimy do teatrów. — Burmistrz uniósł dumnie głowę i chciał coś jeszcze dodać, ale ponownie odezwał się dzwonek. Spojrzał więc z dezaprobatą na Trybla i zapytał go: — Kogo jeszcze zaprosiłeś?

— Nikogo — odpowiedział zamiast gospodarza detektyw. — Tym razem to ja. Zaraz zawita do nas pan Zimnica z jednym ze swoich obrazów z serii żółtej.

Samorządowcy i marszand wymienili się tak niemądrymi spojrzeniami, że autor nie znajduje słów dla ich opisu. W każdym razie ich szczęki znalazły się przy okazji na podłodze i w zasadzie nie było co z nich zbierać.

Po chwili w salonie mieszkania Trybla stał Patryk Zimnica, trzymający swój obraz zapakowany w szary papier. Zresztą słowo „stał” nie jest tu zbyt precyzyjne, bo gdy tylko zobaczył, że oprócz gospodarza i detektywa jest tam również jego marszand, zrobił w tył zwrot i chciał wyjść. Przypadek nie musiał jednak interweniować, bo zarówno Trybel, jak i Bruzda chwycili artystę malarza jak przestępcę przyłapanego na gorącym uczynku.

— O co tu chodzi?! Proszę mnie puścić! — Zimnica się wyrwał.

— Zrobimy to po wyjaśnieniu sprawy i zwróceniu obrazów właścicielowi — odpowiedział mu Przypadek.

— Ja ich nie mam, dobrze to pan wie!

— Nie ma pan?! A to co to jest?! — Trybel wyrwał Zimnicy obraz i zerwał z niego papier. Ukazało się płótno całe upstrzone żółtymi plamkami i maźnięciami.

— To nie jest pana obraz, tylko zupełnie inny — zapewnił malarz. — Namalowany niedawno.

— Jak to niedawno?! — zdenerwował się Bruzda. — Przecież podobno nie masz weny, a wszystkie obrazy z okresu żółtego sprzedałeś mnie?! Na pewno go ukradłeś panu Tryblowi! Ty gnoju, kończę naszą współpracę!

— To ja ją kończę! — odgryzł się Zimnica. — Nawet nie umiesz poznać mojego płótna. To, które sprzedałeś temu debilowi — pokazał na gospodarza — nie miało tych dwóch żółtych

plamek w lewym górnym rogu. Zrobiłem je specjalnie po to, żeby w razie czego poznać tę kopię, gdyby te prawdziwe obrazy gdzieś się odnalazły w zagranicznej kolekcji.

— W jakiej zagranicznej kolekcji?! — Bruzda otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. — O czym ty mówisz!?

— Przecież to jasne, że te obrazy ukradł ktoś na zlecenie zagranicznego konesera sztuki — prychnął Zimnica.

— Trochę pana poniosła wyobraźnia — powiedział Przypadek. — Ale już chyba czas, żebym wyjaśnił sprawę kradzieży, bo mamy na miejscu prawie komplet bohaterów tego dramatu. I nie mam na myśli pana żony, która z kuchni świetnie nas słyszy, ale innych, którzy stworzyli tę małą wspianiałą siódemkę.

— Jaką siódemkę? I kogo tu brak? — zdziwił się Trybel. — No i gdzie są moje obrazy?! Mówił pan, że je dziś odzyskam, a pan to załatwi.

— Wszystko po kolei, panie Stefanie. Jeśli chodzi o tę małą wspianiałą siódemkę, która jest zamieszana w tę sprawę, to tworzą ją obecni tu czterej panowie, dwóch nieobecnych samorządowców, objeżdżających w pocie czoła światowe konferencje, mające udoskonalić miasta, oraz jedna osoba, której chwilowo nie ujawnię. Skoro to pan już wie, zacznijmy od końca. Pan Zimnica mówi prawdę, że przyszedł tu z kopią swojego obrazu. Kiedy dowiedział się o kradzieży, wpadł na pomysł, że namaluje wszystkie kopie skradzionych panu obrazów i zaproponuje panu sprzedaż, dzieląc się zyskami pół na pół. Ale zanim zdążył wprowadzić swój plan w życie, pan wiceburmistrz wynajął mnie. Sprawa zaczęła się komplikować. Potem próbował zrobić to jeszcze z pana żoną, którą podejrzewał o nieczyste sumienie, skoro oskarżyła go o bycie hydraulikiem. Ale ta była pomna ostrzeżeń swojego kochanka, żeby w żaden sposób nie mieszać się w tę sprawę.

— Elka, możesz mi to wyjaśnić?! — Trybel, krzycząc w stronę kuchni, zmierzył wściekłym wzrokiem Cierniewskiego.

— Nieporozumienia małżeńskie wyjaśnicie sobie państwo później. Wróćmy do obrazów, które zniknęły ze schowka pod schodami. Pan Zimnica chciał sprzedać ich kopie na spółkę z panem Tryblem...

— A skąd pan wiedział, że mam te kopie?!

— Pan jest tak oderwany od rzeczywistości, że nie byłby w stanie zaplanować żadnej kradzieży. A skoro oferował pan te obrazy pani Tryblowej, to znaczy, że postanowił namalować ich kopie. Do tego już nie potrzebował kontaktu z kosmosem, bo ten nawiązał pan, malując oryginały. Nie chciał pan korzystać z pana Bruzdy, bo on mógłby rozpoznać te płótna. A poza tym bał się pan, że nawet jak nie rozpozna, to nie będzie chciał sprzedawać ich jeszcze raz, nawet gdyby pan powiedział, że to kopie. Dlatego ucieszył się pan, kiedy zadzwoniłem i powiedziałem, że pan Trybel chce się z panem spotkać i dogadać. Myślał pan, że dzięki właścicielowi obrazów sprzedacie je łatwo i tym samym ukarzenie złodzieja, który swoich łupów już nie będzie mógł sprzedać. Ale nie wiedział pan, że pan Bruzda jest jedynym marszandem, który może na razie sprzedać te obrazy, bo tylko on ma na nie kupca, który zabukował w swoim magazynie na południu Europy miejsce na sześćdziesiąt płócien z okresu żółtego. I to właśnie ten kupiec jest tym siódmym, małą wspianiałym bohaterem tej historii.

Słowa detektywa sprawiły, że nie tylko marszand, ale także wiceburmistrz i burmistrz cali zeszytnieli ze strachu. Do Trybla chyba po raz pierwszy dotarło, że detektyw poza znalezieniem obrazów może jeszcze posiadać dużo bogatszą wiedzę.

— Wynająłem pana do tego, żeby pan złapał złodzieja — powiedział wiceburmistrz, cedząc powoli słowa.

— Wynajął mnie pan po to, żeby odnalazł pana obrazy, i za to mi pan zapłaci. A żeby to zrobić, musiałem się najpierw zastanowić, dlaczego one nagle stały się tak cenne, że ktoś by chciał je ukraść. Od pana Zimnicy dowiedziałem się, że hurtem sprzedał sześćdziesiąt sztuk, obecni tu panowie nabyli po piętnaście. Zakładam, że drugie trzydzieści trafiło analogicznie po piętnaście sztuk do pana szefa — pokazał na Trybla — i pana zastępcy. — Pokazał na Cierniewskiego. — Kosztowały po tysiąc złotych, a nagle zaczęły kosztować po dwieście tysięcy. A obraz, czy w ogóle dzieło sztuki, wart jest tyle, ile ktoś chce za niego zapłacić. I tak się składa, że zapewne nabyć je chciał systematycznie inwestor budujący na skraju panów dzielnicy słynne, luksusowe osiedle Tęczowy Raj. To miała być zapłata dla panów za wydanie w odpowiednim tempie niezbędnych zgód i zezwoleń. Taki proces inwestycyjny trwa długo, więc już dwa lata temu nabyliście obrazy za pośrednictwem pana Bruzdy i czekaliście na moment, aż inwestor zbierze odpowiednie finansowanie i będzie mógł je od was odkupić. Za pośrednictwem tego samego pana marszanda, bo tylko on miał w tej chwili kogoś, kto był gotowy zapłacić takie pieniądze za te obrazy.

— To znaczy... — Zimnica spojrzał smutno na swój obraz.

— To znaczy, że pana obrazy tak naprawdę są nadal warte tysiąc złotych. A może nawet i nie tyle. Owszem, z czasem byłyby warte dużo więcej, bo ta transakcja pomogłaby im podnieść tę wartość. A pan Bruzda tak bardzo chciał nabyć kolejne pana dzieła, bo musiał kontrolować rynek. Gdyby się nagle okazało, że inni kolekcjonerzy mimo tej wspianiałej transakcji nie chcą za pana obrazy płacić więcej niż dziesięć tysięcy, sprawa mogłaby się wydać i zainteresować CBA.

— Zupełnie nie rozumiem, o czym pan mówi! — oburzył się Trybel. — Jeśli nie ma pan zamiaru oddać mi moich obrazów, to żegnam pana.

— Zostaw go, debilu — wycedził Cierniewski.

— Co?! Nie dość, że... — Wiceburmistrz urwał, bo nie bardzo chciał powiedzieć na głos, że mu ktoś przyprawia rogi. — No sam wiesz, co robisz, to jeszcze obrażasz mnie w moim domu?!

— Przecież ci powiedział, gamoniu, że ci odda te obrazy. To niech to robi i spierdala. Dokończymy tę transakcję z Tęczowym Rajem, ale ty zapomnij o karierze w partii. Takich idiotów, co sobie dają ukraść łapówkę, nam nie potrzeba.

Trybel najchętniej odpowiedziałby swojemu koledze jakimś stekiem inwektyw, ale najpierw chciał go ostrzec, że nie powinni kłócić się w jego domu. Przytknął więc palec do ust i pokazał, że ściany mogą mieć uszy. Cierniewski jednak tylko wzruszył ramionami.

— Spokojnie. Czuję, że masz ochotę zrobić coś idiotycznego, więc sprawdziłem swoimi kanałami w CBA i prokuraturze, czy nie masz czasem założonego podsłuchu w jakiejś sprawie. Twój dom jest czysty. A ten dureń — pokazał na Przypadka — nic nam nie udowodni. Jego słowo przeciwko naszym. No, panie detektyw, oddawaj pan te obrazy.

— Z przyjemnością, panie burmistrzu. — Przypadek skłonił się Cierniewskiemu, a ten pomyślał, że chyba przesadzali z tym demonizowaniem go, skoro okazuje niezbędny szacunek władzy i bez szemrania wypełnia jej polecenia. — Otóż kiedy już zrozumiałem, dlaczego są tyle warte, pojąłem, dlaczego były trzymane bez należytego szacunku w składziku pod schodami. I że winna ich zniknięcia jest pana żona.

— Elka?!

— Ja ich nie ukradłam! — odezwał się płaczliwy głos z kuchni.

— To prawda. Pani Elżbieta jakiś czas temu została tylko fanką poradnikowych blogów dla kobiet, jak poradzić sobie w życiu bez mężczyzny, co było zapewne pokłosiem jakichś uświadamiających pogadań feministycznych. Stąd zabrała się za naprawę kranu, korzystając z internetowych poradników. Nie wyszło jej to najlepiej. Dlatego zadzwoniła po pana Cierniewskiego. Ale on też nie okazał się mistrzem hydrauliki i musiał się schować przed gospodarzem w schowku pod schodami, gdzie kiedyś były obrazy...

— No ale gdzie one są?! — zapytał wściekły Trybel.

— Proszę nic nie mówić przez minutę, a je otrzyma.

Przypadek pobiegł w kierunku schodów prowadzących na strych. Trybel spojrzął na pozostałych, ale pomny ostrzeżenia detektywa, nie odezwał się nawet słowem. Milczał również malarz, zdruzgotany odkryciem, dlaczego zaczął być cenionym twórcą, i marszand zaniepokojony dziwnym zachowaniem detektywa. Tylko Cierniewski nie odpuścił sobie okazji, żeby przekląć po swojemu, ale ten cytat autor pominię.

— Proszę bardzo, oto pana obraz — powiedział Jacek, schodząc ze strychu. — Pozostałe też tam są, a ten to chyba oryginał tego, który przyniósł pan Zimnica. — Detektyw porównał żółte plamki na obydwu płótnach, które idealnie się powtarzały. — Tak, zgadza się.

— Ale skąd... one... na strychu? — wydukał wciąż nic nierozumiejący Trybel.

— Kiedy już zrozumiałem, dlaczego wartość tych obrazów tak wzrosła, wiedziałem, że nikt ich nie ukradł, bo kupiec na nie może być jeden. Czyli jeśli ich nie ukradziono, muszą być w tym domu. A na strych zaniósł je ukraińska pomoc domowa, z której usług pan korzystał. Pana żona dostała dwa tygodnie przed odkryciem zniknięcia obrazów prezent w postaci masy narzędzi do majsterkowania i zapewne nakazała jej znaleźć gdzieś dla nich miejsce. Więc pani Luba wyniosła obrazy na strych, a tu zrobiła miejsce dla tych narzędzi.

— Nawet nie sprawdziłeś, idioto, strychu?! — wrzasnął Cierniewski. — Jesteś większym debilem, niż myślałem!

— Tam się ciężko wchodzi — tłumaczył się Trybel. — Poza tym był tam przecież policjant, który sprawdzał, czy nikt się tamtędy nie włamał.

— Ale nie przyszło mu do głowy, żeby zajrzeć pod brezentową plandekę, którą były przykryte obrazy, bo przyjął za pewnik, że dom musiał zostać przeszukany i obrazów w nim nie ma — wyjaśnił detektyw. — Tak że jest mi pan winien pół miliona.

— Dobra, dobra, rozliczycie się później — zdecydował Cierniewski. — A teraz do widzenia się z panem detektywem, bo my tu musimy parę rzeczy omówić.

— Tak, ja się już pożegnam. — Przypadek kiwnął głową. — Ale panowie niestety nie zdążycie nic omówić, bo czeka was spotkanie z panem komisarzem Łosiem. — Detektyw wyjął z kieszeni telefon i przełączył w tryb głośnomówiący. — Jest pan gotowy, panie komisarzu?

— Absolutnie tak. Wzięliśmy ze Smańką specjalnie więcej par kajdanek.

— Ale... wy tu nie macie prawa być! — oburzył się Cierniewski. — Osobiście załatwiłem, żeby was tu nie było!

— Ale zadzwonił pan Przypadek, informując o możliwości popełnienia przestępstwa, i nie mieliśmy wyjścia. Musieliśmy podjąć interwencję. Do miłego zobaczenia, panie burmistrzu, już po pana idziemy. — Łoś się rozłączył, a Przypadek stwierdził, że inspektor Lestrade przy jego partnerze to ponurak bez poczucia humoru.

ROZDZIAŁ 3

Koniec paradygmatu awangardowego

Wielki dzień dla galerii Ewarysta Rosta zbliżał się naprawdę wielkimi krokami. Zdecydowanie większymi niż te, które stawiał w tej chwili sam jej właściciel zmierzający do swojego zakładu pracy, swego ukochanego dziecka, swojej największej radości i dumy. Cieszył się każdą chwilą, która przybliżała go do sławy i sprawiała, że jego galeria w końcu uzyskuje status tak prestiżowego punktu kultury, na jaki sobie zasługiwała.

Pan Ewaryst uważał bowiem, że jest zdecydowanie niedoceniana. Składała to na karb tego, że nigdy nie wystawiał skandalistów, którzy swoimi pracami potrafili sprawić, że wokół miejsca, które prezentowało ich dzieła sztuki, robiło się głośno. Rost stawiał raczej na rzeczy stonowane, jego zdaniem naprawdę przemyślane i nieepatujące bezsensowną prowokacją i obrazoburczością. To niestety powodowało, że choć jeszcze dwa lata temu mógł się pochwalić pozycją wicelidera w tej branży, to teraz plasował się pod koniec pierwszej dziesiątki, a niektórzy wieszczili, że wkrótce poza nią wypadnie. A to już by oznaczało bankructwo. Bo druga dziesiątka to w warszawskich warunkach zwykle nic nieznaczące efemerydy, które muszą zniknąć z mapy stolicy.

Ale teraz trzymanie się z daleka od skandali miało wreszcie przynieść efekty. Wystawa Świtały odbije się na pewno szerokim echem, tak jak wszystkie jego inne wcześniejsze wystawy. Pan Ewaryst zawsze lubił jego prace i gdy tylko usłyszał, że artysta pejoratywny chciałby pokazać się w jego galerii, był uniebowski. Tak, wiedział, że zawdzięczał to szumowi, jaki sprawiła ta nieszczęsna wizyta uprzykrzonego detektywa. Ale uważał, że i tak po prostu zasługuje na tę szansę, i postanowił ją wykorzystać.

Jednak kiedy dziś wszedł do swojej galerii, od razu poczuł, że coś jest nie tak. Choć pozornie wszystko wyglądało identycznie jak wtedy, gdy ją wczoraj opuszczał. Wszystko stało na swoich miejscach. Wydawało się, że we wnętrzu galerii kompletnie nic się nie zmieniło. Lecz niepokój nie opuszczał pana Ewarysta.

— Co tu się stało, do diabła? — zastanawiał się pod nosem.

Przez dobrych kilka minut przechadzał się pomiędzy dziełami sztuki autorstwa Świtały, patrząc na nie podejrzliwie. W końcu zdecydował się usiąść na jednym z siedzisk zamontowanych na instalacji. Siedział tak minutę, dwie, trzy, a jego twarz z każdą chwilą robiła się coraz bardziej przerażona.

— Nie, to niemożliwe — mamrotał pod nosem.

Siedział tak kolejną minutę, a potem pięć. Straszna prawda docierała do niego powoli. Bardzo powoli, bo próbował się przed nią bronić. Przesiadł się na inne siedzisko i tkwił

w nim przez dobry kwadrans. Nic to nie dało.

— Ale... ale jak to się mogło stać? — pytał sam siebie. — I co ja teraz zrobię?! Wystawa zaczyna się za tydzień, a ja... Jestem skończony! No chyba że mi się to śni. To mi się musi śnić! Tydzień temu też miałem ten okropny sen, że wszyscy ludzie mają w swoich domach obrazy, na których wszystko jest normalne i dom przypomina dom, a koń konia. Koszmar! I to też musi być koszmar. Na pewno. Usiądę i poczekam, aż się obudzę.

Podszedł do swojego fotela i usiadł. Zamknął oczy. Otworzył. Zamknął. Otworzył. W końcu uszczypnął się w policzek tak mocno, że nie pozostawało mu nic innego, jak tylko zauważyć po tej torturze.

— Nie, to chyba jednak nie jest sen — powiedział ze łzami w oczach i sam nie wiedział, czy pojawiły się tam z bólu, czy ze smutku.

Wstał i przez moment patrzył z przerażeniem na instalację.

— Przecież Światała mi nie uwierzy... Nikt mi nie uwierzy... Nikt mi nie pomoże... No chyba że...

Myśl o tym, kto mu może pomóc, przeraziła go bardziej, niż ucieszyła. No ale tak, nie miał wyjścia. Wyszukał w szufladzie biurka wizytówkę i kiedy ją odnalazł, wybrał numer na swojej komórce.

— Pan Przypadek? Ewaryst Rost z tej strony. ... Potrzebuję pana pomocy. ... Tak, dobrze pan słyszy. Musi mi pan pomóc. ... Jak to, co się stało?! Jeszcze pan nie wie?! Aha, no tak, pan przecież nie jest jasnowidzem. Ktoś ukradł instalacje Światały i postawił na ich miejscu falsyfikaty!

Podkomisarz Łoś... o, przepraszam, obecnie już komisarz Łoś, idąc do gabinetu swojego zwierzchnika, inspektora Zasady, odczuwał zawsze lekki niepokój. Wiadomo, wizyta u przełożonego na dywaniku nigdy nie należy do przyjemnych rzeczy i niczego dobrego nie można było się po niej spodziewać. Szefowie bowiem mają tę rzadką umiejętność wyszukiwania dziury w całym, a pochwały w ich ustach pojawiają się nadzwyczaj rzadko. Dużo chętniej goszczą w nich reprimendy i wyrazy niezadowolnienia. I to niezależnie od efektów pracy podległego im zespołu. Nic więc dziwnego, że wizyta w gabinecie zwierzchnika to dla podwładnego zawsze stres.

Dziś jednak komisarz Łoś szedł tam lekko i swobodnie. Jakby nagle wszystkiego przestał się bać i na wszystko zobojętniał. Choć przecież wiedział, że nic dobrego go tam nie czeka. Tytu ważnych i poważanych ludzi trafi do więzień w wyniku ostatnich wspólnych działań z Przypadkiem, że inspektor na pewno odebrał już niejedną telefon z pretensjami.

Komisarz Łoś zapukał energicznie do drzwi i nawet kwaśne „Wejść!”, które dobiegło z drugiej strony, nie popsuło mu humoru. Zauważył to zresztą gospodarz gabinetu, którego to wyrażnie zirytowało.

— A co wy jesteście tacy zadowoleni, Łoś? — zapytał inspektor Zasada.

— Paru nieuczciwych ludzi pójdzie za kratki, a miasto zachowa piękny, zielony teren.

— Co wy się na ekologizm nawróciliście?

— Nie. Ale uważam, że w Warszawie zabudowuje się za dużo zielonych terenów...

— Takie problemy zostawcie urbanistom, a sami zajmijcie się łapaniem przestępców — sapnął ze złością inspektor Zasada.

— To właśnie przecież zrobiłem — odpowiedział z miną niewiniątka Łoś.

— Doceniam wasz dowcip, komisarzu, ale policja to nie jest wasz prywatny interes. Kto wam pozwolił wrócić do współpracy z Przypadkiem?

— Wróciłem do pracy, więc...

— Więc powinniście czekać na przydział sprawy, a nie bez pozwolenia pomagać prywatnej konkurencji. Zresztą nigdy nie mieliście z nim współpracować, tylko patrzeć mu na ręce, żeby swoimi nieodpowiedzialnymi działaniami nie przysporzył nam zbyt wielu problemów. A tymczasem wy tym razem niemal działaliście z nim ręką w rękę — złościł się inspektor. — Poza tym wydawało mi się, że dotarło do was moje polecenie, aby chwilowo zerwać wszelki kontakt z panem Przypadkiem?

— I zastosowałem się, panie inspektorze.

— To ciekawe, dlaczego dwóch burmistrzów jest w areszcie, a dwóch innych poprosiło o azyl w Norwegii, gdzie byli akurat na konferencji?

— Detektyw Przypadek zawiadomił mnie telefonicznie o możliwości popełnienia przestępstwa, dlatego musiałem reagować. Szczególnie że znałem wcześniej tę sprawę i nie było sensu przekazywać jej komuś innemu. Dzięki temu wykryliśmy wielką aferę...

— Od takich afer jest CBA, a nie policja. Od razu jak się dowiedzieliście o tej sprawie, powinniście ją przekazać do nich!

— Początkowo wyglądało na zwykłą kradzież obrazów... — próbował tłumaczyć komisarz Łoś.

— I to od razu powinno wzmóc waszą czujność.

— Wzmogło. Dlatego udało się rozwikłać tę aferę.

Inspektor Zasada spojrział na swojego podwładnego ciężkim wzrokiem. Sprawa była poważniejsza, niż mu się wydawało. Do Łosia zdawały się nie docierać żadne racjonalne argumenty, które w mig rozumiał każdy policjant. A nawet powinno zrozumieć je dziecko. Dlatego inspektor Zasada nie miał wyjścia i musiał sięgnąć po cięższy kaliber.

— Czy ja wam już gratulowałem awansu na komisarza?

— Jeszcze chyba nie — odpowiedział nieco zdziwiony Łoś.

— No to wam go gratuluję. I informuję was, że do góry można się pięć tylko szczebelek po szczebelku. Ale w dół, na zwykłego posterunkowego, można zlecieć w jednej chwili.

— Pod warunkiem że są powody.

Inspektor Zasada ciężko sapnął. Co się stało z tym Łosiem?! Przecież kiedyś to był wzorowy policjant, któremu nie trzeba było nic dwa razy powtarzać. A teraz? No czarna rozpacz. Tak, wszystko przez tego Przypadka. Przebywanie w jego towarzystwie źle wpływa na ludzi. Infekują się jakimś supergroźnym wirusem bezczelności i ciężko im zwalczyć tę chorobę.

— Znajdą się, Łoś. Powody zawsze się znajdują. Zapewniam was o tym. I damę wam ostatnią szansę. — Sięgnął na biurko po kartonową teczkę. — Tu macie napad rabunkowy pod Warszawą. Zajmijcie się nim...

— Przypadek wziął tę sprawę? — Łoś z podejrzliwą miną chwycił teczkę.

— Pan Przypadek, jak sędzę, nie ma o niej zielonego pojęcia. I tak właśnie ma pozostać. Macie absolutny zakaz konsultowania z nim tej sprawy. I w ogóle macie zakaz kontaktu z nim na gruncie służbowym. Gdyby do was zadzwonił, macie się natychmiast rozłączyć, nawet gdyby krzyczał, że go mordują. A jeśli tylko ktoś zobaczy was w jego pobliżu, to możecie się pożegnać z pensją komisarza i przywitać z uposażeniem posterunkowego.

— A kto będzie teraz pracował nad Przypadkiem?

— Absolutnie nikt. Jeśli będzie miał potrzebę skorzystać z naszej pomocy, to niech zgłosi zawiadomienie o przestępstwie. Przyjrzymy mu się i jeśli uznamy, że jest zasadne, podejmiemy odpowiednie środki, przydzielając do sprawy kogoś odpowiedniego. Ale już na pewno nie was, Łoś. Wy już definitywnie zakończyliście z nim współpracę. Rozumiemy się?

— To znaczy...

— Łoś, pytałem was o coś?

— Rozumiemy się — powiedział niechętnie po chwili komisarz.

— No to bierzcie się za ten napad rabunkowy i życzę wam powodzenia.

Ewaryst Rost wprawdzie poprosił Jacka Przypadka o pomoc, ale z pewnością nie było to powodem, żeby w jakikolwiek sposób afiszować się z tą współpracą. Dlatego też wpuścił detektywa do swojej galerii dopiero po zmroku, gdy jego pracownicy poszli już do domu. Przedtem i tak pięć razy się upewnił, że nikogo nie widać w perspektywie ulicy, i zapytał go:

— Na pewno nikt pana nie śledził?

— Niestety na pewno.

— Dlaczego natomiast?

— Bo to oznacza, że już nie mogę liczyć na pomoc policji i nie mam pojęcia, kiedy znów zobaczę komisarza Łosia. — Jacek westchnął ciężko, a pan Ewaryst pomyślał:

„No tak, mieli rację ci, co mówili, że policja go kryje i mu pomaga. Inaczej nie dałby rady usadzić do więzienia tylu uczciwych ludzi!” Głośno jednak powiedział:

— Dla mnie to lepiej, bo ostatnią rzeczą, o jakiej marzę, jest to, żeby ktoś dowiedział się o tej bezcelnej kradzieży.

— Skąd wiadomo, że to w ogóle kradzież? Przecież wszystko jest na swoim miejscu. — Jacek pokazał na instalacje.

— Mówiłem panu, że to falsyfikaty. Nędzne kopie. Od razu jak je zobaczyłem, to coś mnie tknęło. A jak już usiadłem na tych siedziskach, to byłem pewny, że to nie oryginalny Światała!

— Bo było na nich wygodnie? — zapytał Jacek, sadowiac się w instalacji.

— Dokładnie tak. Już panu tłumaczyłem, że Światała jest artystą pejoratywnym i jego twórczość jest kwintesencją współczesnej sztuki. Stawia odbiorcę w niewygodnej pozycji, nie pozwala nawet na moment na komfort przy obcowaniu z nią. Powinna nim wstrząsać i dawać mu do myślenia. A na tym można siedzieć i siedzieć, i nic!

— To prawda. — Jacek wygodnie rozparł się w instalacji. — A czy pan Światała nie mógłby tego poprawić, żeby znów było niewygodne?

— Nie ma z nim żadnego kontaktu. Światała już taki jest, że jak skończy instalacje, to oddaje klucze i gdzieś znika. — Rost zabrzączał kluczami w kieszeni. — Pojawia się dopiero na wernisażu.

— A pan by nie mógł? Przecież pewnie ma pan jakieś zdjęcia, plany tej instalacji...

— Widać, że pan nie zna Światały. — Rost machnął ręką zrozpaczony. — To perfekcjonista. Kiedyś w jednej z galerii przesunęli mu dosłownie o metr jakąś instalację, to zrobił wielką awanturę, że zburzono jego artystyczną koncepcję. On ma oko do takich rzeczy. Coś źle przeinstaluję i on powie, że zniszczyłem jego dzieło. A tu by trzeba było całość przemontować.

— Rozumiem. Ale kto i po co w ogóle miałyby coś takiego zrobić? Przecież taką instalację trudno sprzedać, prywatni kolekcjonerzy w tym nie gustują, ciężkie pieniądze płacą za to

zwykle mocno dotowane galerie. A one w życiu nie kupią ukradzonej instalacji.

— Wiem, wiem. Dlatego myślę, że to był atak terrorystyczny — stwierdził z pełną powagą marszand, ale widząc rozbawioną twarz detektywa, nie po raz pierwszy stwierdził, że zatrudnianie go nie było najlepszym pomysłem. I gdyby nie musiał tego robić, na pewno by tego nie uczynił. Dlatego tylko uniósł do góry obrażony nos i powiedział: — Mówię zupełnie serio.

— W to akurat nie wątpię. Ale na czym miałyby polegać ten atak terrorystyczny?

— Widzi pan, jest taka organizacja, która nazywa się Świt Codzienny. To takich paru artystów, co to lubią sztukę konserwatywną i cały czas żartują z tej współczesnej i postępowej.

— Już ich lubię.

— Nie wątpię — zauważył kwaśno Rost. — Za to oni nie cierpią Światały i zwalczają go na każdym kroku. Nawet on sam sugerował mi, że powinienem lepiej zabezpieczyć galerię, bo ma przeczucie, że tym razem mogą bardziej bezpośrednio zaatakować jego sztukę. Myślałem, że przesadza, bo jest przeczulony, ale okazało się, że miał rację.

— Czyli że sugeruje pan, że tak dla żartu jakoś włamali się do pana galerii i przemontowali instalacje pana Światały, żeby go ośmieszyć, a razem z nim całą sztukę współczesną? — Marszand skwapliwie przytaknął. — I, jak się domyślam, tak naprawdę nie zależy panu na tym, żeby przywrócić instalację do pierwotnego stanu, tylko żeby zdobyć dowody na to, że to faktycznie był atak terrorystyczny grupy Świt Codzienny. To zdejmowałoby z pana jednocześnie odpowiedzialność za zniszczenie instalacji i dawało sławę ofiary ataku konserwatywnych artystów, co dobrze wpłynęłoby na odbiór pana galerii w środowisku.

Rost przyjrzał się uważnie Przypadkowi i nawet zaczął sobie intensywnie przypominać, co mówił mu w ciągu ostatnich kilku minut, a także podczas rozmowy telefonicznej, kiedy zadzwonił do niego po pomoc. Nie znalazł jednak tam nic takiego i tak jak wiele innych postępowych osób niewierzących w czary i gusła religijne uznał, że Jacek z całą pewnością jest jednak jasnowidzem, co może znacznie ułatwić mu wykonanie zlecenia. No a przynajmniej potrafi czytać w ludzkich myślach, co też może doprowadzić do sukcesu.

— No to cieszę się, że się rozumiemy. — Marszand się uśmiechnął. — Proszę zajrzeć do szklanej kuli czy gdzie pan tam chce i dostarczyć mi te dowody. A ja spróbuję, żeby sprawę nagłośnić i wreszcie przyskrzynić ten cały Świt Codzienny, a przede wszystkim jego szefa, bo to on za to odpowiada.

— A kim jest ten szef?

— Żebym to ja wiedział. — Rost wzruszył ramionami. — To wie pan, taki Banksy, o którym nikt nie wie, kto nim jest. Są pewne podejrzenia, ale nic stuprocentowo pewnego poza tym, że każe się nazywać Wielkim Mistrzem Łoży Wielkiego Świtu.

Zygfrйда i Teodora nie dmuchały już sobie w twarz dymem z papierosów tylko dlatego, że były odwrócone do siebie plecami. To jednak nie powodowało, że konflikt między nimi wygasł czy nawet, że jego temperatura się obniżyła. Wciąż właściwie się do siebie nie odzywały. W interakcję wchodziły tylko wtedy, kiedy miały zamiar udać się na papieroska do swojej pleksiglasowej celi. Wtedy odbywały się specyficzne wyścigi, polegające na tym, że wygraną okazywała się ta, która wchodziła tam później. Bo żadna z nich nie chciała być

blżej okna, które w trakcie palenia musiało być otwarte. To powodowało, iż wpadała przez nie dawka niebezpiecznie świeżego powietrza.

Zwycięczynią było jednak naprawdę trudno zostać i osiągnięcie sukcesu stawało się wielką próbą charakteru. Bo jak tu wytrzymać bez papierosa dłużej niż pół godziny? Już po kwadransie od poprzedniego dymka siostry kręciły się nerwowo przy drzwiach palarni, patrząc na siebie badawczo, która pierwsza z nich się złamie. A gdy ta druga nie wytrzymała, tryumfatorka mruczała zadowolona pod nosem. Trzeba przy tym uczciwie przyznać, że wynik ogólny był niemal remisowy i mniej więcej tyle samo razy jako pierwsza poddawała się Teodora, co i Zygfyda. Papieroszek zwyciężczyni był nieco radośniejszy, za to przegrana oddawała się nałogowi w ponurym nastroju. Zawsze jednak obie milczały.

Tym razem jednak coś się wyraźnie zmieniło.

— Długo się jeszcze będziesz na mnie, gówniario, gniewać? — zapytała Zygfyda młodszą o dwa lata siostrę. Mimo że tym razem wygrała, jakoś nie odczuwała zwyczajowej radości.

— Tyle, ile będę chciała, starucho.

— A pamiętasz, jak się ostatni raz tak pokłóciłyśmy?

— No pewnie, że pamiętam. W przeciwieństwie do ciebie pamięć mi nie szwankuje — oświadczyła z dumą Teodora.

— Tak? No to powiedz kiedy?

— W pięćdziesiątym dziewiątym, jak Hasiorek chciał, żebyśmy została jego żoną.

— Chyba oszalałaś?! Hasiorek chciał, żebyśmy to ja została jego żoną i modelką! — oświadczyła dumnie Zygfyda.

— Jak zwykle pamięć ci nie domaga!

— Z moją pamięcią jest wszystko w porządku! Wiem, jak było. Wtedy też się ze mną o to kłóciłaś. Aż do samego jego wyjazdu na stypendium do Paryża!

— Jakby mi stary Klempuch nie zatrzymał podania o wydanie paszportu, tobym tam razem z nim wyjechała — zapewniła Teodora.

— Mnie tak samo stary Klempuch zatrzymał wydanie paszportu i dlatego nie pojechałam z Hasiorem!

— Ty dla niego za leciwa byłaś! I nie mów, że byłam dla niego gówniarią, bo i tak byłam starsza od niego!

— Ale byłaś gówniarią. On potrzebował takiej dojrzałej kobiety jak ja.

W tej sytuacji bardzo przydał się fakt, że siostry były do siebie odwrócone bez najmniejszej możliwości dokonania obrotu. Dlatego jedyne, co mogły zrobić, to naprzeć na siebie plecami, co też uczyniły. Żadna jednak nie była w stanie przepchnąć drugiej więcej niż o kilka centymetrów.

— Wyłaż z tej klatki, gówniario, to ci porachuję kości! — zażądała w końcu Zygfyda.

— Nic z tego. Tylko się pewnie ruszę do wyjścia, a ty na mnie naprzesz tak, że mnie znów wywrócisz! Znam cię, podstępna, stara żmijo!

— Dorka, dość! — zażądała starsza z sióstr, po raz pierwszy od dawna używając zdrobnienia imienia tej młodszej. — Tak dalek być nie może. Jacuś ma kolejną sprawę, a my, zamiast mu pomóc, kłócimy się. I to znów o artystów.

— No, to fakt. Coś niedobrego w nich musi być, skoro tylko o nich się kłócimy i boczymy.

— I nawet tę palarnię pod trzynastką przez nich straciłyśmy.

— To mnie najbardziej wkurza! — stwierdziła Teodora.

- To już zapominamy o kłótniach i zajmujemy się tą kradzieżą w galerii Rosta.
 - Tą podmianą.
 - Jedno i to samo — burknęła Zygfyda, z trudem powstrzymując się, by nie dodać czegoś o pedantyzmie siostry. — A swoją drogą, zrobić taki falsyfikat instalacji to niełatwa sprawa. I jeszcze jak to wnieść i zamontować?
 - Tak, to by mogło wskazywać, że to jest akcja tego Świtu Codziennego.
 - Ale to są zwykli happenery, a nie włamywacze.
 - Mogą zawsze współpracować z kimś z galerii Rosta — dedukowała Teodora. — Jak znam życie, to ciągle tam u niego dorabiają jakieś studentki z ASP. Mogli tam którąś zbajerować i zdobyć klucze.
 - No ale te studentki w takiej galerii są raczej za sztuką postępową i nie współpracowałyby z konserwatystami.
 - Ty też byłaś za socrealizmem, zanim się nie zakochałaś w Hasiorze.
 - To on się we mnie zakochał! — krzyknęła Zygfyda.
- Jak nietrudno się domyślić, na tej kwestii zakończyły się wspólne dociekania detektywistyczne obu siostr. Kłótnia ich miała jak zwykle bardzo gorący przebieg, ale tym razem zakończyła się wspólną konkluzją wyrażoną przez Teodorę:
- Nie damy rady nic wydedukować z tymi pokręconymi artystami. Tym razem Jacuś znów będzie musiał sobie poradzić bez naszej pomocy.

Jacek spojrział z troską na swojego przyjaciela. Znał Błażeja od piaskownicy i choć różnili się pod wieloma względami, to obaj w zasadzie zawsze byli radośni, uśmiechnięci i z dużym apetytem na życie. W tej chwili zaś mecenas Sakowicz był właściwie cieniem samego siebie. Z czasów, gdy uważał się za Młodego Boga Seksu, którego pożądają wszystkie kobiety w promieniu kilometra, nie pozostało właściwie nic. Błażej smętnie wpatrywał się w filiżankę kawy przed sobą i nie zwracał uwagi na inne osoby siedzące w tej modnej kawiarce. Dlatego Przypadek, gdy tylko przywitał się z przyjacielem, zapytał go na wszelki wypadek:

- Ale zauważyłeś, że wszystkie laski tutaj na ciebie lecą?
- Znów mnie tylko pocieszasz. Jestem pewien, że nie został we mnie nawet jeden gram ze zwierzęcego magnetyzmu, który je kiedyś przyciągał. Na pewno śmierzę cały małym Jędrzejem. Powiem ci, że kocham tego dzieciaka, ale on chyba zupełnie się we mnie nie udał. Dzisiaj rano na przykład mnie obsikał. Bez przerwy czuję na sobie jego moc. No powiedz, czy może pociągać kobiety ktoś, kto pachnie dziecięcymi siuszkami?
- Z pewnością może je pociągać ktoś, kto ma opinię prawnika zarabiającego coraz większe sumy z perspektywami na jeszcze większe.
- Myślisz? — Błażej pierwszy raz łypnął okiem na salę. — Hmm... Może rzeczywiście się podobam tamtej blondyneczce pod oknem?
- Lepiej na nią nie patrz, bo zaraz zrobi coś tak głupiego, z czego się będziesz musiał tłumaczyć przed Anią.
- Racja. — Konieczność tłumaczenia się przed żoną była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował Błażej, dlatego wbił ponownie wzrok w swoją filiżankę kawy. — Tutaj większość ludzi zna Ankę. I tak pewnie będę miał piekło za to, że się z tobą spotkałem.
- Bardzo jest na mnie wściekła za ten Tęczowy Raj?

— Wściekła to mało powiedziane. Dostała już od architekta wstępny projekt naszego przyszłego mieszkania i zaczęła nawet robić poprawki, a tu bum. Aresztują burmistrzów za wzięcie łapówek od inwestora i całość staje w miejscu. I nawet nie wiadomo, kiedy ruszy!

— Kiedyś ruszy. A na razie masz trochę spokoju, bo nie musisz błyskawicznie zarobić na mieszkanie za trzy miliony.

— Trochę jest w tym racji. — Sakowicz pokiwał głową. — Ale jakoś bym dał radę. Zwłaszcza że teraz łatwo dostać dobry kredyt we frankach.

— Lepiej nie bierzcie tego kredytu. Coś czuję, że z tymi kredytami frankowymi to musi być duży przekręt.

— No co ty? Kogo? Rządu Szwajcarii?!

— Nie. Klempucha. Zanim zniknął, obilo mi się o uszy, że to on wymyślił te kredyty i ta jego lichwiarska firma jakoś je refinansuje w bankach.

— E, to by chyba za grube było. — Błażej pokiwał sceptycznie głową. — Wybacz, Jacek, ale ty naprawdę masz chyba obsesję na punkcie tego Klempucha. Mówiła mi Anka, że jej Malwina powiedziała...

— Wiem, co myśli Malwina — uciął Jacek. — Dlatego cię proszę, jak przyjaciel, żebyś nie brał tego kredytu we frankach. A to osiedle na pewno w końcu powstanie. To świetne miejsce i znajdują się inni, którzy wymyślą lepszy sposób na wręczenie łapówki kolejnym burmistrzom albo i komuś wyżej — powiedział z przekonaniem Jacek.

— Może i tak. Ale kompletnie nie wiadomo, kiedy to będzie. W każdym razie plany architekta można wyrzucić do kosza. Anka jest jak dynamit i już nie mam sposobu, jak ją uspokoić. Jakby cię dorwała w swoje ręce, toby cię w jednej chwili rozerwała na strzępy.

— Nie wątpię. I dziwię ci się, że odważyłeś się ze mną spotkać.

— No co ty, przecież ja nie jestem jak mój ojciec, który od zawsze siedzi pod pantoflem mamy — obruszył się mecenas Sakowicz i przypomniał sobie, że z tego zmęczenia jeszcze nie wymyślił, jak wytłumaczyć żonie to spotkanie. — Chociaż wiesz, jak ci tu doniosą Ance, to chwilowo lepiej będzie ograniczyć nasze spotkania. Przynajmniej w miejscach publicznych. No i wiesz, na razie nie mogę cię wspomagać w procesach. Ale mogę się rozejrzeć za jakimś prawnikiem...

— Dzięki, mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości nie będzie to konieczne.

— No to się ciesz, bo... Czy ta brunetka tam pod ścianą nie puściła do mnie oka?

— Wydaję mi się, że tak — odpowiedział Jacek, nie patrząc nawet w tamtą stronę.

— Kurczę, może ja znów odzyskuję mój zwierzęcy magnetyzm?

— Na pewno coś jest w tych spojrzeniach — odpowiedział dyplomatycznie Przepadek. — Ale nie patrz się na nią, bo wiesz...

— No tak, już zapomniałem — zmytygował się Błażej, przez moment tak wpatrzony w brunetkę, że tamta zaczęła się zastanawiać, czy skądś ją zna, czy też próbuje po prostu poderwać.

— Musisz się pilnować. I wiesz, bez prób wykorzystania twojego zwierzęcego magnetyzmu, któremu nie oprze się żadna kobieta...

— Stary, za kogo mnie masz?! — obruszył się Błażej. — Przecież wiesz, że ja kocham Ankę i nigdy bym jej nie zdradził.

Przepadek pokiwał głową na znak, że absolutnie wierzy przyjacielowi, bo wiedział, że Sakowicze genetycznie są niezdolni do zdrady. Jego wiary nie zaburzyła nawet kolejna uwaga przyjaciela:

— Słuchaj, czy ta szatynka przy drzwiach...

— Błazej — upomniał mecenasa detektyw.

— No tak, masz rację. Ale wiesz, to bardzo miłe jest, że jeszcze człowiek trochę kręci kobiety.

— Wiem.

— Opowiedz mi o tym swoim nowym śledztwie, żebyś nie musiał zerkać gdzieś na bok.

I Jacek zaczął opowiadać. Najpierw o śledztwie. A potem o czymś innym. A później jeszcze o czymś innym. Bardzo chciał wykorzystać to spotkanie, bo wiedział, że nieprędko zobaczy swojego przyjaciela, którego żona z pewnością jakoś przekona do tego, żeby nie widywał się z nim. I kto wie, czy nie jest to ich absolutnie ostatnie spotkanie na ładnych kilka lat.

Dlatego cieszył się, że przed przerwą w przyjaźni zdążył odciążyć Błazeja z konieczności zarabiania pieniędzy i pomógł mu znów poczuć się mężczyzną.

Wśród bezdomnych zbieraczy złomu Siwowłosy uchodził zawsze za okaz zdrowia i tężyzny fizycznej. Jak mu się to udawało przy prowadzeniu tak niehigienicznego trybu życia, pozostawało zapewne tajemnicą genetyki, która po przodkach wyposażyła go w odpowiednią odporność i siły witalne. Dlatego zawsze, gdy był jakiś ciężki towar do zebrania albo też produkt winopodobny do wypicia, właściciel bujnej czupryny i brody w białym odcieniu był na posterunku.

Teraz jednak Siwowłosy coraz bardziej przypominał cień samego siebie, choć jego stan, w odróżnieniu od mecenasa Sakowicza, nie brał się z przepracowania. Wychudzony i bladej, z włosami jakby rzadszymi, słabszymi i bardziej postrzępionymi. Nawet markowe ubrania, różniące się od jego dawnych strojów przede wszystkim intensywniejszą kolorystyką, nie dodawały mu blasku. Głos miał słaby, a spojrzenie nie tak śmiałe jak niegdyś i widząc przechodzącą obok Malwinę, kiwnął jedynie głową na powitanie.

— Nie jest lekko, szefie — powiedział do Przypadka, lecz nawet ktoś dużo mniej spostrzegawczy niż genialny detektyw nie mógł w to wątpić.

— Ta twoja artystka tak ci daje popalić?

— No tak. Ja rozumiem, jak to artystka, tylko by się bzykała i bzykała. Ale żeby jeść dawała jak zdrowemu chłopu. A ona tylko te kielki, roślinki i inne wegetariańskie żarcie. A co ja krowa jestem, żeby z trawy mleko dawać? No nie wyrabiam normalnie. Zero mięsa. Nawet prywatnie nie mogę sobie wyskoczyć na burgera, bo mi sceny urząda, że nie dbam o planetę i przez takich jak ja wszyscy się spalimy. — Siwowłosy pokręcił głową z niedowierzaniem. — Niby wiedziałem, że artyści to świry, ale bym nie przypuszczał, że aż takie. Tak że obawiam się, że już za długo szefowi w kwestii sztuki nie pomogę.

— Spokojnie, mam nadzieję, że to ostatnia sprawa związana ze znajomymi twojej pani. Mów, czego się dowiedziałeś.

— No więc tak, ta moja i jej towarzystwo podejrzewają, że tym Wielkim Mistrzem Łoży Wielkiego Świtu jest niejaki Ćwierotka Alojzy. Mówią, że to taki mały udany malarz, co to sprawnie machnie martwą naturę, ale na sztuce się nie rozumie i zawsze wyrażał się sceptycznie o nowych trendach, czy jakoś tak — stwierdził i zaraz zaznaczył: — Tak literalnie to nie wiem, o co im chodzi, ale powtarzam, co słyszałem. A ten Ćwierotka nie przyznaje się, że jest tym Wielkim Mistrzem. Mówi, że robi tylko czasem za jego menadżera. Bo Ćwierotka

ma jakąś galerię i handluje obrazami innych i swoimi widoczkami też. Jakby co, to mam adres jego galerii. Konwersacja się nazywa czy jakoś tak.

— Dzięki, przyda się. A dowiedziałeś się jeszcze czegoś o wrogach Światały?

— Całe mnóstwo rzeczy. Te artyści to się wszystkie nawzajem nienawidzą i podgryzają. Ta moja też, jednego dnia się uśmiecha do takiego rzeźbiarza, a następnego dnia obrabia mu dupę z malarzem, a mi o malarzu mówi, że to skończony fiut, z którym nie warto gadać.

— No okej, ale każdy ma jakiegoś największego wroga.

— Tego Światały to najbardziej nie lubi podobno taki Bryła. Jeszcze na studiach poszło o jakąś babę. A potem o koncepcje artystyczne. Ten Bryła ponoć czuje się niedoceniony, bo jest bardziej awangardowy czy coś. — Siwowłósy sięgnął do kieszeni. — I dlatego go nie wystawiają w mejnstrimowych galeriach — przeczytał z wyjętej kartki. — To musiałem zapisać, bo nie idzie tych wszystkich artystycznych głupot zapamiętać. W każdym razie ten Bryła cały czas się kłóci ze Światałą i jak gdzieś się spotkają na jakimś wernisażu, to ludzie przyjmują zakłady, że zaraz będzie jakieś mordobicie. A podobno są nawet tacy, co im specjalnie wina dolewają i średnio dwa razy w roku muszą ich rozdzielać.

— A twoja pani, po której jest stronie sporu?

— A to zależy od humoru. Rano mówi, że Światała to jednak wielki artysta, a wieczorem twierdzi, że Bryła to najbardziej niedoceniony artysta, jakiego zna, a jego instalacje i rzeźby są kongenialne. — Bezdomny ponownie musiał zajrzeć do kartki. — Jakby co, mam zamiar na obydwóch, tylko podobno ten Światała dwa tygodnie przed wernisażem wystawy jest zupełnie niedostępny.

— Tak, też o tym słyszałem. Jego będziecie musieli namierzyć oddzielnie.

— Znaczy my? — zdziwił się Siwowłósy. — Wie szef, jak dostaniemy namiary, to się możemy do gościa przykleić i spać pod jego domem. Ale tak sami z siebie to nikogo nie wykryjemy.

— Dacie radę.

— Niby jak?

— Bo ludzie są banalnie przewidywalni, a artyści to są przewidywalni jak małe dzieci.

— No może dla szefa, ale nie dla nas. — Wykluczony mieszkaniowo wzruszył ramionami.

— Powinieneś przecież wiedzieć, co artyści robią przed wystawami.

— No garują niemożliwie. Tej mojej tylko parę obrazów pokazywali na wystawie wspólniej, a dwa dni nie trzeźwiała.

— No i masz odpowiedź. — Przypadek się uśmiechnął i zaczął grzebać w szufladzie biurka.

— Ale on podobno znika dokumentnie i nikt z nim nie pije.

— Nie pije z nim nikt ze znajomych artystów. Nie pije też do lustra, bo wtedy byłoby wiadomo, że jest w domu lub w jakimś innym miejscu, gdzie się czasem zatrzymuje. Czyli musi zapijać stres w małe eleganckich lokalach albo wprost na ulicy.

— Znaczy się... z nami? — zapytał z niedowierzaniem Siwowłósy.

— Bardzo możliwe. — Przypadek wyjął z szuflady biurka plik kolorowych ulotek. — To jest program najnowszej wystawy Światały z jego zdjęciem.

Siwowłósy spojrział uważnie na zdjęcie i jego oblicze się rozjaśniło.

— No faktycznie, jakbym go kojarzył. Przekażę chłopakom, bo ja się jeszcze przydam, obstawiając moją artystkę.

— Jak nie możesz, to się nie męcz już więcej...

— Jeszcze jakiś tydzień z nią pociągnę, szefie, tylko się gdzieś jakiego mięsa najem. Ale po tygodniu wracam do swoich. Z tymi artystkami to nie da rady na dłuższą metę.

Artysta Bryła dreptał niespokojnie po ulicze Obocznej, mijając wielokrotnie wejście do galerii Ewarysta Rosta. Czasem przystawał na chwilę, zbliżał się do okien i wyglądało, jakby chciał zajrzeć do jej wnętrza i obejrzyć instalację swojego arcywroga, Świtały. Lecz doskonale wiedział, że jest to niemożliwe, bo tuż przed każdym wernisażem marszand zawsze szczelnie zasłaniał story. Jednak artysta Bryła nie mógł się powstrzymać od poszukania choćby szparki umożliwiającej zaobserwowanie czegokolwiek.

— I co, widać już coś? — Usłyszał nagle za plecami, gdy po raz enty próbował zajrzeć do środka.

Obejrzał się. Za nim stała para dwudziestokilkuletnich studentów, która z wypiekami na twarzy wpatrywała się w zasłonięte okno.

— Nie. Może i lepiej, że nie — odpowiedział pogardliwie.

— Dlaczego lepiej?

— A kim wy właściwie jesteście? — zapytał obcesowo.

— Ja jestem Selene, a to Atanazy — odpowiedziała dziewczyna, a gdy pokrótce wyjaśniła, dlaczego mówi o sobie tak, a nie inaczej, artysta Bryła pokiwał zadowolony głową i powiedział:

— Czuję, że jesteście prawdziwymi miłośnikami sztuki nowoczesnej...

— No oczywiście! — zapewnił gorąco Atanazy. — W ogóle nie powinno istnieć nic poza sztuką nowoczesną.

— Ta poprzednia sztuka to w ogóle nie była sztuka — wtórowała mu Selene. — To było schlebianie najniższym gustom mieszczańskim!

— Haniebne schlebianie! — dodał Atanazy. — Schlebianie, które powodowało, że byle kto mógł z nią obcować i jeszcze być z tego zadowolony. — Student etnografii nie potrafił ukryć oburzenia.

— Macie absolutną rację — przytakiwał artysta Bryła. — Ale co tu robicie?

— Nie możemy się doczekać otwarcia wystawy Świtały! — oświadczyli niemal chórem studenci.

— Co?! — Instalator spojrział na nich zgorszony. — Zawiedliście mnie!

— Ale... dlaczego? — zapytała Selene.

— Czy mnie poznajecie? — Spojrział na nich dumnie i z góry, a potem odwrócił się profilem, bo uświadomił sobie, że tak częściej prezentował się na zdjęciach.

— Twarz jakby znajoma... — powiedział ostrożnie Atanazy. Był studentem drugiego roku, który jeszcze w klasie maturalnej wolał bujać się przy skocznych rytmach swojskiej odmiany country. Dopiero świeży związek z koleżanką ze studiów sprawił, że błyskawicznie zgłębiał arkana sztuki nowoczesnej. — Selene, podpowiedz.

— Chyba wiem — powiedziała studentka i nie kłamała, bo gdzieś już kiedyś rzeczywiście widziała twarz Bryły. — Ale tak do końca nie jestem pewna, więc nie chcę strzelać.

— No tak, mnie nie znacie, a wystawy tego ignoranta Świtały się nie możecie doczekać! A ja jestem przecież Bryła!

— Ach, Bryła! — krzyknęli niemal chórem, choć to nazwisko mówiło tylko sporo Selene, która dodała jeszcze od siebie: — Uwielbiam pana instalację!

— I chodzi pani na Świtale? — zapytał z lekką przyganą Bryła, bo jednak akt uwielbienia studentki etnografii nie pozwalał mu na głębsze potępienie.

— To przecież wybitny artysta...

— Nie! To schlebiający najniższym gustom drobnomieszczanin!

— No ale przecież... — Selene próbowała nieśmiało zaprotestować.

— Nie ma żadnego ale! Skoro ja mówię, że to schlebiający najniższym gustom drobnomieszczanin, to znaczy, że tak po prostu jest! Zawsze był taki, już nawet na studiach tak naprawdę chciał malować jelenie na rykowisku, a nie uprawiać prawdziwą sztukę.

— Chciał malować jelenie na rykowisku? — zapytał z niedowierzaniem Atanazy.

— Tak! Dopiero jak się zorientował, że można zarobić lepiej na instalacjach, to się na nie przzerucił. Ale to kompletne beztalencie i konformista.

— Konformista?! — pisnęła przerażona studentka etnografii, jakby właśnie się dowiedziała, że Świtale jest diabłem wcielonym.

— Absolutny, stuprocentowy konformista. I ta wystawa to najlepiej pokaże!

— To chyba nie powinniśmy na nią iść — stwierdził Atanazy.

— Zdecydowanie powinniście — zaprotestował artysta Bryła. — To jest nawet wasz obowiązek!

— Dlaczego? — zapytali zdeorientowani studenci.

— Bo im więcej osób przekona się na własne oczy, jaki to konformista i drobnomieszczanin, tym lepiej. — Artysta Bryła spojrział na zegarek. — No, muszę lecieć, robię nową fantastyczną instalację. Musicie koniecznie wpaść ją zobaczyć, będę ją pokazywał za miesiąc w Zachęcie, a nie w jakiejś podrzędnej galerijce. Zobaczycie, teraz nadchodzi mój czas i za miesiąc o Świtale nikt nie będzie pamiętał!

Artysta Bryła odszedł śpiesznym krokiem, pozostawiając studentów etnografii w konsternacji. Patrzyli przez dłuższą chwilę to na niego, to na siebie, to na zasłonięte okna galerii. W końcu Atanazy, który w większości kwestii polegał na zdaniu swojej partnerki, zapytał:

— I co ty o tym myślisz?

— Bryła to wybitny artysta.

— No ale ten Świtale...

— Być może Świtale przeszedł na drugą stronę. Musimy być czujni — powiedziała z groźną miną i dodała lekko zniesmaczona: — No ale ten Bryła to mógłby się jednak częściej myć. Bardzo nieładnie pachniał. Aż ciągle czuję ten smród w nosie.

Przypadek już od pierwszej chwili, gdy przekroczył progi galerii Alojzego Ćwiercki, miał wrażenie, że znalazł się w rajku konserwatysty. W odróżnieniu od progresywnych przybytków tego typu, gdzie często jedno dzieło miało zazwyczaj wokół siebie dużo pustej przestrzeni, tutaj w zasadzie nie było wolnego centymetra kwadratowego ściany. Na dodatek wyglądało na to, że umieszczone obrazy tworzą przepiękną kompozycję, będąc oknami do niezwykle harmonijnego świata tajemniczych leśnych ostępów, zachwycających swą zielenią; Krajiną Wielkich Jezior urzekających błękitem wody przechodzącej w stalowoszare barwy przed zbliżającą się burzą; bezkresnymi polami i łąkami pełnymi pachnących kwiatów.

Dlatego Jacek w pierwszej chwili kompletnie zapomniał, z jakiego powodu znalazł się w Konserwacji, bo tak nazywało się to miejsce. Z lubością usiadł na postawionym na środku fotelu i chłonął wszystko dookoła. Dopiero widok właściciela, dość korpulentnego i mimo

tego, że niewiele starszego od Przypadka, mocno już łysawego, wyrwał go z tej malowniczej kontemplacji.

— Pan tylko przyszedł pooglądać czy też coś kupić? — zapytał z sympatycznym uśmiechem Ćwiertka, bez żadnej sugestii zawartej w słowach.

— Szczerze mówiąc, nie przyszedłem ani po jedno, ani po drugie, ale myślę, że coś chyba jednak kupię. — Jacek z jeszcze większą uwagą zaczął przyglądać się porozwieszanym płótnom, szukając najlepszego dla siebie. — Tyle tu pięknych obrazów, że chciałoby się na nie ciągle patrzeć.

— Takie jest przesłanie mojej galerii. Sztuka ma sprawiać przede wszystkim przyjemność i dawać odprężenie. Życie jest za bardzo stresujące, żeby jeszcze sztuka miała tutaj coś do tego dokładać.

— Podobna mi się takie podejście. Pewnie dlatego został pan Wielkim Mistrzem Łoży Wielkiego Świtu.

— Pan jest dziennikarzem? — Ćwiertka spojrzał na Przypadka z zainteresowaniem, nie przestając się uśmiechać.

— Detektywem. Jacek Przypadek.

— To naprawdę pan?! — O ile właściciel Konserwacji był uśmiechnięty od początku wizyty detektywa, o tyle teraz kąciki jego ust zaczęły dotykać uszu. — Zawsze chciałem pana poznać. Musi mi pan koniecznie więcej opowiedzieć o swoich sprawach. Szczególnie tych ostatnich, bo wcześniej to jeszcze było więcej o panu w mediach, a teraz jakby mniej. A najwięcej o tych najnowszych. Jeśli pan to zrobi, podaruję panu jeden z tych obrazów! Może najpierw zrobię panu herbatę, od wczoraj cały czas siąpi, a pan tu pewnie przybiegł jak zwykle.

— Od jakiegoś czasu już nie biegam, ale jeżdżę na rowerze.

— Niewielka różnica, bo i tak pan przemókł.

— Dlatego herbaty napiję się bardzo chętnie. I opowiem panu o sobie bez darowania mi obrazu. Ale najpierw wołałbym, żeby pan odpowiedział na moje pytanie.

— Nie ma co gadać. — Ćwiertka machnął ręką. — Ja wiem, niektóre ludziska tak uważają. Ale jest jeszcze kilku innych potencjalnych kandydatów na Wielkiego Mistra, o których tak się mówi. Mogę podać panu ich nazwiska. — Właściciel galerii zaprosił Jacka na zaplecze, gdzie zajął się zaparzaniem herbaty.

— Może pan również podać prawdziwe nazwisko Wielkiego Mistra, bo pan go zna.

— A tego akurat nie mogę zrobić. — Ćwiertka się uśmiechnął, rozkładając bezradnie ręce. — Dobrze pan to wie.

— Jednak nie zaprzecza pan, że go zna i może wiedzieć, co ma aktualnie w planach.

— To też prawda, ale i w tej kwestii znakomicie pan wie, że nie mogę zdradzić tych planów.

— I nie może mi pan powiedzieć, czy jest zainteresowany najnowszą wystawą Świtały? — zapytał Jacek, wpatrując się w obraz, który stanowił jakby bramę do magicznego świata leśnych ostępów.

— Powiem tak, Wielki Mistrz jest zainteresowany każdą wystawą pana Świtały. A czy są z nią jakieś problemy natury kryminalnej, skoro się pan tym zajmuje?

— Na to pytanie to ja nie mogę udzielić panu odpowiedzi. — Detektyw się uśmiechnął, rozkładając ręce.

— Zatem zapowiada się, że odbędziemy bardzo interesującą rozmowę.

Właściciel Konserwacji miał całkowitą rację i dalsza część rozmowy przy herbacie z detektywem była absolutnie fascynująca. Żaden z interlokutorów nie mógł powiedzieć za dużo, ale ponieważ od pierwszej chwili darzyli się dużą sympatią, nie odmawiał dalszej rozmowy prowadzonej różnymi okrężnymi drogami. I wbrew pozorom każda ze stron, dzięki wrodzonej inteligencji i domyślności, dowiadywała się mniej więcej tyle, ile potrzebowała się dowiedzieć. Kiedy zaś Jacek Przypadek, przy wciąż padającym deszczu, odjeżdżał swoim rowerem sprzed galerii żegnany machaniem Alojzego Ćwierćki i zachętą do kolejnych odwiedzin, mógł sobie mruzczyć pod nosem:

— Teraz uśmiech znika z jego twarzy i wraca do galerii. Wygląda na wszelki wypadek, czy na pewno odjechałem. Jestem już wystarczająco daleko, żeby mógł sięgnąć po telefon. Dzwoni i rozmawia. Pewnie mówi coś w stylu: „Ćwierćka z tej strony. Możemy mieć kłopoty z tą wystawą w Rosta. Mówiłem ci, nie możemy przeginać. Przecież Rost nie jest idiotą, było jasne, że się zorientuje jeszcze przed wernisażem, że to inna instalacja”. Tak, ludzie są banalnie przewidywalni. Ci sympatyczni tak samo.

Jednak nawet Przypadek musiał uczciwie przyznać, że nie ma pojęcia, do kogo zadzwonił Alojzy Ćwierćka. A właściciel Konserwacji mrugnął porozumiewawczo okiem do autora, dając tym samym do zrozumienia, że zarówno on, jak i Czytelnicy będą musieli poczekać na rozwiązanie tej zagadki, bo on sam jej nie zdradzi.

Mecenas Jędrzej Sakowicz naprawdę nie miał pojęcia, w jaki sposób dał się przekonać żonie do odwiedzenia mieszkania syna w trakcie jego nieobecności. Zdawał sobie wprawdzie sprawę, że pani Helena posiada znakomite umiejętności perswazyjne, ale w gruncie rzeczy dość naiwnie wierzył, że jeśli on czegoś bardzo nie będzie chciał, to ona nie będzie go w stanie przekonać. I sam nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że znalazł się w tym miejscu.

A jeszcze bardziej nie mógł pojąć tego, że kiedy jego żona oświadczyła:

— Idziemy z Anią na zakupy, będziemy za godzinę — to on odparł:

— Oczywiście kochanie, poczekam tu na was.

— W razie kłopotów dzwoń.

— Ale jakich kłopotów? — zapytał nieco zdziwiony i nie mógł pojąć, dlaczego panie uśmiechnęły się tajemniczo.

Dopiero kilka chwil po tym jak wyszły, pojął całą groźbę sytuacji. Został sam na sam z dwumiesięcznym dzieckiem! Mały Jędrzejek wprawdzie spał, ale w każdej chwili mógł się przecież obudzić. A wtedy...

Mecenas Sakowicza aż przeszedł dreszcz na myśl, co wtedy by się mogło stać. Mógł wprawdzie zadzwonić do żony, ale zanim wróciłyby z synową z zakupów, mogła stać się jakaś tragedia. Obserwował swojego wnuka z bezpiecznej odległości i na ile to było tylko możliwe, wstrzymywał własny oddech, aby niechcący nie spowodować jego obudzenia. Każde zmarszczenie małej twarzyczki przyjmował z drżeniem serca, a ziewnięcie Jędrzejka doprowadzało go niemal do zawału.

Niestety pozostawanie bez ruchu spowodowało, że wkrótce zdrętwiały mu stopy. Potem nogi poniżej kolan. Następnie uda, a na koniec miał wrażenie, że cały jest jak sparaliżowany. Próbował to sprawdzić i wykonać jakiś ruch ręką i z przerażeniem stwierdził, że ta nie chce słuchać jego poleceń.

— O Boże, straciłem władzę w członkach — zamruczał pod nosem.

Chcąc się upewnić, czy tak rzeczywiście jest, postanowił machnąć nogą. Tu stwierdził, że jego dolna kończyna wykonała pewien nieznaczny, jednak wyraźny ruch. Rozochocony nakazał jej wykonać solidny wymach i to był jego błąd. Kopnął czubkiem buta w suszarkę, na której schły bodziaki Jędrzejka. Suszarka wywaliła się z hukiem na podłogę. W takiej sytuacji mecenas Sakowicz powinien zastygnąć w bezruchu, lecz ze względu na to, że trwał w tym stanie od dłuższej chwili i cały był zdrętwiały, to noga, którą udało mu się machnąć, nie była w stanie go podtrzymać. Po chwili podzielił więc los suszarki i runął jak długi.

Dopiero leżąc, mógł przestać się ruszać. Zamienił się cały w słuch, oczekując na reakcję wnuka. Ta w pierwszym momencie nie nastąpiła. Lecz kiedy pan Jędrzej miał już odetchnąć z ulgą, mały Jędrzejek wydarł się na cały regulator i był prawdopodobnie słyszany w promieniu kilkuset metrów, jeśli nawet nie kilometra.

Mecenas Sakowicz pomyślał, że za kilkadziesiąt minut, gdy jego żona z synową wrócą z zakupów, zastaną w mieszkaniu dwa trupy. A przynajmniej jednego, bo małe dzieci zwykle dawały radę wrzeszczeć nawet przez godzinę bez uszczerbku dla swojego zdrowia. On zaś na pewno tego wrzasku nie wytrzyma. Ale co zrobić, kiedy właściwie jest sparaliżowany i nawet nie może zatkać uszu?!

Nie wiadomo, czy to krzyk wnuka, czy nagły upadek sprawiły jednak, że pan Jędrzej odzyskał władzę w członkach. Zadowolony z tego faktu podniósł się i stanął nad płaczącym Jędrzejkiem. Ten go jednak nie zauważył i kontynuował swój wrzask w najlepsze.— Jak się, do licha, takie coś wyłącza? — burknął zdenerwowany pan Jędrzej. — Ej, mały, możesz być ciszej?

Mały nie miał najmniejszego zamiaru być ciszej. Nie pomagały kolejne prośby, grzechotanie zabawkami ani nawet próba zrobienia głupiej miny przez mecenasa Sakowicza, która prawdopodobnie rozbawiłaby największego ponuraka na świecie. Nic nie dawały też groźby w rodzaju braku prezentu na pierwsze, a następnie wszystkie kolejne urodziny. Ba, na małym człowieku nie zrobiła też wrażenia wyraźna deklaracja o nieułatwieniu przyjęcia na aplikację adwokacką po ukończeniu studiów, która przeraziłaby każdego potomka prawniczego klanu. Jędrzejek był niewzruszony. W końcu jego dziadek opadł bez sił i nawet ogromny wrzask malca jakby przestał go interesować.

— To nie jest mój wnuczek — mamrotał pod nosem. — No ale w końcu to przecież syn Błazeja. Lecz dlaczego wdał się w niego, a nie we mnie? Jakby był podobny do mnie, umilkłby po jednym moim słowie. A tak wrzeszczy i wrzeszczy. Co ja mogę jeszcze zrobić? Może... Nie, to głupie... A może to?

Pomysł, na jaki wpadł pan Jędrzej, mógł się wydawać dziwaczny. Na jego usprawiedliwienie możemy jednak powiedzieć, że odkąd jego syn wyrósł z pieluch, mecenas Sakowicz nigdy nie słyszał krzyku dziecka dłużej niż przez kilka sekund. Dlatego temu też można przypisać ten niezwykle fakt, że zaczął wnukowi wykładać... prawo rzymskie! A jeszcze bardziej niesamowite było to, że niemal po pierwszych słowach na ten temat mały Jędrzej ucichł. Zdumiony mecenas Sakowicz kontynuował więc swój wykład, a jego uśmiech zadowolenia powiększał się z każdą chwilą. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że kolejne pojęcia *ius romanum* sprawiły, że jego wnuk zaczął usypiać. Nie, z każdym następnym słowem najmłodszy potomek prawniczego klanu wpatrywał się z coraz większym zainteresowaniem, by nie powiedzieć zachwytem, w swojego dziadka. Szczególne wrażenie na maluchu zdawała się robić zwłaszcza łacina, którego to języka nigdy jeszcze nie słyszał, gdyż jego matka używała najwyżej jej kuchennej odmiany.

— Będą z ciebie ludzie. — Mecenas Sakowicz pokiwał głową, kończąc po pół godzinie wykład. — Jesteś prawdziwym Sakowiczem, który ma prawo we krwi. Muszę tylko pilnować, żeby ten twój ojciec cię nie popsuł. Tak, to był dobry pomysł, że zdecydowałem się tu zostać z tobą — zakończył, wypierając tradycyjnie ze swojej świadomości, że tak naprawdę po raz kolejny po prostu uległ swojej żonie.

Ewaryst Rost patrzył z nieukrywaniem wstrętem na instalację, która wciąż tkwiła w jego galerii. Robiło mu się niedobrze na samą myśl, że nie postawi ona oglądających w niewygodnej sytuacji, a nawet pozwoli w spokoju skorzystać ze swojego uroku, zbliżając się tym samym nieznośnie w stronę estetyki drobnomieszczańskiej i konserwatywnej. Najchętniej natychmiast usunąłby ją stąd, aby nie mogły jej ujrzeć oczy wielbicieli sztuki progresywnej i nowoczesnej. Tylko w zamian zostałyby tu puste ściany, których nie miałby czym wypełnić. A czas wernisażu Światały zbliżał się nieubłaganie.

— To co, ten Ćwierka jednak nie jest Wielkim Mistrzem? — zapytał zdenerwowany Rost siedzącego na instalacji Przypadka, który wciąż z wyraźnym rozbawieniem zdawał się przyglądać tej okropnej profanacji sztuki nowoczesnej.

— Myślę, że nie. Ale Wielki Mistrz już zapewne wie, że jestem zaangażowany w całą sprawę i jeśli to on za tym stoi, będzie chciał coś z tym fantem zrobić.

— A co on ma tu do robienia? Wszystko, co już mógł zrobić, to zrobił. — Gdyby nie jego gość, pan Ewaryst rozszłołaby się natychmiast z rozpacy.

— Tego nie jestem pewien.

— No a kto inny zrobiłby coś tak okropnego? — Marszand pokazał dłonią na instalację, nie będąc w stanie na nią spojrzeć.

— Niejaki Bryła.

— E, nie, Bryła nie dałby rady. — Rost machnął lekceważąco ręką. — On by nawet nie wiedział, jak zrobić coś przyjemnego w odbiorze.

— To nie jest aż takie trudne. Wystarczy lubić swoich odbiorców.

— Przyszedł pan do mnie, żeby się wymądrzać na tematy artystyczne czy żeby choćby spróbować rozwiązać zagadkę tej prawdopodobnie największej zbrodni w historii sztuki nowoczesnej?!

— Przecież właśnie próbuję się dowiedzieć, dlaczego nie pomyślał pan o Bryle, skoro to największy wróg Światały, który umarłby z radości, dowiedziawszy się o jego klęsce — odpowiedział Przypadek.

— Chociażby dlatego, że Bryła to safandula niezdolna do zorganizowania czegokolwiek. On nawet podobno do robienia swoich instalacji to zwykle musi jakiś sztab inżynierów zatrudniać, bo sam nie jest w stanie złączyć rurki z rurką. A Światała to przy nim fachowiec, niemal rzemieślnik. Nie, Bryła nie dałby rady nic zrobić. Co innego ci jajcarze ze Świtu Codziennego. Technicznie są bardzo sprawni, tylko brak im wyobraźni artystycznej.

— Ale zauważył pan, że Bryła przechadza się ostatnio często pod pana galerią?

— Naprawdę? — zdziwił się Rost, a Przypadek, zamiast odpowiedzi, rozsunął nieco storę i pokazał mu spacerującego nieopodal artystę. — No faktycznie, to on. Ale przecież jakby to zrobił, toby tu się nie pokazywał.

— Żeby obejrzeć swój tryumf? Czemu nie? Zwłaszcza że doszły mnie słuchy, że jest wyjątkowo pewien tego, że ta wystawa będzie klęską Światały.

— To akurat nic dziwnego. On od zawsze jest pewny, że każda kolejna wystawa będzie klęską Świtały. I po każdej mówi, że to była klęska.

— Ale media i krytycy się z nim nie zgadzają?

— Ma tam jakichś zaprzyjaźnionych, którzy mu wtórują. Ale tak ogólnie to nie.

— A na wernisażu Świtały będzie dużo takich ważnych osób?

— Trochę będzie. Ale wie pan, teraz dziennikarzom to już trzeba płacić za to, żeby się w ogóle o czymkolwiek zająknęli w gazecie. Jeszcze przyjsć, to czasem przyjdą, ale jak im jedzenie nie podpasuje i dowiedzą się, że kasy nie dostaną od galerii albo artyście za artykuł, to zjadą wystawę.

— A Bryła bywa na wernisażach Świtały?

— Chyba pan żartuje. — Rost spojrzął na Przypadka niemal rozbawiony. — To znaczy zaproszenia ma, ale musiałyby się świat skończyć, żeby się na czymś takim pojawił. I ci jego wazelinarze też nie przychodzą, tylko potem twierdzą, że byli na wystawie incognito i dlatego tak ją krytykują. Chociaż ich nikt w galerii nie widział... Idzie pan już?

— Pogadam sobie z panem Bryłą.

— Tylko niech pan szybko zamyka drzwi, żeby nie mógł tu zajrzeć! Jeszcze by tego brakowało.

Artysta Bryła z parasolem w rękę przechadzał się wciąż nieopodal galerii. W tej chwili traktował parasol bardziej jako laskę, bo po dwóch dniach przestało wreszcie padać, ale niebo ledwo zaczęło się przecierać. Gdy detektyw wychodził z galerii głównym wejściem, chciał nawet użyć go w charakterze zastłonki przed nieznanym, aby zachować incognito. Nie zrobił jednak tego, lecz przez chwilę stał trochę zdezorientowany, bo rzecz jasna bardzo chciałby zajrzeć do środka, ale z drugiej strony nie był pewien, kto opuszcza galerię. Twarz detektywa nic mu nie mówiła, a grono ważnych w tej branży osób, od których zależał podział prestiżu i środków, było raczej wąskie. Lecz sam fakt, że ten dziwny ktoś wychodzi głównym wejściem z galerii, gdzie wkrótce miał się odbyć wernisaż jego największego wroga, świadczył o tym, że ten gość jest kimś istotnym. Choć z drugiej strony strój kolarski, w jakim był, mówił coś odwrotnego.

— Dzień dobry panu — przywitał się Przypadek.

— Dzień dobry — odpowiedział mechanicznie artysta Bryła.

— Czekasz pan na coś?

— A co to pana obchodzi?! — Instalator odzyskał rezon.

— Bo może się okazać, że obaj czekamy na to samo.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— Pan tu chce zobaczyć klęskę swojego największego wroga.

Artysta Bryła niechętnie popatrzył na detektywa Przypadka.

— Może tak, może nie.

— A skąd pewność, że to będzie klęska?

— Bo to przecież kompletne beztalencie jest!!! — Bryła wrzasnął tak głośno, że zerwały się ptaki z okolicznych dachów.

— To wiedział pan zawsze, ale nigdy nie był chyba ciekaw, jak wyglądają dzieła tego beztalentia.

— I nadal nie jestem ciekaw. — Wzruszył ramionami. — Tak sobie tylko tędy przechodziłem. I już idę.

— Ale myślę, że jednak na wernisaż pan wpadnie.

— Skąd pan wie!? — Bryła otworzył usta ze zdziwienia.
— Mówią, że jestem jasnowidzem.
— Aha, jasnowidzem. — Instalator pokiwał głową z uznaniem.
— Tak. I też widzę, że ta wystawa będzie klęską.
— Naprawdę!? — Ręce artysty zaczęły drżeć, jakby mu ktoś obiecał przekazanie cudownego lekarstwa na wieczną młodość.
— Tak. Tylko może być problem z tym, że nie będzie za dużo krytyków i dziennikarzy, bo Rost chce oszczędzić na jedzeniu.
— To sknera! Ale proszę się nie martwić, panie jasnowidzu, już ja się postaram, żeby byli tu wszyscy, którzy mogą!

Pani Felicja Przypadek z niedowierzaniem patrzyła w ekran swojego laptopa. Przypomniały jej się dawne czasy, kiedy ze skrzynki na listy wyjmowała grzeczne, by nie rzec kurtuazyjne, odmowy wydania jej kolejnych utworów złożonych w wydawnictwach. Teraz czasy się nieco zmieniły, korespondencja z papierowej zmieniła się w elektroniczną, ale przecież gdy niecały rok temu rozsyłała *Detektywa w meloniku*, to też doczekała się ledwie dwóch odmownych maili. A teraz miała na ekranie laptopa trzecią już od wczoraj wiadomość, której nadawca informował ją:

„Szanowna Pani Przypadek, jesteśmy zainteresowani wydaniem pani książki *Melonik na wieszaku*. Prosimy o kontakt w celu ustalenia szczegółów współpracy. Pozdrawiam serdecznie...”

A dziś jeszcze przecież dzwoniли z wydawnictwa, w którym ukazał się *Detektyw w meloniku*, że wprawdzie w pierwszej chwili nie wiedzieli, czy zdecydują się na kontynuację, ale teraz już wiedzą i chętnie wydadzą.

— I co ja mam teraz zrobić? — zastanawiała się pani Felicja. — Przecież zawsze miałam do wyboru co najwyżej jedną opcję. To jasne, muszę ich wszystkich zapytać o warunki, ale jak mi odpowiedzą, to muszę się zdecydować. Ale jeśli wszyscy proponują takie same warunki? Jak negocjować i podpisać? Może poproszę Fryderyka? — Pomyślała o byłym mężu. — W końcu ma kancelarię i mógłby się przydać. No tak, ale tam pracuje ta jego nieślubna córka i ja sama raczej nie mam ochoty go widzieć. To kto mi może pomóc? Przecież chyba nie mogę poprosić o pomoc Jacka...

Wspomnienie syna sprawiło, że nie mogła się powstrzymać, aby nie wstać i nie pójść do jego dawnego pokoju. Zresztą słowo „dawnego” nie było tu specjalnie na miejscu. Tak, to prawda, nie mieszkał tu już prawie dziesięć lat, ale wciąż to miejsce było właściwie nietknięte. Jakby wyprowadził się najwyżej przed tygodniem. Na początku zmiany czegokolwiek zabronił Fryderyk, mówiąc:

— Zobaczysz, nie da sobie rady. Wróci do domu z podkulonym ogonem, bo nie będzie w stanie zarobić na życie. W ogóle nie da rady samodzielnie funkcjonować bez obiadków mamusi.

Ale kiedy w końcu się okazało, że Jacek ani nie ma zamiaru wrócić do domu, ani kontynuować studiów prawniczych, żeby objąć po ojcu kancelarię, pan Fryderyk chciał, aby natychmiast zabrał swoje rzeczy. Wtedy jednak zaprotestowała pani Felicja. Wprawdzie pogodziła się z tym, że syn już jest dorosły i nie wróci w domowe pielesze, ale miała nadzieję, że ten pokój będzie sprawiał, że częściej będzie ją odwiedzał i chętniej na dłużej

zostawał. I nawet miała chyba trochę racji. Lecz teraz już od kilku miesięcy ani tu nie był, ani nawet go nie widziała...

Sama zresztą tego chciała. Po tym, co zrobił, nie mogła postąpić inaczej. Przynajmniej tak jej się wtedy wydawało. Ale potem powoli zaczęła zmieniać zdanie. Chyba najmocniej dało jej do myślenia to spotkanie z tym sympatycznym pisarzem na targach książki, który przekonywał ją, że Jacek po prostu zrobił dobry żart, zmuszając jednego z wydawców do opublikowania jej książki, a recenzentów do pochlebnych o niej opinii. Dzięki temu sprzedała przecież już prawie sto pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy i stanęła mocno finansowo na nogi, co nie było łatwe. Całe życie była na utrzymaniu męża. A teraz wreszcie mogła się poczuć jak niezależna kobieta.

— A może to znówu on? — Przyszło jej nagle do głowy. — Może to znów Jacek stoi za tym zainteresowaniem tych wydawców? Nie, chyba nie zrobiłby mi tego drugi raz. Przecież wyraźnie mu zabroniłam mieszać się w moje sprawy. Ale czy ktoś taki jak on w ogóle słucha kogoś poza samym sobą? Przecież taki był zawsze. Kochał mnie i chronił na swój sposób. Starał się, żebym się nie dowiadywała o wyskokach Fryderyka. I z Marzeną też chyba udawali to swoje narzeczeństwo, żeby mnie nie martwić, że jest sam i wciąż nie może się podnieść po śmierci Basi. A co teraz u niego? Jak sobie daje radę? Mógłby się odezwać. No dobrze, zabroniłam mu tego, ale tyle razy się mnie nie słuchał, że tym razem też mógłby nie posłuchać.

Pani Felicja usiadła na dawnym ulubionym fotelu Jacka i zaczęła się zastanawiać, pod jakim pretekstem mogłaby go odwiedzić. Przyznanie się do tego, że w gruncie rzeczy za nim tęskni i chce się spotkać, nie wchodziło w grę. To co? Może... Nie, to bez sensu... A może... Nie, tak też wyjdzie głupio. Zresztą on i tak się domyśli, po co do niego przyszła. Zawsze taki był, wszystkiego się domyślał i nie było na niego żadnej siły.

— A może melonik?! — wykrzyknęła, podskakując na fotelu.

Melonik był własnością Jackowego pradziadka, jego imiennika. Ten poprzedni Jacek Przypadek był pierwowzorem jej bohatera, detektywa w meloniku. A nawet jej zdaniem tak naprawdę był pierwowzorem detektywa Poirot, bo w starych, rodzinnych dokumentach wiele wskazywało na to, że Agata Christie, będąca w Polsce incognito tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, poznała ich przodka. Ten melonik zabrał Jacek ponad rok temu, gdy jego działalność się rozkręcała. Teraz powinna zażądać jego zwrotu, bo jest jej potrzebny... dla natchnienia!

— Tak, to świetny pomysł — ucieszyła się, ale jej radość szybko zgasła. — Chociaż nie, to bez sensu. Napisałam dwie części bez tego melonika, to po co mi nagle przy trzeciej? A może by... Tak, to może być to! Chyba mam to prawo wiedzieć i się niepokoić!

Przypadek już z daleka czuł, że ta kobieta chce zagrozić drogę jego pojazdowi. Stanąwszy obok ścieżki rowerowej, którą na swoim pojeździe podążał detektyw, wpatrywała się w niego. Miała półdługie włosy i okulary. Mina marsowa, groźna, ale taka raczej w typie rasowej polonistki, która sprawiła, że autor w tym fragmencie postanowił użyć maksymalnie dużo imiesłówów przysłówkowych, zaniedbywanych ostatnio w naszym rodzinnym języku. Nie wyglądała na kogoś, kto chce zrobić krzywdę Jackowi. Jednak w jej spojrzeniu było coś tak władczego, że Przypadek, zwolnniejszy na długo przed tym, gdy do niej dojechał, dotoczył się powoli. A zatrzymawszy się, milczał. Ona także nic nie mówiła. I tak oboje stali, przypatrując się sobie z ciekawością.

— Chciał mnie pan poznać — odezwała się w końcu kobieta.

— To raczej pani chciała poznać mnie. — Stojąc naprzeciwko niej, poczuł, że jego rozmówczyni używa piżmowych perfum. — Gdyby chęć była wyłącznie po mojej stronie, byłoby mi ciężko doprowadzić do spotkania z polskim Banksym.

— Nie lubię tego określenia — odpowiedziała, uśmiechnąwszy się uprzednio. — On jest twórcą, zresztą świetnym, a ja tylko prześmiewcą. A łączy nas jedynie to, że nikt nie wie, kim jesteśmy.

— Teraz już wiem ja. To miłe, że oszczędziła mi pani pracy, Wielki Mistrzu Łoży Codziennego Świtu.

— Jest pan przecież genialnym detektywem — roześmiała się, a jej śmiech prawdopodobnie było słyhać bardzo daleko. — Poradziłby pan sobie, kwestia czasu. Nawet nie musiałam mówić, kim jestem, a pan to już wiedział. Ale tak w ogóle to Basia Moniuszko jestem. — Postąpiwszy krok w jego stronę, wyciągnęła dłoń na powitanie.

— Jacek Przybadek.

— Ma pan rację, bardzo chciałam pana poznać. I to nie tylko teraz, ale właściwie od zawsze, kiedy pierwszy raz przeczytałam o pana przygodach. Uwielbiam, jak gra pan na nosach tym wszystkim waśniakom. A jeszcze usłyszawszy, co pan zrobił na tym wernisażu Łabudy, to właściwie się w pana zakochałam. — Ponownie roześmiała się tak głośno, że nawet pędzący rowerzyści przystawali, żeby sprawdzić, czy czasem wiatr nie pozbawił ich spodni i majtek i nie jadać teraz bez nich, wzbudzając powszechną wesołość. — Musi mi pan kiedyś o tym coś więcej opowiedzieć. I o tym numerze z obrazami jako łapówkami. Naprawdę mogę sobie tylko wyobrazić, jakie miały miny te nadęte bufony, dowiedziawszy się o tym całym przekręcie — rozmarzyła się, jakby była łasuchem mówiącym o pysznych słodkościach. — Pewnie umarłabym ze śmiechu, a ze mną, usłyszawszy go, wszyscy inni. Bo chyba zauważył pan, że mam taki głośny śmiech? Mówią, że jest dość zaraźliwy, więc nawet te snoby by się mogły nie oprzeć. Ale czy ja za dużo nie mówię? Bo niektórzy twierdzą, że ja za dużo mówię. Mnie się wydaje, że nie za dużo. A pan jak sądzi? Zresztą nie ma sensu, żebym pytała, pan jest dżentelmenem, więc nie powie mi nic niemiłego. A w ogóle pewnie zupełnie inaczej wyobrażał pan sobie Wielkiego Mistrza Wielkiej Łoży Świtu Codziennego?

Jacek w pierwszej chwili nie odpowiedział na pytanie Barbary Moniuszko, będąc pewnym, że zacznie mówić dalej, ale gdy cisza trwała już całe trzy sekundy, zdecydował się odezwać.

— Powiedzmy. To co chce mi pani powiedzieć?

— Wydawało mi się, że to raczej pan chce mnie o coś zapytać. Ćwiertka nie mógł panu zbyt wiele zdradzić. Sam pan rozumie, tajemnica, nikt nie wie, kim jestem. Ale uznawszy wspólnie, że pan i tak się tego dowie, więc nie ma sensu tego dłużej ukrywać, postanowiłam się z panem zobaczyć.

— A co pani może mi zdradzić?

— Też niezbyt wiele. Zasadą naszego działania jest niezdradzanie zbyt wiele. Tylko dzięki temu możemy się przeciwstawić tym wszystkim idiotom od sztuki nowoczesnej, którzy opanowali rynek w Polsce, szarogęsili się na nim od wielu lat.

— Nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.

— Wie pan, niby tak, ale mam wrażenie, że u nas ten idiotyzm jest większy. Że tam jednak bardziej cenią prawdziwych rzemieślników, a u nas to szkoda gadać — powiedziała z rozżaleniem.

— Dlatego wzięła się pani za walkę ze Świtałą?

— On jest tylko symbolem. Zaczynając naszą działalność, zastanawialiśmy się, w kogo walnąć najpierw. A on był najgłośniejszy i najdrożej sprzedawał te swoje dzieła. A tak w ogóle to kiedyś był dobrze zapowiadającym się artystą, ale nikt go nie chciał kupować. Dopiero sprzedawszy duszę diabłu, zaczął tworzyć te swoje durne instalacje i inne tak zwane dzieła sztuki.

— A pani zrobiła sobie sposób na życie z ośmieszania jego twórczości?

— Nie tylko jego, przecież pan wie. Ale nie wiem, czy długo jeszcze pociągnę. Obśmiewanie sztuki nowoczesnej jest tak banalnie łatwe, że stało się już naprawdę nudne. Może jeszcze tylko jeden raz, może dwa.

— A ten jeden z ostatnich razy będzie na najnowszej wystawie Świtały?

— Może tak, może nie. — Moniuszko, roześmiawszy się głośno, umilkła dość nagle. — Już panu powiedziałam, że nie mogę ujawniać zbyt dużo o naszej grupie.

— A czy może mi pani powiedzieć, jaka była pogoda, gdy zadzwonił do pani pan Ćwierotka w mojej sprawie.

— Jaka była pogoda? — Moniuszko zamrugła oczami, spojrzawszy na Jacka ze zdziwieniem.

— Tak. To chyba nie jest trudne pytanie.

— Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Chyba świeciło słońce — powiedziała ostrożnie, patrząc uważnie na Przygadka, ale mina detektywa niczego nie zdradzała, a on sam zapytał tylko:

— Jest pani pewna?

— Tak, świeciło słońce, tak jak dziś. A to ważne?

— Nawet bardzo. Już nic więcej nie muszę wiedzieć. To co, widzimy się na wernisażu Świtały?

— Nie powiedziałam, że tam będę. — Moniuszko się uśmiechnęła. — Na pewno nie oficjalnie.

— To proszę chociaż przekazać panu Ćwiertku, że warto wpaść.

Jack odjechał, a autor, odetchnąwszy z ulgą, że używszy tak wielu imiesłówów przysłówkowych, prywatnie przez niego uwielbianych, nie będzie musiał już z nich tak obficie korzystać, zabrał się za ciąg dalszy tej historii.

Bartosz Fifka miał dzisiaj bardzo pracowity dzień. Najpierw nagranie ważnego literata zatroskanego kierunkiem, w jakim zmierza świat współczesny. Potem jeszcze montaż z premiery kolejnego istotnego dla polskiej kultury przedstawienia teatralnego, demystyfikującego jej najważniejsze mity. Wreszcie spotkanie z przyjaciółmi w bardzo drogiej restauracji, w której lepiej było nic nie jeść, żeby nie narazić się na zawał serca po otrzymaniu rachunku. Dlatego też, gdy przybył wieczorem na wernisaż pewnego młodego, ponoć obiecującego artysty, od razu po wejściu podszedł do stolika z poczęstunkiem i krytycznym wzrokiem spojrzął na to, co się na nim znajdowało:

— Nie postarali się, oj nie postarali — zamruczał pod nosem. — Nawet na porządną kawior się nie zrzucili. A to wino to pewnie jakiś sikacz. — Pokręcił niezadowolony głową i nałożył sobie na talerz jak największą porcję przygotowanego jedzenia i wziął do ręki duży kieliszek.

Upił łyk i rozejrzał się po gościach wernisażu wystawy tego... no jak mu tam... Nie mógł sobie przypomnieć. Zresztą to nieistotne, to jakiś młodziak, na razie nie warto pamiętać jego nazwiska. Może jak się wybije, to się to zmieni.

Bartosz Fifka stał przez chwilę, napychając sobie usta jedzeniem, o którym nie miał najlepszego zdania, i popijając winem, o którym miał jeszcze gorszą opinię. Zauważył, że dwie grupki krytyków sztuki, piszących do różnych opiniotwórczych periodyków, stoją osobno, zerkając łąkomie w jego stronę. Każda z nich byłaby bardzo zadowolona, gdyby podszedł akurat do nich. Gdyby zaś wybrał tę drugą, zaczęliby wieszać na nim psy i szeptać, że sięgnął dna i nie warto z nim rozmawiać. Mógł się tym specjalnie nie przejmować, ale z drugiej strony wyznawał zasadę, żeby żyć dobrze z każdym i każdemu w razie potrzeby szepnąć miłe słówko. Dlatego wołał postać sam i czekać na inicjatywę z ich strony.

Fifka nie był typowym krytykiem sztuki, choć uważał się za jej znawcę. W Ekstra TV obsługiwał odcinek kultury, czasem sięgając po celebryckie frukty przy prowadzeniu programów o bardziej ogólnej tematyce. Z tego powodu był osobą niezwykle pożądaną na wszystkich wernisażach, premierach ambitnych sztuk, performansach i tym podobnych.

— Witam pana redaktora. — Usłyszał nagle obok siebie Bartosz i odwrócił się w stronę mówiącego, który tak jak on miał sporo jedzenia nałożone na talerzyk. — Ależ dają tu podłe żarcie. Nie wróżę młodziakowi dobrych recenzji. — Artysta Bryła się uśmiechnął.

— Nie no, prace wydaje się mieć całkiem ciekawe — odpowiedział wymijająco dziennikarz, patrząc na porozwieszane płótna różnej wielkości, na których nawet dzięki tytułom trudno było zgadnąć, co artysta miał na myśli.

Fifka zaś wołał nie wypowiadać się ostatecznie, dopóki nie pogada z właścicielem galerii i nie usłyszy jakiejś w miarę konkretnej propozycji za wyrażenie swojej opinii w związanych ze sobą mediach.

— Może nawet bym sobie nabył jakiś obraz?

— Pan redaktor jak zawsze dowcipny. — Bryła uśmiechnął się przymilnie. — Ale znam miejsce, w którym się będzie można jeszcze lepiej pośmiać.

— Tak? Gdzie?

— Na nowej wystawie Świtały.

— Aha — mruknął wieloznacznie Fifka, który doskonale przecież wiedział, jak wielka niechęć dzieli obu artystów. W odróżnieniu jednak od większości krytyków nie zajmował wyraźnego stanowiska w tym sporze. Prace obydwu twórców były mu tak samo obojętne. No, może trochę bardziej lubił Świtałę, bo ten mógł zażądać wyższe ceny za swoje dzieła.

— Widzę, że pan redaktor mi nie dowierza. Radzę wpaść za tydzień do galerii Rosta, on zawsze bardzo dba, żeby było coś porządnego do zjedzenia.

— Mam wtedy trochę inne plany.

— Naprawdę warto z nich zrezygnować. Tyle śmiechu co tam będzie, to nawet na najlepszych komediach nie było.

— A tak konkretnie, z czego się będzie można pośmiać?

— No jak to, z czego? Z tej jego niby-twórczości.

— Ja wiem, że nie przepadasz za jego instalacjami, ale...

— Mój gust nie ma tu nic do rzeczy. Czarno na białym wszyscy zobaczą, jakie śmieszne rzeczy on tworzy! Ja naprawdę nie rozumiem, jak ktoś go może jeszcze nazywać artystą pejoratywnym. W jego twórczości nie ma nic pejoratywnego! I nigdy nie było! A teraz to już szczególnie. Same pozytywy!

Fifka uważnie przyjrzał się Bryle. Dla dziennikarza było coś niepokojącego w pewności siebie artysty. Przecież musiało zdawać sobie sprawę z tego, że czy dzieło Światały jest dobre, czy nie, decydować będzie grono krytyków, a nie samo owo dzieło. To skąd u niego to przekonanie? A może już całkiem ześwirował i nienawiść odjęła mu rozum? To w sumie nie byłoby nic dziwnego. Chociaż nie. Bryła był jednak artystą starszej daty. Tacy jeszcze preferowali alkohol, po narkotyki sięgając z rzadka, i w zasadzie zawsze upijał się na agresywnie. Ale nie pił przesadnie dużo, więc chyba szaleństwo mu nie groziło.

— To pewne? — zapytał Fifka.

— Absolutnie. Rozmawiałem z kimś, kto... widział dokładnie te jego nowe instalacje. Żadnych ciekawych pytań w nich nie ma, nie stawiają odbiorcy w niewygodnej sytuacji, tylko wprost przeciwnie, czysty konformizm. I to w najgorszej postaci. Wszystko wygodne i cacy!

— No to może rzeczywiście warto się tam przejść?

— Absolutnie, panie redaktorze. — Bryła podskoczył z radości. — Absolutnie warto! To ja już nie przeszkadzam, kolega mnie woła. — Artysta odszedł w kierunku krytyka, znanego z tego, że należał do stronnictwa jego wielbicieli i popleczników w konflikcie ze Światałą.

„Fatalne to żarcie — pomyślał Fifka. — Tak, Rost zwykle dobrze karmi, można by się do niego wybrać na wernisaż tego Światały. Skoro nawet Bryła zaprasza? To chyba pierwszy raz w historii świata coś takiego... Ciekawe, co Światała tam takiego zrobił, że Bryła jest taki pewny swego? Dziwna historia. Ale tak czy owak, może faktycznie będzie z tego jakaś sensacja? Lepiej, żebym tam też się zjawił bez żadnej kamery, bo jeszcze się nagra coś niepotrzebnego. A jak będzie coś wartego uwagi, to zwyczajnie to opiszę albo się później zrobi materiał do telewizji”

Malwina wprowadziła się do Jacka tylko z plecakiem, z którym podróżowała po Azji. Potem jeszcze ściągnęła do mieszkania detektywa trochę rzeczy, które zostawiła przed wyjazdem u znajomych. Parę drobiazgów, szczególnie ubrań, nabyła po powrocie. Z zakupami na nowe mieszkanie się wstrzymywała, żeby nie robić sobie kłopotu z ich przenoszeniem. Ale i tak wiedziała, że oprócz plecaka będzie musiała użyć sporej walizki. Tej, którą trzymała w ręce, gdy Jacek wpuszczał ją w tej chwili do mieszkania.

— Wprowadzasz się? — zapytał ironicznie detektyw.

— A co, ty masz zamiar się stąd wyprowadzić? — zapytała prowokacyjnie.

— Źle nam tu razem?

— Tobie pewnie całkiem dobrze.

— To prawda. — Zadowolony detektyw pokiwał głową. — A ty zawsze byłaś praktyczną kobietą. Jak znam życie, ta zaliczka z wydawnictwa nie starczy ci na zbyt długo, a zanim będziesz miała pieniądze ze sprzedaży, to minie i rok. A tu za nic nie musisz płacić...

— Mam pracę.

— Wracasz do zawodu?

— Nie. Dziennikarstwo schodzi na psy, coraz gorzej za to płacą. Znajoma załatwiła mi rozmowę o pracę jako rzecznicz prasowy. Spokojna robota, dobrze płacą.

— Ty nie lubisz spokojnej roboty, w której dobrze płacą. — Jacek spojrzał na Malwinę podejrzliwie.

— Błąd, panie detektywie. Nie lubiłam. Ale też się powoli starzeję i zaczynam doceniać inne rzeczy...

Przypadek chciał zapytać o coś jeszcze, ale w tym momencie odezwał się domofon.

— Słucham.

— Mistrzu, ja w sprawie Światały. — Przypadek usłyszał w słuchawce głos Saganka.

— To wejść. — Detektyw nacisnął przycisk otwierania drzwi.

— Nie mogę, mistrzu. W głowie mi się dzisiaj kręci, nie dam rady wejść po schodach.

— Dobrze, poczekaj, zjeżdż zaraz.

Kiedy tylko Przypadek zobaczył przed wejściem do kamienicy przy Koneckiej 40 wykluczonego mieszkaniowo właściciela orlego nosa, nie miał wątpliwości, że przynosi on naprawdę ważne wiadomości. Świadczyła o tym niezwykle ważna mina Saganka i jego próba zachowania równowagi, co wobec ciągłego kręcenia w głowie nie było rzeczą łatwą.

— No więc tak, mistrzu — rozpoczął bezdomny. — Tego Światałę rzeczywiście nie jest łatwo namierzyć. Taki jeden, co butelki zbiera obok jego domu, mówi, że on tak ma, że po prostu pewnego dnia wychodzi i znika. Zaczyna najczęściej od najbliższego sklepu z wyrobami monopolowymi. Kupuje pół litra i szuka kogoś do wypicia. Ale to wcale nie jest takie łatwe.

— Dlaczego?

— Bo inni ludzie się go wtedy boją. Podobno już po paru kieliszkach potrafi z łapami wyskoczyć. Więc jak ma wystawę, to go wszyscy unikają. Tak się zalił przynajmniej temu mojemu znajomkowi, co tam te butelki zbiera. Ale z kolei jak jest trzeźwy, to z nami się nie napije, bo jeszcze mu śmierzimy. Dlatego chodzi i szuka okazji, ale i tak podobno zwykle pierwszą flaszkę robi sam. No a przy drugiej znajdzie jakiegoś kompana, bo już nie jest taki wybredny, i przysiada się do nas.

— Czyli namierziliście go?

— Oj, mistrzu, to naprawdę nie było łatwe. My też nie lubimy pić z takimi, co to na agresywnie się robią. Zwłaszcza że ten Światała to kawał chłopa jest i niezłą ma krzepę, więc jakby człowieka walnął butelką, to ciemna mogiła. Dlatego posłaliśmy Kikuta, on takich jakoś ogarnia, bo też potrafi przywalić. Ale tym razem nie dał rady i powiedział, że mu mistrz wisi ekstra piąta za to limo pod okiem, co ma.

— Czyli go znaleźliście?

Saganek tak bardzo obruszył się obcesowym pytaniem Jacka, że stracił równowagę i tylko pomocy detektywa zawdzięczał, że nie upadł na ulicę. Gdy tylko już złapał pion, oświadczył z oburzeniem:

— No, mistrzu, to nie jest takie proste powiedzieć „znaleźliście go”. To była niewiarygodnie niebezpieczna misja, w której w każdej chwili narażaliśmy swoje życie.

— Ty również narażałeś?

— Absolutnie tak. Nie widać?

— Powiedzmy, że dowody nie są jednoznaczne.

— No co mistrz? — Saganek się obruszył. — Nawet nie ma mistrz pojęcia, jak bardzo się bałem do niego podejść z tą flaszką. Specjalnie kupiłem coś lepszego, o tu mistrz ma rachunek. — Sięgnął do kieszeni. Wyjął stamtąd świstek papieru i podał go detektywowi.

— To bilet kolejowy do Poznania.

— Do Poznania? — zdziwił się Saganek i odebrał Przypadkowi świstek papieru. — To nie może być bilet do Poznania, bo ja w życiu nie byłem w Poznaniu. — Zaczął przetrząsać kieszenie, ale nic tam nie mógł znaleźć. — No daję słowo mistrzowi, że gdzieś go tutaj miałem. Najdroższą wódkę z mango kupiłem!

- Pogońił cię z nią?
- Jakby mistrz przy tym był. — Pokiwał głową zdumiony właściciel orlego nosa.
- To ci wierzę. — Jacek postanowił przyspieszyć uzyskiwanie informacji, dlatego uznał, że lepiej samemu dedukować niż wypytywać Saganka. — Ponieważ jesteś cały i zdrowy, to znaczy, że nie rozbił tej flaszki na twojej głowie...
- Ale to nadal była bardzo niebezpieczna misja.
- Nie wątpię. Artyści wolą czyste alkohole, bez udziwnień, na których sam widok robi się niedobrze. Ale jak był już nieźle pijany, to mógł zacząć popadać w taki bardziej melancholijny nastrój i wzruszył się twoim darem i zaproponował coś ze swoich zapasów. Sądząc po twoim stanie, piłeś z nim wczoraj po południu, bo jak się dziś obudziłeś, to leczyłeś kaca dwoma, góra trzema piwami. Ktoś go od ciebie przejął, najpewniej Koziółek. W sumie dobry wybór, bo jego dziecięca naiwność mogła na Świtałę podziałać łagodząco i dał się zaprowadzić, gdzie trzeba. Ale głowę ma z kolei słabą, więc długo go nie utrzymał i musieliście na niego wystawić zawodnika wagi ciężkiej. Profesora?
- Właśnie tak, mistrzu. Ale musi się mistrz spieszyć. Profesor może długo nie utrzymać swojej pozycji.

Świeżo upieczony aspirant sztabowy Smańko patrzył z niepokojem na swojego przełożonego. Widział go już w najróżniejszych humorach. Od euforycznych po niemal depresyjne, kiedy sprawa okazywała się skomplikowana, a przestępcy wymykali się im. Bywał spokojny i opanowany, kiedy po nitce zmiierzali do kłębka, i wściekły, kiedy nic do siebie nie pasowało. Lecz teraz przecież świeżo rozwiązali zagadkę napadu rabunkowego, bandyci byli aresztowani, dowody przygważdżające i nawet prokurator ich pochwalił i powiedział, że najlepszy adwokat niewiele pomoże oskarżonym. No po prostu wzorcowo rozwiązana sprawa. Tak jak dawniej, w czasach, w których jeszcze nikt nie słyszał o Przypadku!

A tymczasem komisarz Łoś nie cieszył się mimo sukcesu. Nie, nie był również smutny. Wpatrywał się jedynie refleksyjnie w okno z rękoma zarzuconymi za głowę, wygodnie rozparty w swoim fotelu. Nie odzywał się już ponad pół godziny. Ktoś mógłby sądzić, że Łoś nad czymś rozmyśla, ale Smańko wiedział, że tak nie jest. Bo gdyby tak było, komisarz intensywnie nakręcałby swojego węża na palec wskazujący prawej dłoni, czego w tej chwili nie robił.

— Pewnie się zastanawiacie, Smańko, co ja tak siedzę? — odezwał się niespodziewanie Łoś, nie odrywając wciąż wzroku od szyby.

— Nie, skądże.

— Zastanawiacie się, Smańko. Przecież widzę to wyraźnie, że się zastanawiacie. — Komisarz przestał w końcu patrzeć w okno i przeniósł wzrok na aspiranta sztabowego. — Powiem wam, Smańko, co ja tak siedzę i gapię się w okno. Robię to, bo nic mi się nie chce. — Łoś pokiwał smutno głową, rozkładając bezradnie ręce.

— Ale dlaczego, panie komisarzu? Przecież taki sukces pan odniósł.

— No i co z tego, że sukces? Przecież niejeden już mam na koncie w swojej karierze.

— I jeszcze na pewno niejeden pan komisarz osiągnie.

— Otóż nie, Smańko. Pewnie już żadnego nie osiągnę.

— Dlaczego?

— Bo czuję, że się kompletnie wypaliłem — oświadczył Łoś i Smańko był pewny, że jego przełożony jest absolutnie szczerzy. Uważał jednak także, że oczekuje na zaprzeczenie z jego

strony, dlatego pospieszył z nim.

— Pan komisarz wypalony? Niemożliwie. Wzorcowo rozwiązana sprawa, pochwała od prokuratora i inspektora Zasady...

— I co z tego? Co to zresztą za sprawa? Zwykły napad rabunkowy. Banał. Rozwiązać i ziewnąć z nudów, to jedyne, co można z tym śledztwem zrobić — powiedział komisarz i dla potwierdzenia swoich słów ostentacyjnie ziewnął. — O, podobno Przypadek ma kolejną ciekawą sprawę.

— Skąd pan komisarz to wie? — zapytał zaniepokojony Smańko. — Przecież inspektor Zasada zabronił nam się interesować jego sprawami.

— Nie muszę się interesować, żeby wiedzieć, że na pewno prowadzi jakieś ciekawe śledztwo. On zawsze ma takie. Nie to co my. Nuda i rutyna. Procedury, przepisy i w ogóle. — Szczególnie to „w ogóle” zabrzmiało pogardliwie.

— Taką mamy pracę.

— No przecież wiem, Smańko. Ale ja już nie chcę mieć takiej pracy.

— Ma pan zamiar zacząć znów współpracować z Przypadkiem?! — Smańko przetłknął ze strachu ślinę.

Wprawdzie jeśli komisarz chciał popełnić samobójstwo, to była to jego sprawa, ale aspirant sztabowy doskonale wiedział, czym to grozi jemu samemu.

— Spokojnie, Smańko, nie denerwujcie się. Myślę po prostu o przejściu na emeryturę. Nadkomisarza to się już na pewno nie dostuję, swoje lata mam, zdrowia też już tu sporo straciłem. A jak mam dalej rozwiązywać takie banalne sprawy jak ten napad rabunkowy, to mi się najzwyczajniej w świecie nie chce.

— Ale może nie ma się co spieszyć, panie komisarzu? — zaproponował zupełnie szczerze aspirant sztabowy. Od zawsze bardzo się cieszył z tego, że pracował z Łosiem. Wiedział, że wszystko, czego się nauczył, zawdzięczał jemu. I miał nadzieję, że jego szef odejdzie z pracy dopiero wtedy, kiedy Smańko będzie u progu awansu na podkomisarza.

— Nie ma tu na co czekać, Smańko. W policji już mnie nic dobrego nie czeka.

— No ale co dobrego czeka pana komisarza poza policją? Przecież jest pan cały czas jeszcze młody, to nie będzie pan siedział cały dzień w domu i gapił się w okno.

— Jak widzicie, Smańko, całkiem mi to dobrze idzie. — Łoś uśmiechnął się pod wąsem. — Zresztą coś tam do roboty na pewno sobie znajdę.

— Ale co, w jakiejś agencji ochroniarskiej? Przecież to jeszcze nudniejsze.

— A co byście powiedzieli na to, gdybym się zatrudnił w jakiejś agencji detektywistycznej?

— To też nudy. — Smańko wzruszył ramionami. — Opowiadał mi znajomy, który odszedł z policji, że teraz śledzi niewierne żony albo mężów, ewentualnie sprawdza, kto kradnie w sklepie albo wyniósł jakąś tajemnicę na zewnątrz.

— No chyba że sam założę sobie jakąś agencję. I będę brał tylko te sprawy, które mnie interesują, tak jak Przypadek.

— No to obawiam się, że wiele pan nie zarobi — powiedział z rozbrajająco szczerością aspirant sztabowy i po chwili zrozumiał, że pozwolił sobie na zbyt dużo.

— Myślicie, że jestem gorszy od Przypadka? — nastroszył się Łoś.

— Ależ skąd. Tylko on zarabia, bo... mu nie zależy. Czasem zarobi, czasem nie. I ma te swoje mieszkania na wynajem...

— A ja będę miał policyjną emeryturę. Tak że musicie się przygotować, Smańko, że za miesiąc już ktoś inny będzie waszym szefem!

Profesor Paweł de Bourier wciąż był najoryginalniejszym z oryginałów, jakich spotkał Przypadek. I ciągle wyglądał jak stuprocentowy bezdomny, choć przecież od niemal roku, dzięki detektywowi, był właścicielem kamienicy przy ulicy Olbrachta 102. Zarządzanie nią oddał wyspecjalizowanej firmie, sam zostawił sobie sporych rozmiarów lokal na parterze. Wprawdzie jego budynek posiadał już windę, ale była ona przezroczysta i gdy wznosiła się nawet na wysokość pierwszego piętra, profesor miewał zawroty głowy. Wiedział, że podobnie byłoby z jego znajomymi, którzy odwiedzali go dość często i zostawali do godzin wczesnorannych, powodując skargi pozostałych mieszkańców kamienicy.

Profesor najchętniej nic by sobie z nich nie robił, w końcu był tutaj właścicielem. Jednak czasem niestety musiał brać je pod uwagę, aby nie stracić swego źródła dochodów. Ogłaszał wtedy znajomym, że teraz przez najbliższe dwa tygodnie poświęci się przekładowi wszystkich dzieł Moliera — którego w poprzednim, akademickim życiu był uznanym translatozem — w związku z tym chwilowo nie ma go dla nikogo. W tym czasie lokatorzy się uspokojałi, ale firma, która zarządzała kamienicą, uprzedzała go, że jeśli to się będzie powtarzało, to wkrótce wszyscy się mogą wyprowadzić.

De Bourier się tego obawiał, ale nie spędzało mu to snu z powiek. W końcu przez blisko dwadzieścia lat życia sypiał niemal pod gołym niebem. Nie tracił przy tym klasy i wciąż wyglądał tak jak wtedy, kiedy Jacek zobaczył go pierwszy raz. Gdy przywitał detektywa w drzwiach, na głowie nosił coś, co niewykluczone, że było niegdyś czymś w rodzaju cylindra. Pozostała część stroju również była utrzymana w stylu nieco znoszonej elegancji. Znakomicie podkreślał ją zwisający na łańcuszku z metalu monokl, którego szkieleto było nieco stłuczone, nie na tyle jednak, aby stanowić przeszkodę w poprawianiu widzenia. Dlatego też profesor mógł się upewnić, że wpuszcza do swojego mieszkania odpowiednią osobę. Trwało to dłuższą chwilę, bo de Bourier ledwo trzymał się na nogach i z dużym trudem przychodziło mu przyłożenie staromodnego przyrządu optycznego do oka.

— A to ty, zbawco! — wykrzyknął w końcu. — Przybywasz w ostatniej chwili, gonię już resztką sił z tym Świtałą. Znałem go już dawniej, lecz wtedy tankował tak bardziej umiarkowanie. Teraz to moja wątroba nie wytrzyma towarzystwa jego wątroby. Jest twój. — Szerokim gestem wpuścił detektywa do mieszkania i miał dużo szczęścia, że ściana była tuż za nim, bo inaczej by upadł.

Przypadek wszedł do pokoju, w którym siedział Świtała. Choć detektyw nie wątpił, że artysta dotrzymywał kroku profesorowi w opróżnianiu flaszek stojących równym rzędkiem na stole, to nie było tego po nim specjalnie widać. Wzrok miał dość przytomny i trzymał się sztywno na krzeselku.

— Teraz ty będziesz ze mną pił, mój przyjacielu? — zapytał artysta pejoratywny łagodnym tonem, co dodatkowo świadczyło, że wypił już na tyle dużo, że agresja rozplynęła się w odmętach oceanu alkoholu.

— Niestety, przyjechałem rowerem. Może kiedy indziej.

— To po co tu przyszedłeś?

— W sprawie pana najnowszej wystawy.

— Tego gówna, po którym będę skończony? Kogo to obchodzi, mój przyjacielu?

— Na przykład pana Ewarysta Rosta.

— Niech się cieszy, że u niego zdecydowałem się wystawiać. Ale i tak będę skończony. Już jestem skończony. — Światała nalał sobie szklankę alkoholu. — Niedługo będzie zupełnie po mnie, a Bryła z tym całym Wielkim Mistrzem będą po mnie jeździć.

— Po wielkim Świtale?

— Jakim wielkim? Wielkim to można było być kiedyś. Jak wszystko w sztuce było na swoim miejscu, to byle głupek widział, co to jest wielka sztuka. Zwykły pastuch, jakby zobaczył obrazy Leonarda albo Michała Anioła, toby rozdziawił gębę z podziwu jak największy znawca. A teraz? Jak ze trzech znanych krytyków nie powie, że to wielka sztuka, to nikt tego nie zauważy. I człowiek nigdy nie ma pojęcia, czy im się to spodoba, czy nie. Diabli wiedzą, co im się w ogóle podoba. Cały czas trzeba tylko przełamywać jakieś tabu, bo inaczej uznają, że to nie jest już świeże i progresywne. A jakie ja mam przełamywać tabu, jak już wszystko zostało dawno temu przełamane? Zwyczajnie, jak kogoś nie lubią, to mówią, że już nie przełamuje tabu...

— Ale przecież pana lubią?

— Kiedyś lubili. I w sumie nadal też dość lubią. Ale z nimi to nigdy nic nie wiadomo. Niby się człowiek z nimi nawet przyjaźni, a nie ma pojęcia, kiedy im niechący nadepnął na odcisk. A mnie od kilku lat chwała, ale tak mniej niż kiedyś. Czuję wyraźnie, że czekają na znak, który pierwszy rzuci mi się do gardła i powie, że jestem skończony...

— To dlatego, kiedy zbliża się kolejna wystawa, znika pan i pojawia się dopiero na wernisażu?

— Właśnie tak, mój przyjacielu — powiedział Światała i spojrzął na Przypadka, jakby w nagłym przebłysku świadomości. — A kim ty jesteś, mój domyślny przyjacielu? Chyba nie tym detektywem Przypadkiem?

— We własnej osobie. Profesor panu o mnie wspominał?

— Profesor? Jaki profesor?

— Nieważne. Mogę panu pomóc.

— Chcesz mnie jeszcze bardziej skompromitować?

— Wprost przeciwnie. Chcę pana na zawsze pozbawić wszelkich trosk.

— Czyli że chcesz mnie zabić?

— Mniej więcej.

Po placu zabaw biegało kilkanaście rozwrzeszczanych maluchów. Czasem przystawały, by oddać się jakiejś zabawie, czasem rozpierzchały się w różnych kierunkach. Bywały niekiedy na siebie obrażone, ale szybko się godziły, by oddać się wspólnej rozrywce. Zwykle uśmiechnięte i zadowolone, z rzadka płakały.

Malwina Żarska obserwowała je już od godziny. Nie, nie pomyliła czasu spotkania z Anią Sakowicz. Chciała być tu wcześniej, żeby sobie popatrzeć. A może, żeby pobycić dłużej poza domem? Od dawna za mało wychodziła, za mało odpoczywała. Dawniej zresztą w tym celu nie wybrałaby sąsiedztwa placu zabaw dla dzieci. Ale teraz ten widok dziwnie ją uspokajał, koił. I nawet nie przejmowała się tym, że jej przyjaciółka, pchająca właśnie w pośpiechu wózek przez park, spóźniła się pół godziny.

— No sorry, ale wybrać się gdzieś z domu z tym wrzaskałą to makabra.

— Nic się nie stało. Bardzo przyjemny dzień. Wyjątkowo ciepły jak na koniec października.

— Ale okolica nieszczerólna. — Mecenasowa Sakowicz skrzywiła się na krzyki dobiegające z placu zabaw.

— Mnie się tam tu podoba.

— No co ty?! Chyba nie chcesz mi powiedzieć... — Ania spojrzała znacząco na brzuch Malwiny.

— Nie chcę. Po prostu stwierdzam, że lubię patrzeć na bawiące się dzieci.

— To sobie jakieś zafunduj.

— Chyba bym już chciała je mieć, ale wątpię, żeby mi się to udało.

— Stara, co z tobą? — Sakowiczowa spojrzała zaniepokojona na Żarską. — Gadasz tak, jakbyś się nagle zestarzała. Mówię ci, wyprowadź się jak najszybciej od pana Przypadka, bo całkiem sfiksujesz.

— Wyprowadzam się za cztery dni. Mam już mieszkanie.

— Gdzie wynajęłaś?

— Kupiłam.

— Kupiłaś?! — Mecenasowa Sakowiczowa krzyknęła tak głośno, że dzieci bawiące się na placu obok przystanęły na moment przestraszone. Mały Jędrzej pochrapywał tylko smacznie, bo do wrzasków mamy był przyzwyczajony i na nie uodporniony, dlatego gdy miał ochotę na sen, to po prostu spał. — Przecież jeszcze niedawno mówiłaś, że cię nie stać za bardzo na wynajęcie.

— Dostałam dobrą pracę, biorę kredyt we frankach.

— A Przypadek ci nie odradzał? Temu mojemu odradzał, bo to podobno Klempuch za nimi stoi.

— Mówiłam ci, on ma tę swoją obsesję na jego punkcie. — Wzruszyła ramionami. — Tak że nie przejmuję się tymi jego ostrzeżeniami.

— I słusznie. A kim ty właściwie będziesz?

— Rzecznikiem prasowym dużej spółki.

— Kto ci to załatwił? — zapytała Ania, a następnie zaczęła wymieniać kilkunastu ważnych znajomych, z którymi w ostatnich dziesięciu latach Malwina była w mniej lub bardziej luźnych związkach. Za każdym razem jednak spotykała się z przeczącym kręceniem głową Żarskiej, co tym bardziej wzmagało jej ciekawość. — No to kto?! Tylko mi nie umawiaj, że dostałaś taką robotę bez znajomości, bo w to nie uwierzę. Nie ma takiej opcji!

— Nie znasz go.

— Znałam wszystkich twoich facetów.

— To nie mój facet. To ktoś inny. I nie pytaj kto, bo nie mogę ci powiedzieć.

— Okej, nie mów. Ale może mogłabyś i mnie załatwić jakąś robotę?

— Ty chyba masz na razie robotę na dwa etaty? — Malwina pokazała na małego Jędrzejka.

— Nie mówię teraz. Za kilka miesięcy.

— Zobaczą, co da się zrobić — odparła wymijająco Żarska. — Ale chyba twój mąż mógłby ci teraz załatwić taką pracę w jakiejś dużej korporacji.

— Błazej to tylko powtarza: „Niczym się nie martw, ja na wszystko zarobię”.

— To chyba dobrze?

— Pewnie, że dobrze. Niech zarabia, ale ja chcę mieć fajną robotę, a nie tylko zajmować się wychowaniem tego zafajdańca. — Pokazała na Jędrzejka, który skrzywił się, jakby faktycznie jego pieluszka powiększyła się o śmierdząca wkładkę.

— To możesz z nim zawrzeć układ: on ci załatwi pracę, a ty mu pozwolisz spotykać się z przyjacielem...

— Po tym, co ten drań zrobił z Tęczowym Rajem?! Nie ma mowy. Ja zresztą Błażejowi formalnie tego nie zabroniłam...

— Ale zrobiłaś tak, że nawet boi się o tym pomyśleć.

— I bardzo dobrze.

— No to jak potrafisz tak nim sterować, to pokieruj go, żeby znalazł ci fajną robotę.

— A co ty tak się bronisz przed tym, żeby znaleźć mi robotę? — Mecenasowa Sakowiczowa przyjrzała się podejrzliwie Żarskiej. — Starej kumpeli nie chcesz pomóc?

— Chcę, chcę. Ale nie wiem, czy ta moja znajomość będzie skłonna załatwić coś więcej, bo...

— Bo?

— Bo to taka przelotna sprawa.

— A, rozumiem, obudził się w tobie tygrysek i zaszalałaś? — Ania pokiwała głową z uznaniem.

— Powiedzmy — odpowiedziała enigmatycznie Malwina.

— I bardzo dobrze. Jak pan Przypadek nie umie korzystać z życia, to dobrze, że ty chociaż korzystasz. A właśnie, co on teraz rozwiązuje? I ilu ważnych ludzi pójdzie przez to do więzienia?

— Tym razem podobno nikt nie pójdzie siedzieć, a wszyscy ważni ludzie, z wyjątkiem jednego, będą bardzo zadowoleni.

Ewaryst Rost nie miał cienia wątpliwości: czeka go kompletna katastrofa. Taka spektakularna, z hukiem, po której nie pozostanie mu nic innego, jak tylko zamknąć swoją galerię. Wprawdzie Przypadek go uspokajał, że będzie dobrze, że marszand kiedyś sam będzie się śmiał ze swoich obaw, ale czy można wierzyć komuś takiemu, kto tyle uczuiwych i przyzwoitych osób wysłał za kratki lub zmusił do ucieczki z kraju?! Nie, nie można wierzyć i pan Ewaryst z samego rana stał już nawet z rozpuszczalnikiem w jednym ręku i zapalniczką w drugim, gotowy podłożyć ogień i wydać na jego pastwę dorobek swojego życia.

I może gdyby był trochę bardziej odważny, zrobiłby to. Ale mimo tego, że kilka razy ogień pojawia się na zapalnicze, Rost nie zdecydował się na ten ostateczny krok. Dlatego teraz ze spuszczoną głową witał przybywających na wernisaż Świtały, niecierpliwie wypatrując przybycia samego artysty. Tymczasem musiał uśmiechać się do bardzo ważnych redaktorów kulturalnych z Bartoszem Fifką na czele, który jak to gwiazda telewizji, był tu najważniejszy. Był też obiektem niewybrednych kpín, wypowiedianych, rzecz jasna, wyłącznie za jego plecami.

Z każdym następnym przybywającym żurnalistą Ewaryst Rost był coraz bardziej przerażony. Wprawdzie zaprosił ich wszystkich, ale nie spodziewał się tu nawet połowy z nich. Po pierwsze, nie zapewniał tak dobrego jedzenia jak inne, bardziej prestiżowe galerie. Po drugie, kilku z nich było na niego obrażonych, bo kiedyś poczta nie dostarczyła im zaproszenia na jakiś inny wernisaż, kiedy byli bardzo głodni (sztuki oczywiście). Inni jeszcze nie byli fanami twórczości Świtały i przedkładali nad niego Bryłę i choćby dlatego nie powinni się tu znaleźć. A jednak byli, co zwiastowało naprawdę niewiarygodną klęskę. I jakby tego było mało, zjawił się tu sam Bryła, którego akurat nie zapraszał, bo od dwudziestu lat obaj artyści nie chodzili na swoje wystawy. Skoro już jednak był, to Ewaryst

Rost nie mógł go wyrzucić i musiał, robiąc dobrą minę do złej gry, uśmiechnąć się na jego widok i przywitać kordialnie:

— Witam mistrza i bardzo się cieszę, że mistrz zdecydował się zawitać w moje skromne progi!

— Nie mogłem przegapić takiej okazji. — Bryła uśmiechnął się ironicznie. — Upadek wielkiego Światały jest wart nawet wybrania się na jego wystawę — dodał tryumfalnie i ruszył w kierunku wianuszka swoich największych pochlebców, żeby razem z nimi cieszyć się tą chwilą.

Ewaryst Rost zaś zeszywniał zupełnie.

— Gdzie jest ten cholerny Przypadek? Gdzie on jest? — mruzczał pod nosem, lecz zamiast ujrzyć słynnego detektywa, doznał kolejnego szoku.

W drzwiach stanął Ćwiertka, który po chwili podszedł do Rosta. Znali się, choć niespecjalnie lubili, i się uśmiechnął.

— Nie masz mi za złe, że upadłem?

— Za złe? — powtórzył mechanicznie pan Ewaryst. — Nie, skądże, jakie za złe? — mówił zupełnie szczerze, bo był u skraju wytrzymałości nerwowej i już powoli robiło mu się wszystko jedno. — Rozumiem, że przyszedłeś świętować udany atak tych swoich terrorystów ze Świtu Codziennego?

— Powiedzmy, że coś w tym stylu. — Ćwiertka się uśmiechnął.

Ewaryst Rost poczuł, że zaraz zemdleje. To spowodowało, że nieopatrznie chwycił za fragment białego płótna, którym były przykryte wszystkie instalacje, czekając na uroczyste odsłonięcie podczas otwarcia wernisażu. Materiał nie był niczym przymocowany i opadający z siłą marszand ściągnął go niemal jednym ruchem na siebie. Wtedy oczom zebranych ukazał się ukryty wewnątrz instalacji Światały.

Większość uznała, że to nieco efekciarski sposób otwarcia wernisażu, dlatego dało się słyszeć słabe oklaski. Ale przerażona mina wybitnego artysty kazała przypuszczać, że coś jednak poszło nie tak. Wszyscy zaczęli szukać wzrokiem Rosta, ten jednak dopiero wygrzebywał się spod ogromnej płachty materiału. Za to Bryła uznał, że nie ma co czekać i należy pograć odwiecznego rywala.

— Zobaczcie! — zakrzyknął i wskoczył na instalację, przymierzając się do siedzisk. — To ma być jakaś *Antykonsumpcja*?! Spróbujcie sami usiąść, wszystko tu jest megawygodne. — Bryła rozparł się w jednym z siedzisk. — Mówiłem wam! To zwykły drobnomieszczanin, który nie potrafi stworzyć niczego, co postawi odbiorcę w trudnej sytuacji i zmusi do odpowiedzi na niewygodne pytania...

— Potrafi, potrafi. Tylko po co, jak to wszyscy teraz robią? — Przypadek wyszedł nagle z zaplecza galerii, powodując niespokojne poruszenie wśród zgromadzonych dziennikarzy i artystów.

Nie jeden z nich widział przecież jego występ na wernisażu Łabudy i mógł się spodziewać, że teraz da nie gorszy.

— Nie słuchajcie go! — wykrzyknął Światały i niektórzy byli gotowi wyjść, aby tylko nie słuchać herezji wygłaszanych przez Przypadka, ale powstrzymały ich słowa i postawa Bryły, który zagroził swoim ciałem wejście.

— Stójcie! Poczekajcie, aż go obnaży!

— Dziękuję za pomoc. — Przypadek się uklonił. — Na początek wyjaśnię panom, skąd się tu wzięłem. Otóż pan Ewaryst Rost wynajął mnie, bo uznał, że będę najlepszą reklamą tego

doniosłego wydarzenia. — Detektyw pomachał marszandowi, który wreszcie zdołał wydostać się spod płachty, a w tej chwili był tak zdziwiony deklaracją Przypadka, że potrafił tylko bezgłośnie poruszać ustami i miał ochotę znów zniknąć pod materiałem.

— Jakiego wydarzenia? — zapytał Fifka.

— Odkrycia tego, jakim wspaniałym twórcą jest pan Światała. Ale na potrzeby tego przedstawienia uznajmy, że prawda była nieco inna i pan Rost postanowił skorzystać z mojej pomocy, albowiem ktoś majstrował przy twórczości pana Światały. I nagle z instalacji, która stawiała widza w niewygodnej sytuacji, zrobiła się taka, która dawała mu komfort. Zachodziło więc podejrzenie, że ktoś specjalnie przy niej manipulował, aby udowodnić drobnomieszczański gust artysty. — Jacek spojrzał znacząco na Bryłę, który uśmiechnął się półgębkiem i prychnął pogardliwie.

— No co pan tak się na mnie gapi? Ja nic nie musiałbym majstrować, żeby udowodnić drobnomieszczański gust tego beztalentia!

— To prawda. Cokolwiek zrobiłby pan Światała i tak uznałby pan to za drobnomieszczańskie, co w ustach pana i wielu tu zgromadzonych jest najgorszą z obelg. Dlatego zachodziło podejrzenie, że sprawcami tej nagłej przemiany są członkowie grupy Świt Codzienny, znani od wielu lat przeciwnicy i prześmiewcy sztuki progresywnej i dzieł pana Światały. I była to prawda.

— Ha, to dlatego jest tu Ćwierotka. — Fifka wymierzył oskarżycielski gest w kierunku właściciela Konserwacji.

— Rozgryzł nas pan, panie detektywie. — Ćwierotka się uśmiechnął. — To my to zmieniliśmy!

— Nie wiercie im! — krzyknął Bryła. — To na pewno sam Światała!

— Nie, panie Bryła, to my... — upierał się właściciel Konserwacji.

— Kłamię pan — powiedział z uśmiechem Jacek.

— To ja już nic nie rozumiem — oznajmił Fifka, wyrażając zdanie ogółu zgromadzonych.

— Wie pan, panie Bartoszu, wie, tylko na razie nie chce się przyznać. — Oczy kolegów zwróciły się w stronę Fifki, który wprawdzie nie miał bladego pojęcia, co ma na myśli Przypadek, ale już bał się tego, jakie mogą z tego wyniknąć konsekwencje. — Ale wszystko po kolei. Obecny tu pan Ćwierotka, jak wiadomo, jest przedstawicielem Wielkiego Mistrza Wielkiej Łoży Świtu Codziennego, a przez wiele osób uważany jest nawet za samego Wielkiego Mistrza. Nie jest nim jednak.

— Nigdy tak nie twierdziłem. — Ćwierotka wzruszył ramionami.

— Wiem i nawet próbował mnie pan zmylić, podstawiając fałszywego Wielkiego Mistrza. Proszę pozdrowić ode mnie panią Basię, ale nie przekonała mnie. Czy może raczej przekonała, ale nie do tego, kto jest Wielkim Mistrzem, ale raczej do tego, że jest nim nie ona, ale ktoś inny, kogo mogę znać...

— Kto to?! — zakrzyknęli niemal chórem dziennikarze, na czele z Fifką.

— Nie wiercie mu, on kłamię! — wrzasnął przerażony Światała, zanim Przypadek powiedział cokolwiek.

I Jacek nie musiał nic więcej mówić. Zwłaszcza że Światała dodał:

— Ja nim nie jestem.

— Nie ma sensu się kryć, panie Konstanty. Zresztą przecież obecni tu dziennikarze to bardzo inteligentni ludzie i od dawna doskonale wiedzą o grze, jaką prowadzi pan z odbiorcami. Prawda, panie Bartoszu? — zapytał detektyw, a dziennikarzowi nie wypadło

powiedzieć, że nie uważa siebie i swoich kolegów za bardzo inteligentnych ludzi. — Wiedzą doskonale, że stworzył pan niezwykły projekt artystyczny, swoistą tezę i antytezę, po to, żeby wykpić tych, którzy beczelnie kpią ze sztuki nowoczesnej. Aby pokazać, jak bardzo jest ona dla pana świadomym wyborem. Że mógłby pan być jednocześnie twórcą konserwatywnym i progresywnym. Miał pan fantastyczny dystans do swoich prac i potrafił z nich kpić. Prawda, panie Konstanty? A wy, panowie... — Detektyw urwał i spojrzął na krytyków. — Wy doskonale o tym wiedzieliście i świadomie mu pomagaliście. Jesteście przecież zbyt wybitnymi znawcami, żeby można was było tyle lat oszukiwać.

Krytycy jak jeden mąż uśmiechnęli się niepewnie i zaczęli się oglądać na siebie. Kurczę, a może tamci faktycznie wiedzieli? Wprawdzie to plotkarze, ale też często zwykłe świnię, które niechętnie podziela się naprawdę ważną informacją. Tak, lepiej nie wyrwać się ze swoją niewiedzą, że Światała wywinął taki numer. Zwłaszcza że z drugiej strony faktycznie można się było domyślić, że to taka maskarada tylko jest. No i oni chyba faktycznie się chyba domyślali. Zresztą jeśli tak twierdzi ten jasnowidz, to nie ma co zaprzeczać. Tak było!

— No stary, świetny numer! — Fifka uznał, że powinien być pierwszy.

— To wiedziałeś? — zapytał z niedowierzaniem Światała.

— Tak. Byłem tylko ciekaw, kiedy się ujawnisz. Nawet chyba o tym ostatnio rozmawialiśmy. — Bartosz zwrócił się do krytyka stojącego po jego lewej ręce, o którym wiedział, że nie powinien mu zaprzeczyć. A nawet jeśli by to zrobił, to zwróciłby się do tego po drugiej stronie i ten by potwierdził. Nie musiał tego jednak robić.

— Tak, tak, pamiętam. Naprawdę świetny pomysł, Kostek! — Krytyk poklepał Światała po ramieniu. — Zawsze mi się ta koncepcja podobała i tylko byłem ciekaw, kiedy ujawnisz się przed światem.

Tak samo robili wszyscy kolejni, którzy ze śmiechem przyznawali się do swojej wiedzy i zaczęli tylko licytować się, który z nich wcześniej domyślił się całej tej maskarady ze Świttem Codziennym. Nikt już nie zwracał uwagi na Bryłę, który jeszcze próbował buntować jednego czy drugiego, namawiając ich, aby potępili nielubianego przez niego artystę. Kiedy zrozumiał jednak, że poniósł klęskę, wymknął się, klnąc pod nosem.

Jacek stał dłuższą chwilę przy panu Ewaryście, który wciąż zdawał się nie do końca pojmować, co zaszło w jego galerii. Czuł tylko, że wraca mu życie i wkrótce jego dochody mogą poważnie wzrosnąć. Ucieszył się nawet, kiedy podszedł do niego Ćwierotka i pogratulował świetnej wystawy, nie zauważając kpiącego uśmiechu na jego ustach. Uznał tylko, że powinien zająć miejsce obok Światały, który stał teraz otoczony wianuszkami pełnych uwielbienia krytyków. Dlatego detektyw został sam na sam z właścicielem Konserwacji.

— Oczywiście mieliście już przygotowane informacje do mediów, że ten atak to wasza robota? — zapytał detektyw.

— Tak. Mimo wszystko nie przypuszczałbym, że są aż takimi durniami — powiedział Ćwierotka, patrząc na rozbawionych krytyków.

— A ja tak. Wie pan, ludzie są banalnie przewidywalni. I skoro oni wszyscy żyją z tego, że podobno znają się na sztuce, to nigdy w życiu nie przyznałyby się, że się na niej kompletnie nie znają...

Zgodnie z prawami fizyki pani Zygryda i Teodora nie miały się prawa zmieścić w swojej pleksiglasowej palarni, stojąc obok siebie, ramię w ramię. Jednak jakimś nadprzyrodzonym

udem im się to udało i teraz zgodnie, jak to się już od dawna nie zdarzało, wydmuchiwały dym w stronę okna.

— Sprytnie to wymyślił ten nasz Jacuś — pochwaliła pani Zygryda.

— Szkoda, że nie było z tego jakiejś transmisji.

— Ale i tak nam wszystko przecież dokładnie opowiedział. Od początku wiedział, że właściwie żadne włamanie do galerii nie wchodziło w grę i tych zmian musiał dokonać ktoś, kto miał klucze do niej i potrafiłby to zrobić. Czyli raczej Światała. Pewnie sobie dorobił komplet, wiedział dobrze, jak wyłączyć alarm, bo pracował tam dłuższy czas nad montowaniem swoich instalacji.

— Tak, tak. — Pani Teodora pokiwała głową. — Nie był pewien, czy Rost to zauważy, ale mógł się domyślać, że tak będzie. Dla niego najlepiej by było, gdyby odwołano wystawę przez zamach Świtu Codziennego. Nie musiałby się martwić, co krytycy powiedzą o jego sztuce, i zyskałby uznanie jako męczennik i ofiara zwolenników sztuki konserwatywnej...

— No nie, tak mu się tylko wydawało. Przy następnej wystawie znów by umierał ze strachu, że mu zarzucą brak przełamywania tabu. Teraz ma z głowy to, że ktoś go będzie posądzał o konserwatywne ciągoty i tworzenie sztuki zrozumiałej dla ludzi i przyjemnej. Może wreszcie zostać wolnym twórcą.

— I nie martwić się, że mu jakiś Bryła robi wbrew.

— Tak, tego Bryłę nieźle wkręcili. Pewnie przez jakichś znajomych wcisnęli mu ten kit, że to już absolutnie pewne, że na tej wystawie Światała pokaże swój drobnomieszczarski gust. Dzięki temu był taki pewny jego klęski i krążył jak sęp koło tej galerii.

— Ale nadal nie rozumiem, jak Jacek się domyślił, że to nie ta Basia Moniuszko jest tym Wielkim Mistrzem, tylko podstawioną przez Ćwiertkę osobą.

— No co ty, Dorka? — Zygryda się skrzywiła. — To zupełnie jasne. Jacek przecież wiedział, że Ćwierotka od razu po jego wizycie zadzwoni do Wielkiego Mistrza. Nie wiedział tylko, kto nim jest. Ale wtedy lał deszcz cały dzień. Dopiero następnego dnia zaczęło świecić słońce i piękna pogoda utrzymała się na dłużej. Zatem było jasne, że gdy zapytał tę Moniuszko o to, jaka była pogoda, kiedy ten właściciel Konserwacji do niej zadzwonił, i ona powiedziała, że świeciło słońce, to nie była tą osobą, do której dzwonił w pierwszej chwili. Pewnie rozmawiał z nią następnego dnia, gdy już wyszło słońce. Czyli że tym całym szefem Świtu Codziennego musi być ktoś znany i ważny, skoro mają się takich metod, żeby go ukryć. Ja tylko nie wiem, jak Jacek się domyślił, że Światała jest tym Wielkim Mistrzem?

— No co ty, Zyzia? Przecież to jasne jak słońce. Skoro sam Światała ostrzegał Rosta, że może być zamach na jego wystawę, to oczywiście jest, że musiał pozostawać w jakimś związku z tym Wielkim Mistrzem. Przecież inaczej ten Świt Codzienny mógł się nie przyznać do tego zamachu i wtedy dopiero byłby skończony. A że to on, wyszło na jaw, jak Jacuś gadał z nim u Profesora. Skoro Światała zaczął pić, zanim jeszcze Rost wynajął naszego detektywa, to nie mógł mieć pojęcia o Jacusiu. A jeśli miał i się domyślił, z kim rozmawia, to było jasne, że to właśnie do niego zadzwonił Ćwierotka.

— No masz rację, Dorka, pięknie to wyjaśniłaś. — Zygryda pokiwała z uznaniem głową.

— No i po co my się tak kłóciłyśmy, to nie mam pojęcia. I nie mów, że to głównie ja, bo ty też swoje nieźle dokładałaś!

— Absolutnie masz rację. Sama nie wiem... To wszystko ci artyści, mówię ci. Zawrócą człowiekowi w głowie, to sam nie wie, gdzie ma rękę i nogę, i po co żyje.

— A najlepsze, że mi się nie podobało to, co robił Hasior — wyznała Teodora.

— No mnie tak samo. Ale była wtedy moda na Hasióra, to się było zadowolonym, że się taki wielki artysta człowiekiem interesował.

— Miałam to samo. A on jak to artysta, niejedną się interesował.

— Tak. Trzeba ostatecznie skończyć z tymi artystami — postanowiła pani Zygfryda.

— Żeby tylko Jacus chciał z nimi skończyć, bo inaczej nie będzie nam łatwo.

— Będzie chciał. On już też ma ich po dziurki w nosie.

— Dobra, wychodzimy.

Od chwili deklaracji aż do momentu, w którym udało się opuścić pleksiglasową celę, minęło dobre pięć minut. W końcu jednak obie panie się uwolniły i zapadły w wygodnych fotelach, odpoczywając bez słowa przez prawie kwadrans.

— Może by poprosić Jacusia, żeby nam powiększył tę palarnię? — odezwała się w końcu Zygfryda.

— No przecież tłumaczył, że więcej jak dziesięć centymetrów się nie da, bo to by tu wymagało większego remontu. Też żałuję, że nie możemy zapalić papieroska, posiedzieć i napić się dobrej kawki równocześnie.

— Żebyśmy tak nie zgłupiały przez tych artystów, to nadal byśmy sobie siedziały spokojnie pod trzynastką.

— Jakiś czas tak. Ale chyba nie za długo.

— O czym mówisz?

— Jak wczoraj rano wyszłam na spacer na korytarz, to tam jakiś ślusarz wymieniał zamki.

— Dla mnie żaden zamek to nie problem — oznajmiła chełpliwie Zygfryda.

— Ale mi się zdaje, że tam zaraz ktoś znowu zamieszka.

— Mogłybyśmy tego kogoś trochę postraszyć.

— W sensie... mamy się za duchy przebrać? — Pani Teodora spojrzała zdziwiona na siostrę, ale pomysł wyraźnie jej przypadł do gustu.

— Nie, to ostateczność. Ale zawsze mogłybyśmy nowemu sąsiadowi poopowiadać, że to wybitnie pechowe mieszkanie, bo to albo ktoś umrze, albo go zamkną, albo mu się związek rozpadnie.

— No tak, przecież byśmy nie kłamały, bo tak jest. Świetny pomysł, Zyzia. Poczekamy, kto się tam wprowadzi, a potem to tak go postraszymy, że zaraz nam się zwolni solidna palarnia!

Malwina Żarska dopięła walizkę i rozejrzała się po pokoju. Spędziła tu prawie pół roku, od powrotu z wyprawy do Azji, gdzie szukała swojej przyjaciółki Basi. Dawniej marzyła, że któregoś dnia zamieszka w tych czterech ścianach. A teraz ich nienawdziła.

Nie, nie żałowała, że się tu sprowadziła. Po powrocie do Polski i tak nie miała się w pierwszej chwili gdzie zatrzymać. A potem, nawet gdy mogła wynająć sobie już jakieś mieszkanie, nie zrobiła tego. Czy wciąż się łudziła, że w Jacku coś się przełamie i zacznie patrzeć na nią jak na kobietę, a nie współlokatorkę? Może trochę na początku. Potem z każdym dniem tych złudzeń było coraz mniej. W końcu zupełnie znikły. Rozpłynęły się, jakby ich nigdy nie było.

I z każdym następnym dniem pojawiała się coraz większa złość na Przypadka. A może nawet coś więcej niż złość. Bo zawsze, jeśli nie mogła go kochać, to mogła go chociaż nienawdzić. Oba uczucia są przecież równie silne i choć teoretycznie znajdują się na dwóch

krańcach kontaktów między ludźmi, to w gruncie rzeczy dzieli je bardzo niewielka przestrzeń. Przeskok z jednego do drugiego to często tylko chwilka.

Poszła do kuchni, żeby popatrzeć na fotografię, która tam teraz stała. Tak, Małgosia Urbanek była piękną kobietą. W końcu długo zarabiała na życie jako modelka. Pewnie prawie każdy, kto obiektywnie spojrział na nią i na Malwinę, musiałby przyznać, że tamta jest dużo ładniejsza. Ale Żarska wiedziała, że nie dlatego Przypadek zakochał się właśnie w Urbanek, a nie w niej. Bo to, że detektyw jest wciąż zakochany, czuła bardzo wyraźnie. Miłość do zaginionej dawno temu narzeczonej zawsze uważała za rodzaj Jackowego alibi, sposób obrony przed tym, że czas najwyższy dorosnąć i przestać wyłącznie bawić się życiem. Ale uczucie do Urbanek, która tak jak Malwina po prostu z nim mieszkała przez kilka miesięcy, było czymś zupełnie innym. Czymś, czego nie mogła pojąć. No chyba że...

— Nie, to przecież niemożliwe — zgañiła się za tę idiotyczną myśl. — Czas się stąd jak najszybciej wynosić, bo inaczej oszaleję.

Odwróciła się i stanęła jak wryta. Nie usłyszała, jak Jacek wrócił do domu i stanął za jej plecami.

— Zastanawiasz się dlaczego? — zapytał, a ona miała ochotę zaprzeczyć.

Ale po co? Nawet jeśli by się mylił, to nie uwierzyłby w jej zaprzeczenie. Przecież zawsze powtarzał, że ludzie są banalnie przewidywalni. Jej udało się go wprowadzić raz zaskoczyć, ale to nie zmieniło trwale jego przyzwyczajęñ. Dlatego powiedziała:

— Tak, zastanawiam się. Każda kobieta, która kogoś kocha, chciałaby wiedzieć, dlaczego ten ktoś pokochał kogoś innego. — Spojrzała mu prosto w oczy, chcąc zobaczyć, czy to bezpośrednie wyznaczenie uczucia cokolwiek w nim zmieni.

Ale Jacek tylko się lekko uśmiechnął i przeniósł wzrok na zdjęcie.

— Przecież to tylko miłość. Tego się nie da logicznie wyjaśnić.

— Ale zawsze jest to coś.

— Być może tu też było to coś — przyznał Przypadek. — Ale miłość to chyba jedyna rzecz, w której ludzie nie są aż tak banalnie przewidywalni — stwierdził i po chwili się poprawił: — To znaczy bardzo często są, ale zdarzają się takie chwile, że przestają być... Mam coś dla ciebie.

— Prezent?

— Tak. Na nowe mieszkanie. To obraz, kupiłem go u Ćwiertki. — Podał jej niewielkich rozmiarów płótno, opakowane w szary papier. — Obejrzyj, jak się wprowadzisz. Pomóc ci przenieść walizki?

— Już nie prosisz, bym została?

— Podjęłaś decyzję i wiem, że żebyś ją zmieniła, musiałbym powiedzieć coś, czego powiedzieć nie mogę.

— To prawda — przyznała smutno Malwina, siląc się na uśmiech. — Ale nie musisz mi pomagać.

— Zniosę ci je chociaż do taksówki.

— Dobrze — zgodziła się i pomyślała, że może po raz drugi w życiu uda się jej go zaskoczyć.

Ale gdy byli w korytarzu, odezwał się dzwonek do drzwi. Jacek wyjrzał przez judasza, otworzył usta ze zdziwienia i powiedział:

— Mama...

Malwina od razu zrozumiała, że na to, aby go po raz kolejny zaskoczyć, będzie musiała poczekać. Zdawała sobie sprawę z tego, że w tej chwili dla Jacka stała się przezroczysta. Otworzyła drzwi i powiedziała do pani Felicji Przypadek:

— Proszę, ja już wychodzę. Będziecie sobie mogli porozmawiać.

Wychodząc, Żarska zobaczyła jeszcze, że Przypadek padł na kolana przed matką i przytulił się do niej. Pani Felicja była chyba z jednej strony trochę zakłopotana tym widokiem, a z drugiej bez cienia wątpliwości wzruszona. Miała wprawdzie swój sprytny plan, który miał wyjaśnić jej niespodziewaną wizytę, ale w obliczu zachowania syna zapomniała połowy rzeczy, które wymyśliła. Zresztą, jakie to miało w tej chwili znaczenie?

Malwina zamknęła za sobą drzwi i stanęła z walizkami na korytarzu. A potem uśmiechnęła się, wyjęła z kieszeni klucze i po chwili weszła do mieszkania numer trzynastie. Wszystko tu było idealnie wysprzątane i nie było nawet śladu częstych w tym lokalu odwiedzin pań Zygfrydy i Teodory.

Żarska odpakowała obraz. Był rozmiarów niewielkiego okna i tak był namalowany. Artysta narysował okienne ramy, za którymi rozpościerał się przepiękny widok na tajemniczy i groźny las. Było w nim coś fascynującego. Malwina się uśmiechnęła i z radością zauważyła, że w jednej ze ścian tkwi kołek idealnie nadający się do powieszenia obrazu.

Gdy to zrobiła, usiadła na jedynym fotelu i przyglądała się pustemu jeszcze wnętrzu. W myślach powoli je meblowała. A kiedy skończyła i siedziała już w przytulnym mieszkanku, wyciągnęła telefon i wybrała numer, spod którego ktoś dzwonił do niej prawie dwa miesiące temu.

— Pan Klempuch? Malwina Żarska z tej strony. Zdecydowałam się przyjąć pana propozycję.

O Autorze

Jacek Getner

Wicehrabia polskiej komedii kryminalnej. Autor m.in. książek o genialnym detektywie Jacku Przypadku, pomysłodawca i fundator corocznej nagrody „Zbrodnia z przymrużeniem”, laureat nagród dramaturgicznych, w tym Nagrody im. Rolanda Topora. Wyznaje zasadę, że o wszystkim, nawet o morderstwie, najlepiej opowiadać od tej śmieszniejszej strony. Swoją przygodę z pisaniem zaczynał od tworzenia zabawnych reklam, by potem stać się współscenarzystą serialu „Daleko od noszy”.